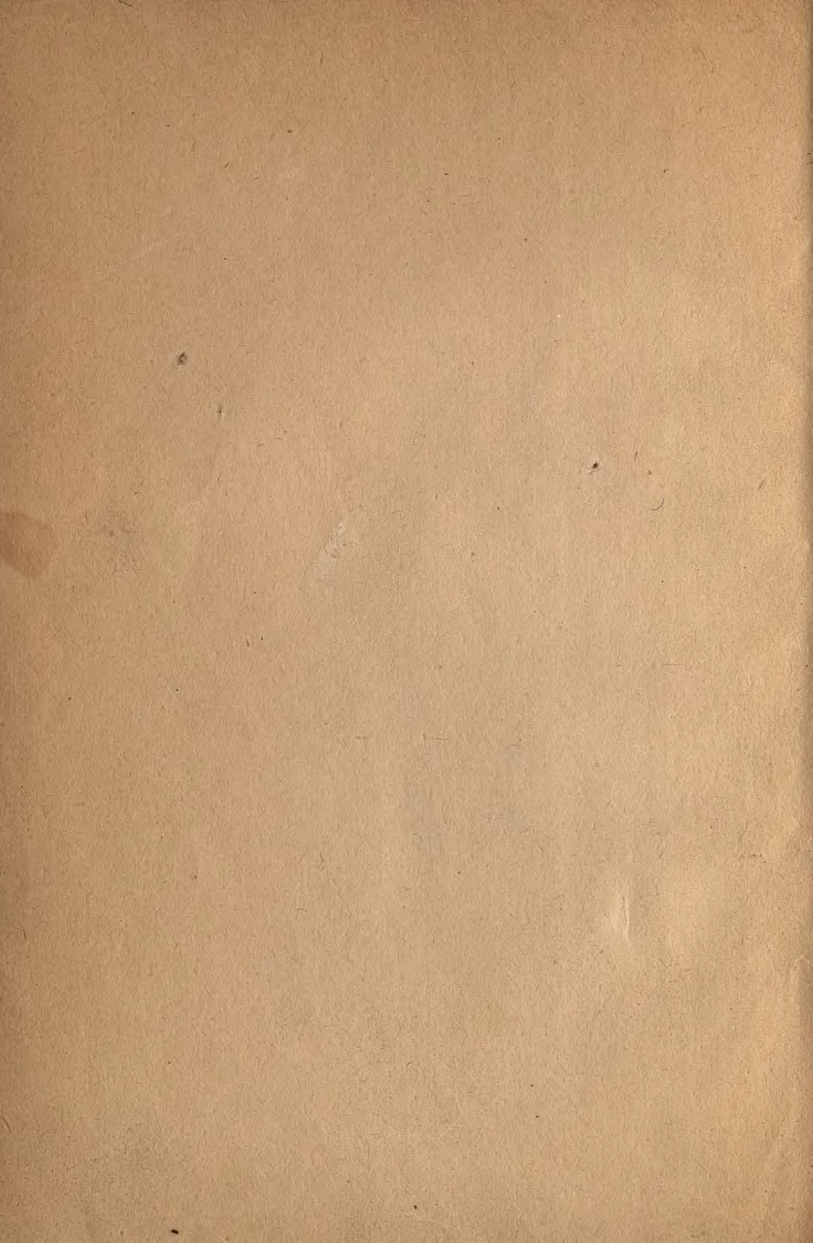


Biblioteka Śląska

6539

I

Kaz 1 2857/67 100 000



P O R A N E K



TEGOŻ AUTORA:

ŚWITY — powieść, 1911.

WĘDROWIEC — nowele, 1912.

ŻOŁNIERKA — nowele i dramat, 1913.

KRWAWY DROGI — utwory legjonowe, 1916.

JULJUSZ SYREŃ — powieść, 1918.

SIOSTRA MARJA — opowieść, 1921.

PASKARECZKA — nowele, 1922.

BŁĄD — powieść, 1927.

FELIKS ŻWARDOŃ — utwór powieściowy, wyd. II, 1927.

ZYGMUNT KISIELEWSKI

PORANEK

POWIEŚĆ



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

6539

I.



X-33813	
6539	I

SKŁAD GŁÓWNY:

„THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.” — NEW YORK

Druk. J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

1927

TEJ, CO W DNIACH OSAMOTNIENIA,
WALK I BURZ WSPIERAŁA MNIE
SERCEM SWOJEM

PRZYJACIÓLCE I ŻONIE MEJ
KSIĄŻKĘ TĘ POŚWIĘCAM

x-33813	
6539	I



I.

ZWARZONA RADOŚĆ.

Chwila natężonej uwagi, bo właśnie Zdziś mierzy w palestrę. Ściągnął brwi, przymrużył oczy. Przybladły mu policzki, a niebieskie źrenice skupiły się. Prawą rękę, w której ściska odartą z kory kiczkę, podniósł do góry. Naraz mięśnie palców ściągnęły się, i kiczka zatoczyła w powietrzu łuk, nie koziołkując, co jest nieomylnym znakiem celności rzutu.

— Skuł! skuł! — podniosły się wrzaski przy palestrze, czyli białym kiju, leżącym napoprzek „dołka“, gdy kiczka z tępym hukiem, lecz mocno, ugodziła w cel. Wrzaski te pochodziły od partnerów, starszych braci Zdzisia.

— Na świnię! — triumfalnie zawołał na nich Zdziś i, wsunawszy ręce w kieszenie krótkich majtek, ruszył do palestry.

— Pięćdziesiąt pięć! — krzyknął Czesiek.

— Pięćdziesiąt pięć! — dorzucił chytrze w zapale gry starszy od Cześka Fredek.

— Nieprawda, pięćdziesiąt! — zaprotestował Zdziś.

— Niech ci będzie pięćdziesiąt i tak dostaniesz kota! — rzekł z godnością Alfred i ruszył z Cześkiem „na świnie“.

Zdziś, w poczuciu zwycięstwa, kroczył zrazu do palestry spokojnie, chociaż rozkosz powodzenia rozlewała się ciepłym strumieniem po żyłach. Ale nogi bose, nagie po kolana, aż podrygiwały, wykonywając mnóstwo ruchów i skoków drobnych, figlarnych, chępliwych. Zdziś wyczuwał, że takt wymaga, aby w chwili powodzenia nie okazywać przeciwnikowi radości. Niemniej nogi, które niewiele rozumieją, brykały, skakały, aż wreszcie pociągnęły za sobą całe ciało chłopca, zbuntowały je przeciwko półświadomej subtelności i zmusiły do triumfalnego biegu w stronę palestry. Przybiegł, chwycił ją w rękę z taką uciechą, z jaką czerwonoskóry chwyta cięciwę łuku — gdy naraz istotę jego zmroził strach.

— Sławek, wracaj! — rozległ się niespodzianie straszliwy krzyk ojca.

Jeśli prawdą jest, że słowik na widok wpatrzonych w siebie oczu grzechotnika martwieje, to krzyk ojca podzielał na małego Zdzisia, jak spojrzenie grzechotnika. Stęzał z kijem, podniesionym do góry, bojąc się obrócić, spojrzeć, pomyśleć. Struchlał.

— Sławek, wracaj, bo ci bebechy powyprowadzę — chrapliwym rykiem grzmiał głos ojca.

Zdzisiowi opadło ramię z palestrą. Drżał w kolanach. Podwórze, takie przed chwilą rozigrane i błękitne, rześkie i czyste, zamroczył głos ojca, jakby nagle niebo zasłoniły czarne chmury kraczących wron.

Serce ścisnęła żalność za ową pełnią szczęścia, uciekającą teraz z taką szybkością, z jaką białe obłoki uciekają przed wichrem.

Sławek był to najstarszy brat Zdzisia, szesnastoletni uczeń gimnazjalny. Właśnie gdy Zdziś ośmielił się unieść powiek, ujrzał brata na drugim końcu podwórza, kilka kroków opodal cembrowanej studni i bramki, wiodącej do ogrodu. Szedł krokiem — rzekłbyś — spacerowym, plecami obrócony do domu, skąd, niby trąba powietrzna, leciał krzyk ojca. Niemniej w podrygach jego stóp dostrzegł Zdziś jakieś szczególne kołysanie i jakieś miękkie zginanie się kolan. Zdało mu się, jakby brat ugiął się niby na resorach, aby w razie potrzeby odbić się i skoczyć. I myślał jeszcze Zdziś, jak bardzo zwinny, mocny i sprężysty byłby ten skok, i że Sławek umiałby tym jednym skokiem przesadzić bramkę i ogród, i znaleźć się odrazu aż na łące wielkiej, przestrzennej, jak świat, która ciągnęła się poza ogrodem. Ale Sławek posuwał się cicho i gładko, niby od niechcenia minął furtkę ogrodową i zapuścił się w zbity gąszcz końskiego zębu i kukurydzy, złocistymi pióropuszcami pławiących się w zachodzącym słońcu.

Teraz dopiero ukazał się w drzwiach kuchennych ojciec. Zdziś przeczuł go raczej, niby czarny wysoki cień, niż ujrzał, bo nie miał odwagi spojrzeć w jego stronę. Dopiero gdy po wydłużającym się cieniu poznał, że ojciec przeszedł w stronę ogrodu, rzucił za nim spojrzenie. Postać jego wydawała mu się ogromnie wysoka. W ciemnym, podniszczonym surducie

zakietowym, czerwony z wściekłości, zdążał on do bramki ogrodowej. Tak przynajmniej sądził Zdziś, który był również przeświadczony, że twarz ojca jest wykrzywiona, oczy mu błyszczą a nos ma zagięty niby hak, chociaż widzieć tego nie mógł, bo ojciec był doń obrócony tyłem. Ojciec wszedł do ogrodu. Chłopiec westchnął z ulgą, i wezbrało w nim żarliwe uczucie, aby brat najstarszy uniknął niebezpieczeństwa.

Teraz dopiero rozejrzał się swobodnie dokoła. Braci już nie było. Wsiąknęli gdzieś, zniknęli nagle, jak w bajce. Radość gry zsunęła się w głąb. Zdolność odczuwania szczęścia zwiędła. Płochliwie uczynił parę kroków i przykucnął na spróchniałej belce pod czeremchą, rosnącą przy oknie t. zw. „bawialni“. Nawet i teraz skurczył się za pniem drzewa, stulił kolana i piąstki oparł o skronie, przykryte puklami jasno złocistych włosów.

Drżał w sobie. Żal bezbrzeżny, dziecięcy przejmował go nawskroś. Znowu wrzaski, klątwy, bicie... Wargi mu zadrgały i łyzy jęły ciec strugą nieprzerwaną. Coś ciepłego otarło się o nogi. Kot. Zdziś wziął go na kolana i przytulił twarz do ciepłego futra. Kot mruczał: mru-mru... Nieznacznie, jakby od tych pomruków zacisznych, spokój wnikał w serce chłopca. Otarł łyzy i nabierał otuchy. Wróbel zaczął wierkać na drzewie. Zdziśowi błysnął pomysł. Był głodny, jak zwykle. W ogrodzie za parkanem wisały brunatne, brzuchate gruszki. Otrząsnął się i jął obliczać szanse wyprawy o tyle niebezpiecznej, że dość często właściciel miał brzydki zwyczaj czatowania gdzieś w ukryciu. A najgorzej

z tą altaną, porośniętą dzikiem winem i bluszczem. Poprostu nigdy nie można wiedzieć na pewno, czy tam ktoś nie czyha. Trzeba będzie dłuższy czas obserwować przez dziurkę w parkanie, zanim się zaryzykuje skok na tamtą stronę. Należałoby przedsięwziąć wyprawę razem z braćmi. Oni też mają apetyt.

— A ty co tu robisz, huncwocie?

Głos ojca runął na zadumanego chłopca, jak kamień z nieba. Spazm strachu a potem tępa rezygnacja. Ujrzał tylko nos zmarszczony z pasji, ściśnięte brwi i kanciastą grdykę ojca. Wstał i szepnął:

— Ja nic, tato.

— Milcz! Ja wam tu dam! Dlaczego się nie uczysz? co? — huczał głos ojca. — Co? — może chcesz naśladować Sławka? co? — gadaj!

Pytania były tak retoryczne, że gdyby Zdziś nawet zachował przytomność umysłu, nie umiałby na nie odpowiedzieć.

— Czemu nie gadasz? — a gadajże, gadaj, bo cię zatłukę — ryknął ojciec i trzepnął osłupiałego chłopca w kark, potem w plecy, w głowę.

Zdziś trząśł się z płaczu i kurczył pod ciosami. Ojciec, rozjątrzając się własnym krzykiem i płaczem dziecka, wpadł w ślepą wściekłość. Mógł nareszcie odbić na kimś to, co się należało Sławkowi, który zdążył wycofać się na ową szeroką łąkę. Naraz otworzyło się okno „bawialni“. W jego ramach ukazała się gipsowo blada, śladami ospy znaczona, twarz matki i wyblakłemi, znużonemi oczyma patrzyła na męża, znęcającego się nad dzieckiem. Łzy spływały po jej twarzy.

— Kaziu, daj pokój! — szeptała słabym głosem.

— Al! jesteś i ty! — krzyknął na widok żony. — Jesteś! I ty, naturalnie, na mnie. Ja was tu wszystkich nauczę! Sławek uciekł, ale, nie bój się, dostanie on za swoje. Nie daruję mu — sapał i wywijał pięściami w stronę okna.

Interwencja matki pozwoliła Zdzisiowi wykręcić się z pod ojcowskich rąk. Wbiegł przez kuchnię do pokoju i wbił się w kąt między łóżkiem a czarną szafą. Tu zapadł i zwinął się w sobie. Lękał się jeszcze, aby go i tu ojciec nie odkrył. Płakał konwulsyjnie. Czuł się najniesłuszniej skrzywdzony i poniżony. Zapomniał nawet o głodzie. Wydrążył sobie legowisko w słomianym, chrzęszczącym sienniku, jak szczenię, i leżał, pochlipując.

Ten pokój półmroczny z prostym, białym stołem na środku, z czarną szafą, na której wały się jakieś śmiecie, stosy starych gazet, okrągłe pudła, pokryte grubą warstwą kurzu, budził w chłopcu odrazę. W kuchni brzęczały garnki i talerze, myte w brudnej wodzie, wycierane ścierką, wydzielającą niemiłą woń. Na ścianie „Unja Lubelska“ Matejki, wyżółknięta, popstrzona przez muchy. Cisza nieprzytulna, jałowa, wroga. Matka, smutna, jak zwykle, jest pewnie w innym pokoju. Mogłaby przyjść i pogłaskać go po twarzy. Kukułka nad drewnianym zegarem zakukała. Zdziś dygotał z nieutulonego, bezgranicznego żalu w tej samotnej pustce. Niema chyba na świecie istoty, bardziej nieszczęśliwej, niż on. A Sławek? — o! Sławek! — ten sobie biega po szerokiej łące.

Ta łąka! Na jednym jej brzegu bieli się wieża klasztoru bernardynów, a od strony przeciwnej słychać nieustanny ruch pociągów, przesuwanych tam i zpowrotem, albo odjeżdżających daleko, daleko... Daleko? Musi tam być pewnie inaczej. Ładnie, czysto, dobrze i wesoło, ach wesoło! Niema tam ani ojca z czerwona twarzą, ani takich pokojów, ale domy wielkie, jasne, pełne błękitnych ludzi. Właśnie błękitnych. Takich, jak ów jeździec...

Jaki ten las był tam wysoki i niebo błękitne! Powietrze było niby woda płynąca i tak przezrocza, że na dnie widać najdrobniejszy kamyczek, roślinkę, ziarnko piasku. Biegł sobie, białą piaszczystą drogą, wlewającą się w ten las. Nagle wypadł skądś błękitny jeździec. Zdziś zatrzymał się olśniony, zdumiony i trwożny, ale szczęśliwy. Koń był czarny, z ogonem puszystym aż do ziemi, a na nim siedział jakiś pan, jakiś rycerz w obłoku błękitnym. Zdzisiowi aż łzy stanęły w oczach i błoga lubość rozlała się po żyłach, że aż oczy przymknął. Kiedy je otworzył, jeździec był już daleko, hen, na pagórku. Zdziś skoczył w łan koniczyny i pobiegł za nim. Pragnął ujrzeć zjawę raz jeszcze, koniecznie. Leciał, jak ptaszek. Główki koniczyny smagały go po nogach, powietrze furczało, świstało koło uszu, tak pędził, ale kiedy odsapnął na pagórku i spojrzał, nie było już rycerza błękitnego ani tam, ani w dole, ani nigdzie. Zapadł się w ziemię, czy w las, czy uleciał w niebo? W piersiach tylko została parząca tęsknota za nim i żal w myślach: — pójść w świat, odszukać błękitnego jeźdźcę, wejść

w służbę u niego, powędrować z nim, uciec, zniknąć...

— Dostałeś po łbie? — przerwał mu marzenia szept Fredka.

Zdziś nie odpowiedział.

— A myśmy się schowali za sągami pod drewnią...

— I coście robili? — zainteresował się Zdziś.

— Niceśmy nie robili. A potem byliśmy na gruszkach...

— Na gruszkach?

— Chciałbyś spróbować, co?

— Daj, Fredziu, jeść mi się chce.

— Masz.

Zdziś wyciągnął rękę, ale namacał tylko figę, splecioną z palców.

— Głupis, Fredek. Zato nic ci nie opowiem — zemścił się.

— Co mi nie powiesz?

— O błękitnym panu...

— Osioł! — starszy brat lekceważąco wstrząsnął ramieniem.

— A gdzie Sławek?

— A bo ja wiem. Uciekł.

— Uciekł?

— No, pewnie. On już nieraz uciekał. Ale jak wróci, to tato da w skórę, że sobie ruski miesiąc popamięta.

— A tato jedzie na pewno, nie wiesz?

— Jedzie jutro wieczorem.

— Na długo?

— Na dwa tygodnie.

Zdziś zapomniął o bólu, o łzach i o niebieskim rycerzu. — Tato wyjedź! — co za szczęście!

Odezwał się zachrypły głos służącej, Marjanny, która, kusztując na swej drewnianej kuli, zawołała: kolacjal

Zdziś, kryjąc się za Fredka, chyłkiem wkradł się do jadalni. Był to pokój długi i wąski, z oknami na ulicę. Na środku stał stół, przykryty poplamioną serwetą. Zdziś zajął swe miejsce między Fredkiem a Cześkiem. Stołek Sławka był wolny. Zaraz przy matce siedziała mała Wandzia, a na głównem miejscu ojciec. Matka oparła się łokciami o stół. Małego wzrostu, zmęczona, jakoś dziwnie nabrzmiała, patrzyła przed siebie wzrokiem szklanym, pozbawionym światła. Zdziś zawsze bolało to spojrzenie, ale dzisiaj uczucie to przemknęło szybko, bo całą uwagę należało zwrócić na ojca, który w groźnem zasepieniu kręcił sobie papierosa. Milczano. W półmroku, rozświetlonym małą lampką naftową, rodzina ta była podobna do grupy wojskowej w panopticum.

— Jedzcie! — na co czekacie? na marcepany? — zirytowanym głosem zawołał ojciec.

Głowy dzieci skwapliwie pochyliły się nad stołem, ciągnąc z kubków i szklanek żółto-brudny, cikliwy płyn—herbatę z mlekiem—i przegryzając kromką chleba. Ojciec usiadł bokiem, założył nogę na nogę, wyjął cygarniczkę wiśniową i zapalił.

Dzieci zjadły w milczeniu, co było, ale nikt nie ośmielał się wstać. Wreszcie i ojciec zabrał się do

posiłku. Nalał sobie kieliszek wódki, zagryzł kawałkiem chleba z solą i począł chlipać kwaśne mleko z ziemniakami. Zdziś badał z pod oka, jak na tle serwetki, którą sobie ojciec zatknął za kołnierz, rusza się jego wielka, czerwona grdyka. Pośród trwożnego milczenia słychać było tylko bulgot płynu, wlewanego do ojcowskiego gardła. Matka, wciąż nieruchoma, patrzyła przed siebie.

— Czegóż tak siedzicie, jak mrukił — krzyknął ojciec.

Dzieci w zakłopotaniu jęły przebierać nogami pod stołem.

— Psiakrew! Patrzą na ojca, jak kurczęta na rąga! Gadajcież co, albo wam kijem napędzę humoru.

Matka odwróciła twarz na ojca i przemówiła: — Czas spać, dzieci. A nie zapomnijcie o pacierzul

Chłopcy skwapliwie zerwali się z miejsc. Jeden po drugim pośpiesznie podchodzili do ojca, aby go, jak zwykle, pocałować w rękę, ale ponieważ bali się, aby mu łóżki nie wytrącić z ręki, mówili tylko: „dobranoc, tato“ i przechodzili do matki. Gdy Zdziś, nieśmiało mijając ojca, zbliżył się do matki, spoczęła na chwilę jej dłoń kobieca na jego głowie. Chłopiec zdusił w sobie płacz i, tupiąc bosemi stopami, wpadł do pokoju dziecinnego, skąd już rozlegał się piskliwy głosik Wandzi, mówiącej pacierz.

Gdy się obudził, słońce już zalewało podwórze. Przypomniawszy sobie, że dzisiaj dzień radosny, bo ojciec wyjeżdża, żwawo zerwał się z łóżka. Ale gdzie się podział Sławek? Na noc nie wrócił, bo jego łóżko

stało nietknięte. Prześlizgnął się przez kuchnię i wybiegł na podwórze. Z ogrodów wiało świeże, upajające powietrze. Kochał te ciche, samotne poranki. Przyśiadł sobie na cembrowinie studni i rozglądał się dookoła jak wróbel. Zgrzytnęła furtka ogrodowa, i stanął w niej Sławek. Był to młodzieniec wzrostu małego, zwinny, o stalowych, szaro-niebieskich oczach, teraz sypiących iskry, i zaciekłych ustach. Ubranie jego było zbrukane, a na kołnierzu marynarki i na plecach wisiały żdźbła słomy czy siana.

— Ojciec wstał? — zapytał opryskliwie zdumionego Zdzisia.

— Nie wiem, Sławku — odpowiedział Zdziś i uśmiechnął się zyczliwie do brata.

— Idjota! Żaden z was nigdy nic nie wie.

— A ty, Sławek, gdzie byłeś? — ciekawie zapytał Zdziś, oglądając najstarszego spojrzeniem uwielbiającem. — Myślałem, że nie wrócisz...

— Milcz, bałwanie! — syknął Sławek i jął ostrożnie manewrować w stronę domu.

Już było po radości. Dlaczego on na mnie krzyżał? — myślał Zdziś. Dlaczego i on także na mnie krzyczy? Z żalem spoglądał za bratem, który jednym susem wskoczył w okno otwarte i zniknął w domu. — W jaki sposób mogłem wiedzieć, czy ojciec wstał, kiedy już siedzę tu od chwili? Ale może ojciec wstał, bo słyszałem, jak trzeszczało jego łóżko — rozpamiętywał Zdziś.

Nagle ogarnęło go przerażenie. Drewniany domek jakby zatrząsł się od wewnątrz. Ryk ojca leciał stam-

tań jak huragan: „Ty łotrzel! huncwociel! — a masz! A będziesz mnie oszukiwał?! będziesz łgał?!“ — Ojciec przyłapał Sławka i bił go. Ale głosu Sławka nie było słyszeć. Zdziś spadł z cembrowiny na ziemię niby ptaszek, kulą strącony z gałęzi. Krzyk ojca uderzał w niego, chociaż nie do niego był zwrócony. W popłochu i rozstroju jął, jak obłąkany, kręcić się dookoła studni, coraz prędzej, aby nie myśleć. Drżał febrycznie. Cierpiał, jakby bito jego samego, i nawet czuł w swoim ciele ból od tych niewidzialnych ciósów. Wreszcie zatrzymał się, podniósł twarz do nieba, ręce wyciągnął w górę i jął modlić się półgłosem, płacząc i mieszając słowa z „Ojcze Nasz“ i „Zdrowaś Marja“.

Z domu wybiegł Sławek. Z włosami rozwichrzonymi, w marynarce, potarganej z jednego boku, leciał, jak spłoszony żreback, z taką szybkością, że zaledwie Zdziś zobaczył go przy domu, a on był już przy nim. Sądził ogromnymi skokami i kłął. Wpadł do ogrodu, lecz, zanim Zdziś zdążył się zorientować, wrócił i, wycierając sobie chusteczką krew z nosa, rozkazywał groźnie: — Przyniesiesz mi do Łaty skrzypce, książkę płaszczy, pieniądze od matki. Pamiętaj! O trzeciej, bo ci kości połamię. — Pięścią pogroził w stronę domu i poleciał. Zdziś biegł za nim, wołając: — Dobrze Sławku, przyniosę wszystko. Sławek! — tam, z boku, od ogrodu Stempli wylatuje jedna deska. Sławek, tamtędy...

Ale brat nie słuchał. Jego marynarka tonęła w gąszczu zarośli i znów wypływała niby piłka leżąca, którą jakiś olbrzym wyrzucił aż na szeroką łąkę...

II.

GROŹNY PRZESTĘPCA.

Zdziś dobrze nie wiedział, o co właściwie poszło z ojcem. Coś tam słyszał o szykanach, jakimi „Grek” prześladował Sławka i jakichś kółkach politycznych. Dość, że tym razem Sławek już do domu nie wrócił. Zdziś zaniósł mu pokryjomu rzeczy i parę koron od matki do owego Łaty, kolegi Sławka. Brat, wzięwszy je, rzekł: — Czego się gapisz, durniu? Chciałbyś coś wyszpiclować i donieść ojcu? Wynos się! — Zdzisiowi zakręciły się łzy w oczach.

— Dobry z niego chłopak, tylko głupi — dodał brat i odwrócił się.

Odtąd na długo zagaśniał słuch o Sławku. Zdziś przynajmniej niewiele o nim słyszał, a w domu bano się nawet wspominać o nim w przytomności ojca, który, zresztą, wkrótce wybrał się w jedną ze swych długich podróży, witanych przez dzieci westchnieniem ulgi. Drewniany domek rozjaśniał się, jakby go znów nawiedziło słońce. Życie od rana do wieczora miało wygląd zupełnie odmienny, snując się niby jedno pasmo zdarzeń, przygód, spraw radosnych i czarujących. Zaraz po obudzeniu wyskakiwało się z łóżka z głośnym hałasem, leciało pędem w koszuli przez kuchnię na podwórze, by rzucić okiem na czeremchę, niebo, obejrzeć studnię, przepędzić wróble i wmig powrócić. Potężne chluśnięcie wodą w twarz, zwane myciem, wzbudzało wytrysk uczuć świeżych, różnobarwnych,

zgóry naświetlających rozpoczynany dzień na kolory rozmaite, zazwyczaj jasne. Zdziś żywił zaufanie i życzliwość względem wszystkiego, co miało zdarzyć się przez dzień i łatwo zapominał o nieszczęściach i łzach przeszłości. Co najwyżej martwił się, że kromka chleba była nieco za chuda na jego apetyt, albo dostawał gęziej skórki na myśl, że będzie „pytany“.

Bo z tą szkołą były dziwne sprawy. Zdziś nigdy właściwie nie orjentował się, czego sobie życzą od niego nauczyciele. Trudno nawet wytłumaczyć, jakim sposobem przedarł się już do trzeciej klasy gimnazjalnej, jako że mało co rozumiał. Obkuwał się coprawda zaciekle, albo raczej, lękając się ojca, przesiadywał nad książką i mechanicznie wbijał sobie w głowę słówka łacińskie i greckie, oporne jakieś i niepojęte w treści i formie, albo twierdzenia i działania arytmetyczne, zgoła nieuchwytnie i przypadkowe, niby bredzenia warjata. Wyraz przekątnia albo styczna brzmiały mu w uszach niby dźwięk jałowy, bez sensu i wartości, a sam kształt liter słów obcych języków napawał go nudą i smutkiem. Kiedy nauczyciel wywoływał jego nazwisko, Zdziś doznawał drżenia w łydkach, a cały ładunek linii, twierdzeń, formuł, słówek, dat, jaki wczoraj wpakował sobie w głowę, uciekał z niej na łeb na szyję. Głos nauczyciela przylatywał zdaleka, a pytanie obijało się, jak groch o ścianę. Zdziś albo chwytął w popłochu pierwsze lepsze ze słów podpowiadanych, szumiących dokoła niego niby roje strzałek z papieru, albo na chybi trafi belkotał coś, co wykuł, nie wybierając świadomie, ale kojarząc przypadkowo i ze-

wnętrze. Skutkiem tego nigdy nie miał pewności, czy chybił, czy trafił, i zawsze na rozkaz: „siadaj“ wpadał w chaos wątpliwości, chyba że nauczyciel — co z niezgłębionych racji wiedzy pedagogicznej trafiało się wyjątkowo — sam kwestję rozstrzygał wyrokiem: „osiół jesteś, siadaj!“, albo zamykał inkwizycję błogiem: „dobrze, siadaj!“ Ale dlaczego otrzymał stopień dobry lub zły, tego problemu Zdziś nigdy zgłębić nie potrafił. Była to zabawa w ciuciubabkę, niewinna, gdy ojciec podróżował, niebezpieczna, jeśli przebywał w domu. W tych sprawach, zarówno jak w wielu innych, a właściwie to może i we wszystkich innych Zdziś, prawdę mówiąc, nic nie pojmował. To też, kiedy przeczuwał niebezpieczeństwo „wyrwania“, modlił się goręcej, niż zazwyczaj, zdając się głównie na pomoc boską, bo ludzkiej pomocy żadnej oczekiwać nie mógł, chyba od podpowiadającego kolegi. Ale była to rzecz mocno ryzykowna. Ileżto razy bowiem właśnie podpowiedziane słówko stawało się przyczyną straszliwego: „siadaj, ośle.“ Osiół siadał, napróżno głowiąc się, który to król, albo jaki bok trójkąta wtrącił go w towarzystwo ryczących kłapouchów. Nie znajdował w jaśnienia w twarzach kolegów, ani na suficie, ani w ramie okiennej, a nawet niebo błękitne milczało okrutnie. Pograżony w odmęcie kwadratów, cyfr, bitew, słówek i składni, spuszczał wtedy głowę, albo bezmyślnie wybałuszając oczy, albo bażgrząc nieprzytomnie bezsensowne linie. Świat zaiste pełen był zagadek nierozwiązalnych.

Ale pewnego razu nawet cios w postaci pały wcale go nie wzruszył. Nauczyciel łaciny, a zarazem

dyrektor gimnazjum, o przydomku „Pruła“, zainteresował się mianowicie opinią Zdzisia co do *coniunctiv'u* słowa: „credo“, która mianowicie brzmiała: „credivere“. „Pruła“, wzburzony do samych wątpi tak lekkomyślną opinią ucznia, z punktu wyrznął mu pałę. Aliści zuchwały Zdziś usiadł i nie martwił się z tego powodu ani przez sekundę. Usiadł i wziął się bezzwłocznie do tej samej roboty, jakiej oddawał się w ciągu całej godziny, a mianowicie nastawił uszu w stronę okna i z uporem zerkał poza budynek szkolny. Wyczekiwał. Czekał hasła. Jak to hasło miało wyglądać, tego nie wiedział, ale że miało zjawić się, o tem był przekonany. W tych dniach mianowicie, według głuchych i nader zagadkowych pogłosek, które rozeszły się pośród chłopców, sąsiadujących ze Zdzisiem przy ulicy Bernardyńskiej, miało wybuchnąć powstanie. Na dany znak ruszą stąd i stamtąd „sokoli“ i rozpocznie się powstanie. Nikt nic wyraźnego nie mówił, ani nie słyszał. Jeden tylko z chłopców, bliżej zresztą Zdzisowi nieznany, pokazywał jakąś czerwoną kostkę i twierdził, że „tacy“, co wiedzą, to rozumieją i już. Zdziś wobec tego postanowił także pójść do powstania i to nieodwołalnie, ale krył się z tem i czekał tylko na hasło. Dlatego nic go ta pała „Pruły“ nie wzruszyła.

Ale minęła godzina, „Pruła“ poszedł, po pauzie zaczęła się historia, a hasła ani nie widać, ani nie słychać. Zdziś był zaniepokojony. W zamyśleniu zauważył śmieszne wykrzywienie ust „pana“, który, wyciągając szyję, prawił coś o Peryklesie, gdy naraz do

uszu Zdzisia doleciał dziwnie trzeszczący głos trąby. Ognisty dreszcz wzburzył serce chłopca. Ujrzał odrazu gdzieś, jakby pod Zamkiem, czapki z piórkami, czerwone koszule, sztandar z białym orłem, lśniące rury karabinów, cały oddział, hucznie i szumnie ruszający na powstanie. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że to hasło. Podniósł palec do góry i, wymówiwszy sakramentalne: „prosz pana profesora“, wypadł, jak wyżeł, i pogonił pod Zamek. Uniesienie rozpierało mu piersi. Starożytny Zamek, otoczony fosami, szary, okratowany, za czasów austriackich przemieniony na kryminał, stał tuż pod miasteczkiem. Trzeba tylko było przebiec aleję kasztanową. Zdziś prędko znalazł się u celu. Po drodze zastanowiło go jednak, że nigdzie nie spotkał oznak niezwyklej chwili, nic bo nie wskazywało na wybuch powstania. Ale pod Zamkiem ogarnęła go wprost rozpacz. Pustka i cisza. Szare mury, zimne i surowe, o zakratowanych oknach, stały obce i niewzruszone. Na szerokiej ścieżce, wiodącej od alei pod Zamek, nie spotkał ani jednej osoby. Gliniasta, elastyczna ścieżka wlokła się żalosną wstęgą w stronę wzgórza nad rzeką. Wzrok Zdzisia tęsknie pobiegł nad rzekę... Może tam? — Ostatkiem nadziei rozgrzany, puścił się na wzgórze sfalowane, pokryte zrudziałymi kępami trawy. Pasło się tam kilka krów. Jedna z nich podniosła rogaty łeb i spoczęła na chłopcu swem wielkiem, ciemno-fioletowem, spokojnem okiem. Zdziś przysięgłby, że krówsko pragnie mu coś zakomunikować, ale stworzenie przeżuujące machnęło tylko obojętnie kostropatym ogonem, od-

wróciło łeb i z najzimniejszą flegmą jęło różowym ozorem zawijać nędzne, jesienne zielska.

Ostatni promyczek nadziei zgasł, zdmuchnięty ogonem krowim. Należało wracać. Właśnie rozwarła się ciężka brama Zamku, wypuszczając oddział aresztantów, odzianych w brudno-szare bluzy i obszerne szarawary. Widok ich wzruszył Zdzisia. Zwłaszcza płaskie mycki na głowach kryminalistów przejęły go boleścią. Przystanął i zapatrzył się w oddział, prowadzony przez strażnika z krzywą szablą u boku. Na tej ścieżce, ciągnącej się wzdłuż murów, było teraz jeszcze smutniej, jeszcze bardziej żałośnie. Chłopiec włókł się znużony. Jeszcze radosnym pogłosem brzmiał triumfalny okrzyk tajemniczej trąby, lecz ponury cień Zamku i gromada kryminalistów, za którymi podążał, zjadliwie gasiły błędne ogniki zagadkowego porywu.

Dopiero podługowata żółta kamienica szkoły przypomniła mu o dotkliwej realności życia. Poczuł głód. Kiszki piszczały i lamentowały wrzaskliwie i despotycznie, burcząc i wołając o jadło. Właśnie była „wielka pauza“. I tłum uczniów tłoczył się w korytarzach, hucząc, krzycząc i poszturchując „mikrusa“.

Każdy coś konsumował. Ten ścisnął bułkę z kiełbasą, ów miażdżył „precle“, aż trzeszczało, inny zjadał „wurstle“ z chrzanem. Zdziś — zapewne, aby nabrać sił do powstania — dawno już zjadł swą jałową krómkę chleba. Głód wparł się w żebra tak brutalnie, że chłopiec odruchowo zbliżył się do bufetu podobnego do tratwy, zalanej przez morze głów i rąk. Leżały na nim całe sterty bułek, ponętnie przyrumie-

nionych, stosy kiełbas, piramidy słonych „rogali“, pokłady chleba z masłem i serem. Zdziś wkręcił się w tłum, zapuścił rękę w barokową wieżycę pieczywa i złowił „precla“. Liczył na to, że w takiej ciżbie, wśród setki rąk, chciwie plondrujących, pani tercjanowa nie dostrzeże jego ręki, i niebacznie los może całej przyszłości swojej zawiesił na tym włosku. Nadzieja go nie zawiodła. Wywinął się z tłumu szczęśliwie i, chrupiąc zdobycz, przedzierał się do swej klasy na pierwszym piętrze. Błogostan trawiącego żołądka zamglił wszystkie inne wrażenia i uczucia.

Klasa była pusta. Usiadł na swoim miejscu, kończąc spożywanie „precla“, który zresztą wcale głodu nie ukoił. Był zły. Rozejrzał się po klasie i jakby po raz pierwszy w życiu ujrzał nad katedrą portret cesarza. W czarnej, lśniącej ramce, w szacie pontyfikalnej, z bakenbardami na wydętych policzkach, sztywny, zawsze taki sam nudny, wisiał Franciszek Józef I, rybie oczy wylupiając na izbę szkolną. Zdziś wpakował ręce w kieszenie krótkich, podartych spodniek, zadartł głowę i oglądał go dokładnie. Naraz zapaliła się w nim taka wściekła pasja, że z rozmachem plunął w najjaśniejsze oblicze jeden raz i drugi, i trzeci. Z pewnością żaden mściciel nie doznawał nigdy tak całkowicie doskonałej rozkoszy, jaką w tej chwili czuł mały Zdziś.

Ale dopiero po spełnionej zbrodni strach okropny obleciał chłopca. Wykradł się z klasy i pobiegł na wielki dziedziniec szkolny. Najpierw krążył bokami, jak przestępca, ale zapasy brykających kolegów po-

rwaly go w swe wiry. Rzucił się między walczące obozy i jął wywijać pięściami, grzmocić, dawać sówki, przemykać się, uciekać, atakować. Przerażliwy głos dzwonka, zwiastujący koniec pauzy, otrzeźwił go odrazu. Co teraz będzie? Tyle przestępstw naraz! Przedewszystkiem opuścił „historję“... potem... gdyby zbadali, co potem...! Ziąb prześlizgnął się między włosami. Cofał się przed tą przepaścią, jaka się przed nim otwierała. Zdrętwiały, przycupnął na swej ławie, usiłując pomniejszyć swe drobne ciało do wielkości muchy. Sąsiad szturchnął go, zawiadamiając, że „historyk“ nie zauważył jego dezercji.

Tymczasem do klasy wtarabanił się „Niemiec“, biały, tłusty pęcherz, ciągle cmokający wargami, jakby coś ssał. Zdziś nie odważał się patrzeć. Wołał nie widzieć. Chwila ciszy, jaka zapada, zanim nauczyciel otworzy dziennik, zapisze lekcję i, popadłszy w zadumę, rozważa, kogoby tu „wyrwać“, była dla Zdzisia godziną męki. Był on przeświadczony, że „Niemiec“, idąc do katedry, musiał spostrzec ślady zbrodni na najjaśniejszym konterfencie. Teraz z pewnością stoi, patrzy, ogarnięty gniewem straszliwym, i wzbiera zgрозą, oczami, płonącemi jak u djabła, świdruje klasę, tropi, szuka. Teraz oparł wzrok na nim... Zdziś spłaszczyl się i ukrył całkiem za plecami kolegi. Żeby mu tak szczękają, że słyszy ich szklany dźwięk. Ciszę rozcina skrzeczący głos nauczyciela: „Kwastowski“. Stało się. Zdziś czuje jakąś nicość próżną i przezroczystą.

— Powiedz mi, Kwastowski, co to znaczy kot — pyta „Niemiec“.

Zdziś, jakby doznał jasnowidzenia, oświadcza, że kot znaczy: „Die Katze“. Potem tegoż kota niemieckiego odmienia, jak z nut. Następnie, na rozkaz nauczyciela, zapytuje kota po niemiecku, dokąd on poszedł, a wreszcie i zapytuje, i stwierdza równocześnie, że kot nigdzie nie poszedł, a mówi to wszystko z nieulęklým instynktem urodzonego germanisty. Zdziś uszom swoim nie wierzy. Niemiec bowiem powiada: „siadaj, sehr gut“. Po klasie rozchodzi się szum podziwu. Zdziś, czerwony, szczęśliwy, siada z taką miną, jakby się miał rozplakać. Z ciemnych spraw tego świata pojmuje teraz jeszcze mniej, niż kiedykolwiek. Przypuszczał, ba, miał pewność, że „Niemiec“ zauważył zniewagę portretu. Jakże mógł nie zauważyć, idąc ku katedrze? Przecie on, Zdziś, chociaż wołałby raczej zajrzeć teraz w paszczę djabłu, niż cesarzowi, dotąd widzi dokładnie plamy na fotografii. Czy ten „Niemiec“ oślepl? W tej chwili kolega uszczypnął Zdzisia, szepcząc zjadliwie: „kujon“, ale Zdziś nie obraził się z powodu tej obelgi. Owszem, ból przyprowadził go nieco do przytomności, bo najpierw „oddał“ koledze, co mu się należało, a potem ośmielił się zerknąć na cesarza. Zerknął jednak tylko i zaraz pokornie spuścił oczy, bo wydało mu się, że ślady jego postępków zamieniły się w majestatyczną plamę. Ale gdy lekcja toczyła się dalej zwyczajnym trybem, zerknął znowu zdumiał się. Ślady zbrodni rozplynęły się nieznacznie. Zbrodnia, jak tyle innych zbrodni ludzkich, pozostała w ukryciu.

III.

ŚMIERĆ MATKI.

Tego dnia pędził Zdziś do domu, wzdęty dumą i napełniony wiarą w siebie. Zapomniawszy o wszystkich klęskach i występkach, wspominał tylko dzieje triumfu nieoczekiwanego, olśniewającego, który w sercu jego wzmocnił jeszcze głęboką sympatję dla rodzaju kociego. Marzył, że wpadnie do domu i rozgłosi swe zwycięstwo, wprawi w podziw rodzeństwo, na usta smutnej matki przywoła uśmiech. Tymczasem z wielkiej uciechy puścił kamyk w czeredę wróbli pod farą i omal nie wybił szyby w mieszkaniu księdza proboszcza. Świat cały uśmiechał się do niego. Nawet jego przyjaciel, Majer, imponujący mu grą na skrzypcach (bo Sławek grał na skrzypcach, a wszystko, co Sławek robił, było godne uwielbienia) — i pięknem mieszkaniem, wyraził zwycięzcy „niemieckiego“ ciche uznanie, proponując korzystną nader tranzakcję, a mianowicie zamianę jednej „Argentyny“ na „Chili“ i na „Szwajcarję“. Zdziś zgodził się i zaprosił przyjaciela na trzecią do ogrodu.

Ale wszystko się jakoś poplątało. Zaraz we drzwiach wyłajała go Marjanna, że narobił tyle „rejwachu“. Potem spostrzegł w mieszkaniu chudą, wysoką i ciemną postać przyjaciółki matki, pani Kurowskiej, która z punktu pogroziła mu długim cybuchem swej nieodstępnej fajki. Zdziś stropił się w pierwszej chwili, podejrzewając, że jeśli tu jeszcze niewiadomo

o jego triumfach, doszły natomiast może wieści o jego występkach. Wsmyknął się do pokoju, w którym siedziało rodzeństwo milczące. Co się stało? Może ojciec wrócił? — Nie, ale mama zachorowała.

Z sypialni rodziców, która stanowiła jednocześnie jadalnię, płynęły głuche jęki i postękiwania. Dzieci jadły w swoim pokoju. Zdziś, zaskoczony wiadomością, z trudem łykał zupkę, wsłuchując się w dźwięki, szmery i zagadkowe odgłosy sypialni. Pojawiła się jakaś obca pani, która odrazu wzięła się do wydawania rozkazów służącej a nawet pani Kurowskiej i, co Zdzisia zdumiewało, wszyscy byli jej posłuszni. Z drewnutni przyniesiono wanienkę, leżącą tam wśród połamanych koszów, zardzewiałych obręczy i śmiecia. Po obiedzie kazała obca pani wogóle wynieść się dzieciom. „A nie wrzeszczeć tam na podwórzu, bachory, bo mama chora“ — dodała.

Zabawa jednak nie kleiła się jakoś. Wspaniałość triumfu wydała się teraz Zdzisiowi czemś obojętnem. Był zniechęcony. Cichutko usiadł pod studnią i zamyślił się. To przesunęła się przed oczami mała postać matki, o twarzy bladej, naznaczonej dołkami po ospie, to znów zachrzypiał refren trąby, wzywającej do powstania, albo mignęły czerwone policzki „Pruły“. Ale nic go nie cieszyło, ani nie smuciło. Wszystko było jakby zalane wodą szarą i żółtą, stojącą zawsze bez ruchu i okropną. Najchętniej wziąłby się do wycinania figurek z papieru, albo do kaligrafji, i podsłuchiwałby, co się tam dzieje w pokoju matki.

Majer nadleciał z hałasem. Zdziś nakazał mu spokój i zaprowadził w głąb ogrodu, gdzie mu wszystko dokładnie opowiedział.

— To się wiel — oświadczył z lekceważeniem przyjaciel. — Twoja mama urodzi nowe dziecko.

Zdziś wsłuchiwał się z natężeniem, bo chociaż to i owo obito mu się o uszy, niewiele jednak z tego rozumiał. Teraz dopiero dowiadywał się jednego po drugim, drżąc i wzdrygając się na lubieżny chichot doświadczonego przyjaciela, schylonego nad nim i odkrywającego mu najtajniejsze tajemnice życia. Kiedy Majer skończył i zapytał Zdzisia, dlaczego milczy, ten tylko kiwnął głową niedowierzająco.

— Jak Boga kocham — zawołał Majer — jakiś ty głupi! Myślisz, że to bocian przynosi małe dzieci?

Zdziś jednak nie odpowiadał. Wobec tego Majer wyjął dwa papierosy, chłopcy zakryli się krzakami agrestu i zapalili. Teraz dopiero Zdziś przystąpił do dalszych zwierzeń, zaczynając od sakramentalnego: „Wiesz co...“; wyznał tajemnicę czerwonej cegiełki, trąby, przyznał się nawet do sprawy z portretem, tylko o „preclu“ zataił, odkładając sobie ten grzech do spowiedzi. Ciężki smutek — zdawało się — odpływa, sącząc się cienkimi strumykami z żalosnem mru-czeniem i pluskiem. Ochota do skoków, figlów i śmiechu zaczęła się tuż pod sercem, lecz nie mogła się wyzwolić swobodnym wybuchem. Nagle Zdziś porzucił przyjaciela, uciekł od niego i skrył się w kędzierzawych gąszczach ogrodu. Tu, zaczaiwszy się, zwinął pod siebie nogi i, przez nikogo niewidziany, zapłakał

płaczem dziecka, któremu jest źle, chociaż przyczyn zmartwienia nie potrafi ukazać.

Płakał długo, aż spostrzegł przyjaciela swego, kota, czającego się na gałęzi jabłoni. Kot położył łeb na gałęzi. Jedną łapkę prątkowaną wyciągnął. Lśniły w niej zakrzywione pazurki. Oczy świeciły jednostajnym, ponurym płomieniem. Chłopiec zawołał: kicił kicił, ale kot ze złością machnął ogonem, odwracając się od chłopca, jakby go nigdy nie znał. W gałęziach zatrzepotało, i wróbel, głośno furcząc, uleciał w błękitne niebo. Zdziś sięgnął ręką do przyjaciela, który jednak, zadartszy ogon, z godnością wdrapał się wyżej, zgóry spojrzął na chłopca i zniknął w gałęziach.

W poczuciu najzupełniejszego osamotnienia wrócił Zdziś wieczorem do domu. Machinalnie wziął się do lekcyj, ale szept i westchnienia matki nie pozwoliły mu się uczyć. Odłożył książki, zarył się w swoim kącie na łóżku i zapadł w słodką drzemkę. Naraz ocknął się. Była głęboka noc. Z pokoju matki rozlegał się pisk niemowlęcia. Zdzisia przejęła odraza, jakiej doznał podczas rozmowy z Majerem, lecz w głębi nurtowała zarazem troska, czy temu tam płaczącemu nie stała się jakaś krzywda. Najbardziej jednak niepokoiła go myśl, dlaczego zamilkła matka. Zbliżył się do przymkniętych drzwi i przez szparę ujrzał w mdłym oświetleniu bielejącą poduszkę a na niej stworzenie, przebijające nóżkami i rączkami i wydzierające się na cały głos. Obca kobieta razem z panią Kurowską, pochylone nad poduszką, ubierały i zawijały niemowlę, szepcząc gorączkowo i przebijając w ko-

szulkach, szmatkach i czepeczkach. Zdziś przyglądał się tajemniczemu obrzędowi w osłupieniu. Matki, której łóżko przylegało do ściany, nie mógł dojrzeć. Wpatrywał się chciwie, jakby miał tego widoku nauczyć się napamięć. Podszedł Fredek i wsunął głowę tak niezręcznie, że drzwi skrzypnęły, ściągając uwagę kobiet. Chłopcy odskoczyli, ale pani Kurowska wyszła do nich i, złowrogo błyskając białkami czarnych oczu, krzyknęła: — Bezwstydnicy! Jeśli mi który będzie jeszcze podglądał, to mu skórę wytataruję cybuchem, że popamięta! — Ale krzyk jej nie wywarł wcale wrażenia.

Zdziś wsłuchiwał się w szmery nocy. Zaczął deszcz padać. Niemowlę przestało kwilić i cisza ponura zawładnęła mieszkaniem. Trwoga oblegała domek, stukała gałązkami w okna, drapała pazurami w ściany, wyzierała z kątów pokoiów, pełnych cieni ruchliwych, pełgających. Jeszcze od czasu do czasu napływało z pokoju matki ciężkie westchnienie, jakby wzdychał ktoś, przytłoczony głazem. Przesunęła się postać akuszerki albo pani Kurowskiej, wciąż szeptających z sobą. Wreszcie ucichło wszystko. Tylko wahadło zegara tykało cierpliwie i deszcz szklanym dźwiękiem żałośnie pluskał za oknami. Przez światłomocność Zdzisia przepływało uczucie grozy, lęku i odrazy, a świat pozbawiony był kolorów i blasku, jakiś nagi, strupieszwały i zły. Nikogo tu nie kochał, oprócz matki, zawsze zajętej lekcjami w szkole, gdzie była nauczycielką, skutkiem czego mało miała czasu, aby tkliwą czułością wyrozumieć skryte trwogi i niepokoje dziecka.

Teraz leżała tam samotna, i Zdziś był bezradny, jak wówczas... To wspomnienie wracało mu raz po raz pośród myśli postrzępionych i majaczących obrazów. Było to o zmierzchu, po pogrzebie małego dziecka. Rodzice stali pod oknem tamtego pokoju, gdzie teraz leży matka, a Zdziś, niespostrzeżony przez nich, siedział pod stołem i widział, chociaż ani wtedy ani nigdy potem nie dowiedział się co to było. Matka jakaś martwa, zimna, mała oparła się o framugę okna. Ojciec przemawiał chrapliwym głosem i wyciągał do niej dłonie o długich, zakrzywionych palcach. Matka milczała, albo odpowiadała szeptem. Zdziś czuł, że matka boi się, strasznie się boi tych zakrzywionych rąk, i siedział bezradny, z przerażeniem podpatrując dziwne zachowanie się tych dwojga ogromnych osób.

Matka rzadko bywała wesoła. Namiętnością jej było czytanie po nocach książek, których treść dokładną opowiadała potem pani Kurowskiej. Dzieci, leżąc już w łóżku, wysłuchiwały tych nieskończonych opowiadań, a Zdziś, ukołyszany głosem matki, wpadającym z drugiego pokoju, usypiał, marząc o bohaterach, o przygodach dziwnych i strasznych, o złych mężczyznach i łagodnych kobietach. Teraz przypominał mu się jeden obraz z tych opowiadań. Kładka w górach nad przepaścią. Wchodzi na nią para, mężczyzna i kobieta. Pan zaprasza panią, aby weszła pierwsza, i strąca ją w przepaść.

Zdziś zatrząśł się z oburzenia na okrutnego pana, który przypominał mu raczej ojca, niż błękitnego rycerza. Błękitny rycerz! Oczy chłopca napełniły się

łzami entuzjazmu i tęsknoty. Obraz przesunął się i szezeł jakby zgaszony deszczem, chlapiącym za oknami. W pokoju matki znowu słyhać było szmery i szepty. Dziecko zaczęło kwilić, i akuszerka, zła i zaspiana, wciąż przechodziła przez pokój dziecinny do kuchni. Po jakimś czasie wypadła z pokoju matki pani Kurowska i głosem spłoszonym zawołała na akuszerkę, gotującą coś w kuchni: — Chodźno, panil — Jej oczy, czarne i złe, były wystraszone. Obie kobiety prędko pobiegły do sypialni i teraz, co Zdzisia zasta nowiło, rozmawiały już na głos. Matka natomiast ucichła jakby jej wcale nie było.

— Zimna, jak lód — rzekła akuszerka.

— Dajno, pani, lusterko, Jezus Marja! — Trzeba wezwać doktora. — Telegrafować po męża! — rozkazywała pani Kurowska.

W mieszkaniu zakotłowało się. Marjanna, w narzuconej na głowie chustce, stuknęła gwałtownie swym drewnianym kikutem. Fredek wsunął się w drzwi sypialni, Czesiek, obudziwszy się, jął buczeć.

Zdziś tkwił przy stole nieporuszony, zziębnięty, osłupiały. Opuściły go myśli i marzenia. Stężał w sobie, czekając i nie mieszając się do niczego, obojętny na to, co się dokoła niego działo. Popłoch ustał. Dziecko się uciszyło. Tylko Czesiek pochłipywał. Pani Kurowska miotła się tam i zpowrotem, wysoka, chuda, czarna. Deszcz lał, i chłód, coraz bardziej dojmujący, wciskał się do mieszkania.

Ojca spodziewano się na ósmą rano. Tymczasem nadszedł doktor z parasolem, posępnie błyszczącym,

i udał się do pokoju matki. Przez chwilę dom cały i wszyscy, co się w nim znajdowali, zastygli w oczekiwaniu. Cisza była taka, że Zdziś słyszał wyraźnie trzeszczący syk płomienia naftowej lampki.

Potem wyrazy: — Serce nie bije. Upływ krwi. Wycieńczenie. A to? — pytał głos doktora.

— Chora wymiotowała — odpowiedział głos pani Kurowskiej.

— W takim stanie żywiła się kluskami, przy tak słabym organizmie... Co? — ósme dziecko! — Jak? — Trzy umarły... hm... no tak! Jestem tu niepotrzebny. Proszę zawiadomić „fizyka“, aby urzędowo skonstatawał skon. — Dowidzenia. Dowidzenia.

— Panie konsyljarzu! — wiercił w uszach łkający głos pani Kurowskiej.

— Cóż robić, pani dobrodziejko... Śmierć nie pyta. Szkoda. Czterdzieści lat. Nie dbała o siebie... To smutne... hm... sieroty... tak... I to maleństwo. Co? Dziewczynka? Zdrowa. Drogo zapłaciła matka za jej życie, drogo...!

Zaskrzypiały deski podłogi. Tym razem lekarz badawczo rozejrzał się dokoła. Zdziś zsunął się ze stołka, lodowaty, milczący. Nie doznawał żadnego wzruszenia. Zamknęło się w nim coś, czego nazwaćby nie potrafił, i zatrzęsnęło na zawsze. Szurgnął nogami doktorowi na pożegnanie i oparł się łokciem o stół, ciekawie czytając z podręcznika Fredka paragraf o drugiej wojnie punickiej. Potem zwinął się w kłębek w swym kątku na łóżku, przy czarnej szafie, i usnął w ubraniu.

Wyszarpnęły go ze snu jakieś wołania i okrzyki. Mróz przepłynął mu po plecach. Był to głos ojca. A przecie ojciec wyjechał! Zeskoczył z łóżka i w strachu panicznym, jak ćma lecąca w ogień, wbiegł do sypialni. Tak, to był ojciec. Zgięty wpół nad łóżkiem, mówił do matki, leżącej sztywno, białej i surowej.

Ojciec wołał: — Józik, wstań! Żono, przyjacielu! Tyś nie umarła, to nieprawda! — Unosił jej ciało, całował, tulił do siebie. — Czy ci tu było źle? — powiedz! Obudź się! Ty śpisz tylko! Pozwolili ci usnąć? Czemu nie było mnie przy tobie, jabym ci nie pozwolił usnąć. Ale ty żyjesz, prawda? No, powiedzże słówko, odezwij się, na miłość boską! Nie, ona nie umarła. Dzieci, Józik, nasze dzieci, sieroty... co się z nimi stanie? A ja miałem przecucie. Mówiłaś: „jedź!“, mówiłaś: „jeszcze czas“, a ja przecie nie chciałem wyjeżdżać. No, uśmiechnijże się. Porusz temi ustami! Powiedz coś! Przynieście lusterko, prędzej, dzieci!

Nachyliwszy się tak, że czołem dotykał prawie twarzy matki, przyłożył jej lusterko do warg. Twarz miał zczerniałą ze zmęczenia, brwi nastroszone podnosiły się i opadały. Głos chrapał i łkał, krzyczał i prosił, błagał i czynił wyrzuty. Spojrzał na lusterko i krzyknął okropnie: — Umarła! Umarła naprawdę. Czemuście do tego dopuścili — rany boskie! Nie wolno było pozwolić jej usnąć! Umarła na zawsze. Boże! — za co mnie tak karzesz! Com Ci zawinił? Czy nie kochałem jej? Przyjaciółko moja, Józik, żono! Nie

przemówisz już nigdy, nie pocieszysz, nie dasz rady dobrej! Tyle złego i dobrego przeszliśmy wspólnie, a teraz ty uciekasz. A dzieci, Józik, dzieci nasze!

Zdziś, struchlały, stał o kilka kroków, słuchał i patrzył. Rodzeństwo, pani Kurowska, Marjanna, kilka osób obcych, które wstąpiły na wieść o nagłej katastrofie, szlochały głośno, wtórując rozpaczom ojca. Zdziś tylko był jakiś zdrętwiały, jakby ta sprawa nie dotyczyła jego osoby. Wpatrywał się chciwie w łagodną i spokojną, chłodną twarz matki. Zapamiętał głębokie cienie pod jej oczami i zakrój warg przyciętych, obojętnych na wszystko. Lecz długo nie mógł tu trwać, tak przyrośnięty do tej sprawy niepojętej, i wyszedł na ogród mokry po całonocnej plusze. Tym razem nie przemawiały doń jednak drzewa i krzaki, a nawet niebo i daleka perspektywa na łąkę nie kusiły jego wyobraźni.

Przypomniał mu się pewien wieczór, spędzony z matką. Była to zima, po świętach i wieczór. Ojciec wyjechał za swojemi interesami, a matce pozostało jeszcze kilka dni wolnych od szkolnej pracy. Położyła się wcześniej, niż zwykle, do tego samego łóżka, na którem teraz spoczywa śmiertelnie blada i milcząca, pod czerwoną kołdrę, uśmiechała się wesoło — jak nigdy — dobra taka i miękka. Zdziś usiadł przy jej nogach. W pokoju było cicho, przytulnie i ciepło, chociaż mróz i śnieg srożyły się za oknem. Matka baraszkowała z nim, żartując i uśmiechając się pieszczotliwie. Jadła suchy chleb i mówiła, że po świątecznych przysmakach chleb jest najlepszą potrawą.

W Zdzisia ugodziła rozpacz. Spazm zdusił go za gardło i łzy buchnęły z oczu. Podniósł głowę i jął krzyczeć w sine niebo: — mamol mamol — Wiedział przecie, że ona tam leży na tem samem łóżku, pod tą samą kołdrą, lecz nie poszedł tam, nie klęknął u jej nóg zimnych, lecz z płaczem szukał jej w przestworzach. Ale szukał napróżno. Na jego krzyk rozpaczliwy nikt nie odpowiedział. I tak brodził jeszcze długi czas po krzakach i chaszczach, aż go zawołano z domu. Otarł łzy i, spuściwszy powieki, zasiadł do śniadania, o wiele obfitszego, niż zazwyczaj, bo o sieroty zatroszczyli się krewni i przyjaciele.

Ojciec nie pokazywał się. Zamknąwszy oczy żonie, zabrał się do przygotowań pogrzebowych i przy pomocy Fredka ekspedjował listy z czarnym, okropnym szlakiem.

Po południu przyjechał Sławek. Zdziś patrzył ze zdumieniem, jak brat najstarszy witał się z ojcem, całując go w rękę, i jak ojciec ze łzami w oczach wiódł pierworodnego do zwłok matki. Sławek nie zadawał się jednak z rodzeństwem, i Zdziś tylko z rozmów dorozumiewał się, że brat znowu uczęszcza do szkoły, tylko w innem mieście.

Przez cały dzień panował w domu ruch niezwykły. Matkę ubrano w czarną suknię i ułożono w „bawialni“, w ponuro błyszczącej trumnie. Od płonących, żółtych świec i od zieleni kwiatów padały na białą twarz matki cienie i smugi. Znajomi i uczennice, krewni a nawet ludzie obcy wstępowali tu, aby się pomodlić albo pogapić. Nieustające szepty, westchnienia

łkania otaczały trumnę niby obłokiem świętości, ale Zdziś zachodził tam na chwilę, ukradkiem spojrzał na twarz matki i wymykał się. Dręczyła go cikliwa woń topiącego się wosku, odór lakieru i zaduch, płynący od rozgrzanych liści kaktusów, oleandrów i bukszpanu. Tułał się po mieszkaniu, niechętnie dawał się całować ludziom, pocieszającym sierotę, i jadł więcej, niż kiedykolwiek.

Z pośród wielu krewnych, zjeżdżających się na pogrzeb, zaciekał go tylko jeden wuj w ciemnej czamarze, przepasanej pasem rzemiennym, zapinanym na świecą sprzączkę z białym orłem. Z prawego boku powiewał mu pusty rękaw, jak sztandar. Wuj bowiem brał udział w powstaniu, i kula armatnia urwała mu prawą rękę. Zdziś podziwiał jego męską postać, zwłaszcza zaś imponował mu, kiedy lewą ręką wyjmował pudełko z tytoniem i, zgrabnie przerabiając palcami, skręcał sobie papierosa.

Wśród nastroczających się rozmaitych rozrywek najważniejszą przyjemnością było kilkudniowe „wolne“ od szkoły, oraz włożenie nowego ubranka z białym szlakiem. Zdziś z dumą przeglądał się w lustrze, i wydało mu się, że się już stał osobą znaczącą w życiu, ponieważ traktowano go z wyróżnieniem a nawet Major odwiedził go po lekcjach, dał mu „Chili“ całkiem za darmo i zawiadomił, że Pruła „tego, co wiesz“ nawet się nie domyśla. Miał także Zdziś jedną chwilę szczęścia, gdy Sławek, mijając, poklepał go poufale po głowie. Rozrzewniony Zdziś chciał brata pocałować w rękę, ale Sławek odskoczył i syknął: „idjota“. Zdziś

pierwszy raz chyba w życiu zbuntował się i odpowiedział bratu: „sam jesteś idjota“. Musiało to Sławka przejąć zdziwieniem, ponieważ zawrócił, ujął Zdzisia pod brodę i, wpatrując się w niego badawczo, mruknął: „no — no“ — i uśmiechnął się.

Ale pod wieczór wszystkie drobiazgi ruchliwego dnia, odrywające wyobraźnię od katafalku, straciły moc władania. Mały drewniany domek zaległa cisza, przesycona dusznością topiącego się wosku i świeżego lakieru. Blask świec, czerń szarf, lśnienie wieńców i trumny, otoczonej połyskującą sztywnością egzotycznych roślin, towarzyszyły myślom bezustannie, jak uparty, grobowy refren. Za oknami czaiły się widma bezkształtne i gałęzie znów drapały w ściany. Nie było już mamy! W trumnie wprawdzie spoczywało coś podobnego do matki, ale podobieństwem upiора, budzącego strach i odrazę. Nie było się do kogo przytulić albo przynajmniej pomyśleć, że jest tam w drugim pokoju ktoś, co z rana bodaj uśmiechnie się i pogłaszcze. Zawinąwszy głowę poduszką, chłopiec łkał pokryjomu. Mama umarła na wieki, na wieki... Na wieki?... Co to znaczy na wieki? Co to jest wieczność, o której tyle razy wspominał ksiądz na ekshortacji? I jutro nie, i pojutrze, i za tydzień, i jeszcze potem, dalej, zawsze, nigdy... nigdy...! Otwierała się jakby długa komora wdół, szara, bez światła i bez końca, bez zatrzymania. Zdziś wyteża wzrok, aby sięgnąć dalej, jeszcze głębiej, dobiec i uchwycić wreszcie, oprzeć się, lecz, najdalej nawet zapuszczając się wzrokiem, nie dotykał kresu. Zapadał, znikał gdzieś poza wszystkim, prze-

istaczał się w jakiś punkcik niewidzialny, gubił się, mącił w nic, lecące w bezgwiezdnej pustce. Dygotał i trząsł się przerażony. Pragnął wrócić, ale na plecach ciążyły mu jakby grube warstwy wieczności, dzielące go od punktu wyjścia, zamykające mu drogę powrotną, a przed sobą miał rozwartą bezdeń, w którą leci ze straszliwą szybkością... zwija się w sobie, zamyka oczy, nie chce ani spadać, ani wracać... w głowie mu się kołuje. Tuman czadu zatruwa świadomość. Już nic nie czuje. Przestał istnieć. Usnął.

Nazajutrz od rana snuł się po domu, jak cień. Przejęty czczością śmiertelną, błakał się wśród ludzi, których wszędzie było pełno. Zaglądał do pokoju żałoby, podobnego do kaplicy podczas nabożeństwa, wysuwał się na dziedziniec przykryty niebem szarem i ciężkiem. O jakiejś godzinie wzięto go i postawiono przy trumnie. Było tam już całe rodzeństwo, ojciec, krewni, wszyscy czarno ubrani i strwożeni. Ojciec, szlochając, powtarzał głośno: — Józik, odchodzisz od nas, Józik! — Jęki i westchnienia unosiły się dokoła trumny. Gdy ksiądz zaintonował pieśń żałobną, cichy płacz i szepty jęklive zamieniły się w lament powszechny. Ktoś podniósł Zdzisia za ramiona i przytknął jego wargi do lodowatych rąk matki. Wtedy i on wybuchnął płaczem.

Karawaniarze w zatłuszczonych ubraniach przykryli ciało wiekiem i zabili gwoździami. Trumna uniosła się wgórę, zachwiała i w łunie żółtych płomieni popłynęła na ulicę. Wśród bicia dzwonów i śpiewów toczył się kondukt przez zabłocone uliczki, a pośród-

ku, na wysokim, skrzypiącym karawanie, w czarnem pudle odjeżdżała z domu swego matka Zdzisia.

IV.

SNY NA JAWIE.

Zima tego roku niezwykle była spokojna i cicha. Ojciec przebywał głównie poza domem. Dawniej głównym sposobem jego zarobkowania było udzielanie lekcyj tańca, ale od czasu, jak przed kilku laty kupił sobie mały folwarczek, poświęcał się przeważnie gospodarce i przesiadywał na wsi. Sławek zaraz po pogrzebie wyjechał, a domem zarządzała tymczasowo ciotka. Czy ojciec był na wsi, czy gdzie indziej, dzieci dobrze nie wiedziały, ale nie tęskniły do niego, chociaż po śmierci matki znacznie dla nich złagodniał. Tymczasem wyzyskiwały okres interregnum, zwłaszcza że ciotka, kobiecina ogromnie podobna do chorej i wychudzonej indyczki, nie posiadała żadnego autorytetu.

Zdziś całe popołudnia spędzał na ślizgawkach, najczęściej w ogrodzie miejscowego „Sokoła“, dokąd nieraz w braku pieniędzy wkręcał się na gapę. Podczas ostrzejszych mrozów, gdy stawy i mokradła dobrze już poprzymarzały, puszczał się z kolegami i braćmi na dalsze wycieczki w pola, ganiając po lodzie i skamieniałym śniegu aż do ostatecznego zmęczenia.

Ale ten rok miał się zaznaczyć w jego życiu jeszcze jednym ważnem zdarzeniem. Do miasteczka zjechał na sezon zimowy teatr. „Kościuszko pod Racławica-

mi“, pierwsze przedstawienie w życiu, jakie ujrzał, obudziło w chłopcu namiętność do teatru. Wrócił do domu, jak opętany. Nie mógł o niczem innem myśleć i marzyć. Wciąż miał przed oczyma zbożnie idealną postać Kościuszki, dzikie tańce żołdatów, szcęk i war bitwy, Bartosza, kosy, wciąż widział i słyszał hymny i wściekłe ryki, huk strzałów, obrazy pola bitwy, różnobarwne postacie kosynierów, ułanów, piechurów. Wobec tego świata czarów rzeczywistość domu i szkoły blakła, wydając się czemś mizernem, brzydkiem i jeszcze bardziej nieznośnem. Siła wrażenia teatralnego wytrzymywała próbę porównania tylko chyba ze zjawą rycerza błękitnego, ale rycerz ukazał się raz, zniknął i odtąd na zawsze pozostało tajemnicą, czy było to przywidzenie, czy prawda, a teatr istniał naprawdę, jak drzewo, niebo, słońce, i co wieczór otwierały się jego wrota przed szczęśliwcami. Aktorzy i aktorki chodzili po ulicach. Można było zabiec im drogę i przyjrzeć się zbliska, z uwielbieniem śledzić ich twarze i ruchy, a nawet wieczorami przez okno sutereny „Sokoła“ wpatrywać się, jak wdziewają złote i purpurowe szaty, przypasują miecze i przygotowują brodziska siwe, czarne, czerwone.

Zaraz następnego dnia po „Kościuszcze“ Zdziś zaczął domagać się od ciotki pieniędzy na bilet, ale otrzymał tylko zrzedne: „zgłupiałeś chyba!“ i zniewolony był wycofać się do swego kąta. Nie zrezygnował jednak z zamiaru bywania w teatrze jak najczęściej, choćby codziennie. Postanowił ciulać skrzętnie i wytrwale grosz do grosza. Znaczną pomoc w tej

opresji okazała mu jego kura. Jeszcze matka nieboszczka ofiarowała mu kokoszkę, a raczej prawo własności do owoców jej żywota, za które kupował sobie najczęściej czekoladki. Teraz wyrzekł się słodyczy i zbierał jajko do jajka — na teatr. Ponadto zaciągał długi wekslowe u Czeška i Fredka, aż wreszcie odkrył żyłę złotodajną. Oddawna już źródłem dochodów jego i braci był handel starymi podręcznikami i makułaturą. Otóż Zdziś, przyparty do muru potrzebą, która jest matką wynalazków, odkrył na strychu zielony kufer, wypchany starymi gazetami, szpargałami i stosami nadbutwiałych książek. Oprócz towaru, kwalifikującego się wyłącznie na handel, znalazł także potężne, zakurzone, pleśnią okryte foljały, których ciężar i format zdawały się ukrywać tajemnicze historie i prawdy — może nawet wieści dziwne i prorocstwa... Były to, w gruncie, ogromne powieści kryminalne, z czego chłopiec, biorący się do ich wertowania, nie zdawał sobie sprawy.

Te to księgi i teatr stały się namiętnością, nie znającą przeszkód ani zakazów. Gdy brakło na bilet, dobijał targu z woźnym, i dostawał się na gapę, a gdy nawet „gapa“ była za droga, wyczekiwał przed „Sokołem“, dusząc łzy rozżalenia i zazdrości względem tych, co swobodnie, z miną pełną pieniędzy, wstępowali do raj, jarzącego się rzesistem światłem. Ponęta teatru stawiała się przedmiotem żądzy aż bolesnej, osłaniającej tajemnicą przed ciotką i szkołą, była pierwszą miłością, pochłaniającą całkowicie i niweczającą wszelkie inne pragnienia.

To też, jako namiętność, przekraczająca szranki codzienności, omal nie skończyła się katastrofą. Zdziś nie zawsze miał na bilet, a coś dopiero na afisz, który był dla niego tem, czem dla smakosza jadłospis. Rozczytywał się w afiszach, rozlepianych po mieście, i często, zwłaszcza gdy już posiadał pewność, że pójdzie na przedstawienie, przepisywał je na ulicy.

Razu pewnego przeczytał z zachwytem zapowiedź o wystawieniu sztuki p. t. „Kurjer Cara“. Niewiadomo czemu wydało mu się, że w tej, z pewnością niezrównanej, sztuce należy wielkie C czytać z łaćniska jak literę k, co czyniło tytuł zupełnie wprawdzie niepojętym, ale zato bardziej tajemniczym. Czarne, duże litery na różowej bibułce czarowały go poprostu, chłonał je oczyma i duszą, wypijał ich smak i treść. Można było, jak zwykle, afisz przepisać, ale czy to, że mróz szczypał w palce, czy że wstydził się publicznie obnażać swą namiętność i swą biedę, dość że chwycił za odstające ucho afisza, szarpnął, zerwał i już pakował do kieszeni, gdy ktoś wrzasnął mu nad uchem: „a mam cię, batjaru jeden“ i capnął go za kark. Był to woźny, rozlepiający afisze, składane w drukarni „Arvay et Cie“. — Chodź! — rzekł rozlepiacz i poprowadził chłopca obok „Sokoła“ i fary, nie wypuszczając z ręki kołnierza przestępcy. Zdziś łykał łyzy upokorzenia i trwogi, przepowiadając sobie naprzód, czem się ta wsypa może skończyć, i drząc, aby go w tej żalosnej i poniżającej sytuacji nie spotkał ktoś z bliższych znajomych, czy krewnych. Podejrzewał nawet, że go wsadzą do kryminału. Już wyobrażał sobie,

jak będzie wyglądał w szarym kitlu z okrągłą mycką na głowie. W każdym razie, to pewna, wyrzucą go ze szkoły. Co wtedy? Uciec do Ameryki? Wstąpić do cyrku? O teatrze nie śmiał nawet marzyć, chociaż i ten projekt przemknął mu przez głowę, ale wydał się niemożliwy do urzeczywistnienia. Tymczasem słubował sobie po cichu, a swemu ciemieżycielowi na głos, że już nigdy..., lecz pan woźny, okrutnie rozsierdzony a zarazem ucieszony z połowu, nie chciał o niczem słyszeć. Wzbraniał się nawet wyjawiać płaczącej ofierze, dokąd ją wlecze. Zdziś odsapnął nieco, gdy woźny, przedefilowawszy obok policjanta, nie wezwał do pomocy tego przedstawiciela sprawiedliwości z krzywą szablą w skórzaney pochwie. Narazie zatem nie wtrąca go do kryminału?

Nareszcie złodziej afiszów dostał się do biura drukarni. Zjawił się p. „Arvay et C-ie“ i złowieszczem spojrzeniem mierzył płaczącego przestępcę, podczas gdy woźny wytaczał sprawę, mowę swą szpikując ciężkimi obelgami. Ale p. „Arvay et C-ie“ wiedział, kim jest chłopiec, i dlatego, wypaliwszy orację, przepłatną takimi uwagami, jak: „cóżby na to powiedziała twoja matka nieboszczka?“, albo: „żebyś mi się nie ważył na przyszłość“, zwrócił mu drogą wolność.

Chłopiec, wniebowzięty z powodu cudownego ocalenia, wbiegł do domu z okrzykiem: — dzisiaj grają „Kurjer Kara“, ale bracia przyjęli tę nowość cynicznym śmiechem. Po pierwsze już dowiedzieli się o przygodzie Zdzisia, a po drugie, nie „Kurjer Kara“ — cym-

bale — tylko Cara“. Zdziś, podwójnie upokorzony, rozpamiętywał sprawę, w milczeniu znosząc naigrawania, gdy do pokoju z szumem i hukiem wtargnęła zaperzona ciotka, a czerwone piętna jej twarzy gorzały, jak pochodnie, z gniewu. Zaraz od progu zaczęła:

— Co za wstyd! Syn obywatelski, którego taszcza po mieście, jak złodzieja. Czekaj, jak tylko wróci ojciec, huncwocie jeden! Na złodzieja wyjdiesz. Po teatrach latasz, książki czytasz, nie uczysz się!

Było to, jak na jedną godzinę życia, zawiele. Zdziś, oburzony gwałtownością ciotczynych rekryminacyj, zwłaszcza że nie kochał bliźniego swego w tej kobiecie chudej i zawsze biadającej, stanął w ponsach i wrzasnął: „oślıcal“ Tak jest, wprost w oblicze władzy, na której, bądź co bądź, spoczywał cień ojca, jako też aureola czcigodnego wieku! Ciotce zrazu odjęło mowę. Ośłupieli również wszyscy obecni, z Marjanną na czele. Gdy wreszcie ciotka razem z głosem odzyskała przytomność, obwieściła karę straszliwą: — Ani słowa więcej, smarkaczul! Nigdy cię już nie puszcze do teatru. Ojciec dowie się o wszystkim.

Zdziś czuł, że się zapędził nieco za daleko, ale mimo to ani rusz nie umiał w sobie wzbudzić skruchy i milczał zapamiętale. Mówiła natomiast ciotka:

— Poświęcaj tu się, ulituj się nad sierotami, masz ci za to wdzięczność! Ażeby ci język spuchł, raku przekłęty! Poco ja tu przyjeżdżałam! — Pod płótem zdechniesz, i wszy cię zjedzą, albo pójdiesz cudze kąty wycierać, jak Sławek. O ziółko wyrodne! Ja cię teraz nauczę!

Zdziś przycupnął w zadumie. Do krzyków i przekleństw był od dziecka przyzwyczajony, chociaż zawsze słuchał ich z odrazą. Ale gdyby ciotka istotnie dotrzymała swej groźby?!

Ciotczysko jednak nie odznaczało się w gruncie mściwością. Po obiedzie wezwała do siebie chłopca, zasypała go litanją morałów, pokropiła je łzami i zażądała jedynie, aby ją przeprosił, co też uskutecznił chętnie, cmoknąwszy „indyczkę“ w łapę. W nagrodę otrzymał zezwolenie zaznajomienia się ze znakomitą sztuką p. t. „Kurjer Cara“.

V.

O J C I E C.

Ale teatr wkrótce opuścił miasteczko. Zdziśiowi pozostały tylko książki. Wyszukawszy sobie kącik, ile możności zaciszny, jak najdalej od krzyków i gwarów, zatykał sobie uszy i czytał, czytał, czytał.

Ojciec zaglądał do domu od czasu do czasu, ale na krótko, i chociaż zawsze groźny i surowy, teraz przynajmniej nie łajał i nie bił. Nawet, gdy Zdziś przyniósł świadectwo z dwoma złemi stopniami, a Czesiek i Fredek z jednym, nie doszło do tradycyjnej egzekucji semestralnej. Zazwyczaj dzień kończącego się półroczu był dniem opłakanym. Ojciec, obejrzawszy świadectwa, udawał się — zależnie od pory roku — do drewnutni albo do ogrodu, a dzieci uderzały w bek. Po jakimś czasie bowiem ojciec wracał z kilku sta-

rannie wybranemi prętami i pokolei wzywał synów do „bawialni“. Egzekucja odbywała się zazwyczaj na czerwonym fotelu pluszowym, powygryzanym przez mole i zalatującym naftaliną. Im ojciec mocniej walił, tem głośniej płakał, szlochał, wył syn, co znowu angielskiego wychowawcę tak podniecało do szału, że grzmocił już bez zastanowienia.

Tym razem jakoś obeszło się bez tradycji. Ojciec pokiwał tylko głową nad wielkimi arkuszami świadectw i rzekł: — jak sobie pościecie, tak się wyśpicie. Potem, wpatrując się w okno, dodał okrutnie: — Matka przewraca się w grobie, patrząc na to, jak się marnujecie.

Chłopcy zaczęli płakać, lecz ojciec wstał gniewnie, ale — zamiast pójść do drewnutni — wybierał się do miasta. Zdziś lękliwie śledził jego ruchy i nawet podbiegł, aby mu pomóc przy ubieraniu, ale na widok rozszalonej twarzy cofnął się i spoglądał na ulicę szarą, wyboistą, którądy ojciec właśnie przechodził.

Był ubrany w półkożuszek tabaczkowego koloru, sięgający mu prawie do kolan, który dzisiaj szczególnie wydał się Zdzisiowi niekształny i brzydki. Ojciec kroczył wolno, zasępiony, z wzrokiem wbitym w ziemię. Zdziś wyrzucał sobie pokorny ruch, jakim przed chwilą zbliżył się do niego. Nękał go wstyd i nienawiść wrzała w nim z taką gwałtownością, że gryzł wargi i szeptał słowa straszliwe na ustach dziecka... Ślubował sobie, że, jak tylko pozna drogę w świat, ucieknie z domu niezawodnie. Wstąpi do cyrku. Choć uśmiechał mu się także zawód chłopca w cukier-

ni. Bo taki chłopiec zjada, ile mu się tylko podoba, tych ciastek kremowych, takich kwadratowych, kruchych, rozpływających się w ustach, a potem ustawia tacę na głowie i roznosi pieczywo po mieście. Karjera teatralna była niemożliwem do urzeczywistnienia mazeniem. W tajemnicy lubował się jednym jeszcze planem... Obudził je fakt nadzwyczajny, iż mianowicie jeden z kolegów opuścił gimnazjum i zdał egzamin do szkoły kadetów.—Będzie oficerem! Przywdział zaraz mundurek elegancki, czapeczkę, u boku przypasał sobie filigranowy bagnecik. Pójść do kadetów? Opuściłby wtedy na zawsze odrażające mury szkoły i dom, i to miasteczko...

Nie mógł się jednak na nic zdecydować, może i dlatego, że tyle różnych dróg wystrzelało przed nim, biegnąc w nieskończoność.

Tymczasem kłótlivy głos ciotki wezwał go na obiad. Ojciec jeszcze nie wrócił. Zdziś wziął się do czytania książki, która mu wpadła w rękę. Była to „Dzika kaczka“ Ibsena. Któżby potrafił powiedzieć, ile i co zrozumiał Zdziś z tego powikłanego i wyrafinowanego dramatu? Głęboki, ciężko toczący się dialog wciągał go, czarował swym zimnym urokiem, wplątując w krąg myśli posępnych, lecz błyszczących, jak liście w świetle księżyca.

Naraz zabrzmiał ostrzegawczy sygnał Czeška: — ojciec! — Ojciec uważał czytanie książek za wielkie przestępstwo, a Zdziś miał jeszcze tylko kilka scen do końca. Potrzeba poznania losów nieszczęsnej Jadwigi była silniejsza, niż obawa. Niewiele tedy myśląc,

przytulił książeczkę do piersi i wskoczył do spiżarni. Nie wystraszyło go stamtąd zimno lutowe. Przytknąwszy głowę do okienka, śledził oczami palającymi tragiczną historję Jadwigi i Hjalmara. Skończywszy, westchnął głęboko. Drżał z zimna i smutku. Przycisnął książeczkę do serca i zadumany krokiem zmierzał do pokoju, teraz dopiero uprzytomniwszy sobie, że ojciec wrócił. Ostre lśnienie dialogu ibsenowskiego drgało w nim, niby zwierciadło wody w basenie z czarnego marmuru. Ojca nie było w pokoju. Poszedł do drewnutni. Groźna cisza zawisa nad głowami chłopców. Podobni byli do skazańców przykutych łańcuchem do stołu.

Upadek ze sfer poetyckich do tego pokoju nastąpił zbyt nagle. Jeszcze wisiała w duszy owa klatka magiczna z dziką kaczką, jeszcze odzywały się echem tajemnicze nakazy Werlego. Skrzypnęły drzwi. Szedł ojciec a za nim służąca niosła, kulejąc, naręcze brzoźowego drzewa, które jesienią rąbali z wielkich szczap wynajęci do tej pracy aresztanci.

— Dzieci — rzekł ojciec — posiedzimy sobie przy piecu i pogwarzymy.

Miecz Damoklesa jeszcze wprawdzie wisiał nad głowami, ale już na grubszym sznurku.

W okrągłym piecu płonął ogień, rzucając krwawe, tańczące blaski i cienie w ciemność pokoju, gdzie wówczas stała trumna matki. Zdziś miał jeszcze w oczach czarną bryłę katafalku. Ojciec poprawiał trzaskające drewna pogrzebaczem i przemawiał do piszczących głowni: — a palże się! — albo: — cóż tak skomlisz? —

Małą Wandzię trzymał przy sobie a chłopcy, wzruszeni, ale onieśmieleni, zbili się gromadką dokoła niego. Ojciec nie lubił, kiedy w jego obecności milczano, ale dzisiaj, chociaż chłopcy tylko chrząkali, napróżno szukając tematu do rozmowy, a Wandzia wpakowała palec w usta, nie gniewał się. Niczem przynajmniej nie dał poznać, czy jest rozdrażniony. Jego nozdrza i grdyka były nieruchome.

Po długiej, niepokojącej chwili ojciec przemówił:

— Powinniście to sami rozumieć, że trzeba się uczyć. Ojciec mój, a wasz dziadek, wcale nas nie kształcił. Sam był doktorem praw, ale opuścił miasto, zamieszkał na wsi i utrzymywał się z lekcyj tańca. W waszym wieku pracowaliśmy, jak chłopskie dzieci, przy pługu i przy bydle. Moja matka nauczyła mnie czytać i pisać. Od pierwszej młodości miałem ciężkie życie i przekonałem się, jak źle jest na świecie bez wykształcenia. Żyli wypruwaliśmy z siebie z waszą matką, byle was uczyć. Ale cóż! Sławkowi chodzą po głowie jakieś fanaberje, a wy także jeden w drugiego osły. Czy to tak trudno? Ślęczycie nad temi książkami, jak żydy, po całych wieczorach, a potem przynosicie same dwóje. Gdyby mi kto narysował wielki krzyż, a z tego krzyża wyprowadził nowe krzyżyki, a na tych krzyżykach jeszcze postawił krzyżyki, tobym i to tak się wyuczył, że obudzony ze snu wyrecytowałbym wszystko ekspedite, jak z nut.

Tak ojciec wykladał swoje zapatrywania na życie i na studja, a dzieci słuchały zdziwione i coraz już swobodniejsze. Nigdy dotąd tak się przed nimi

nie wywnętrzał. A Zdziś pomyślał, że gdyby ten ojciec, groźny i niekochany, częściej okazywał im trochę dobroci, życie nie byłoby takie smutne.

VI.

KUSZENIE ZIEMI.

W tym czasie podsłuchali chłopcy z rozmów ciotki z panią Kurowską, że ojciec „jeździ w konkury“ a na wiosnę zjawiła się w domu jakaś obca pani. Zdziś nie miał nic przeciwko temu, zwłaszcza że ojciec zajmował się głównie jej osobą, wysiadywał z nią, rozmawiał przyciszonym głosem, jakby jej coś tłumaczył i wykladał, a dzieci zostawiał w spokoju.

Przytem Zdziś miał na głowie ważniejsze sprawy, a mianowicie gimnastykę i jazdę na rowerze, które to sztuki zamierzał doprowadzić do mistrzostwa, a to na wypadek, gdyby zdecydował wybrać karierę cyrkowca.

Oprócz tego pod koniec roku groziła mu ostateczna dwója z języka greckiego. „Pruła“ zapowiedział mu wyraźnie, że jeżeli nie zda „versecki“, przepadnie jak amen w pacierzu. Chłopiec tym razem zawziął się. Jął kuć i to nie na żarty. Kuł dniem i nocą. Zaczął od pierwszej stronicy gramatyki i uczył się z zaciętością, mechanicznie, napamięć. Aorysty, circumfleksy, plusquamperfekty ładował sobie w głowę metodycznie, dawkami, jak truciznę, ubijał, przyklepywał i wkładał w mózg niby pakieciki, dobrze

związane pamięcią. Zaciął się. Zrywał się ze świtem, biegł do ogrodu i przy akompaniamencie ptasiego świergotu, brzęku muszek i pszczoł, katował pamięć i gwałcił ją do przyjmowania symbolów dzikich i niepojętych w swej istocie. Ale w tej zaciekłości znajdował przyjemność. Gdy mu pamięć uрониła jakieś słówko, wczoraj wyuczone, wpadał w szal fanatyczny. Chwytał je wtedy niejako w zęby, gryzł, żuł, miazdżył, aż je sobie wbił w głowę niby gwóźdź w deskę. Łapał braci i kazał się „przepytywać“. Faszrował się greczyzną nawet w szkole, podczas pauz, heroicznie obojętny na batalje kolegów i na krzyki. Po paru tygodniach doznawał wrażenia, że gramatyka grecka na klasę trzecią wessała się weń organicznie. Tak np. „aoristus bez cechy czasowej z tematu czasownika zwątlonego“ tkwił w wielkim palcu prawej nogi i wystarczyło tylko kiwnąć nim w bucie, by ten kostropaty odmieniec automatycznie wyskoczył ze swego schówka. ‘Ο σός, w języku barbarzyńców nazwana świnią, spoczywała sobie poniżej krzyża w okolicy prawej i każdej chwili mogła na zawołanie „Pruły“ chrząkać we wszystkich przypadkach. ‘Ο άνθρωπος wczepił się w czoło a czasownik γελᾶω (śmieję się) rechotał w brzuchu.

To też tym razem siadał do egzaminu „na pewniaka“ i rzeczywiście zdał.

Zakończenie roku zapowiadało się wogóle wyjątkowo szczęśliwie. Zdziś, wesoły na duchu, buszował po ogrodzie, polował na dojrzewające maliny i porzeczki, wyłamywał sobie gnaty na przyrządach gimnastycznych (zręczność i siła są niezbędne zarówno do

karjery wojskowej jak cyrkowej), hulał po łąkach, kąpał się, używał. Czerwiec płynął prawie bezchmurny, świeży, radosny.

Raz późnym wieczorem usłyszał z pokoju ojca szepty i pocałunki... Wzdrygnął się. W sennej głowie zawirowały mu nauki Majera — ukazał się grób matki — lecz wołał o tem nie myśleć. Odepchnął wyobrażenia oślizgłe i zapadł w sny gorączkowe, w których słodycz mieszała się z obrzydzeniem. Na wakacje wyjechali, jak poprzednich lat, do folwarku. Rozrywki było tu wbród i rozmaitych. Najpierw tydzień czereśni. Od rana do wieczora siedziało się na gałęziach drzew o stalowym połysku. Czerwone, różowe, żółte pęki owoców kryły się kusząco w gąszczu liści. Można było jeść i najeść się dosyta.

Potem jazda konna. Zdziś miał kuca — nazywało się — własnego, imieniem Majek, który mimo nominalnej przynależności do chłopca musiał spełniać wszelkie funkcje w gospodarstwie, jak byle inna szkap, skutkiem czego okazywał później karygodne lenistwo. Ilekroć posiadacz pragnął się przejechać, Majek tulił uszy, szczyrzył zęby i w złowróżbny sposób manewrował zadem. Ale niekiedy udawało się właścicielowi wtargnąć na grzbiet swej czworonożnej własności, choćby naoklep, i cwałować ulubioną drogą, która, przerznawszy ugór, wpadała w las po jednej stronie sosnowy, głuchy i gęsty, po drugiej liściasty, wydający szepty poufne i pieściwe. Majek z wściekłości kładł po sobie uszy, powietrze świszczowało, tupot kopyt klaskał po lesie jakby tam w głębi pędził ktoś

drugi, a krew tętniła, kipiała, tańczyła. Czasem urządziło się wyścigi. Zdziś na kucu, Fredek na kobyle. Tego wysiłku Majek nie znosił już stanowczo i płałał swemu panu iście końskie figle. Przyciskał się tak do kobyły, że nogi jeźdźca ocierały się do krwi o strzemiona Fredka, a raz nawet, jak prysnął wbok przez rów, to ciemieżyciel jego znalazł się na ziemi, stękając boleśnie i ledwie mogąc złapać dech.

Pełne swoistej rozkoszy były też grzybobrania. Zdziś błaka się wśród pni sosnowych po trawie, pieszczącej bose stopy, i czuje, że „on“ tu gdzieś musi siedzieć, tylko kryje się szelma umyślnie. Zdziś okraża każde drzewo, zagląda pod paprocie, zanurza dłonie między chłodne krzaczki jagód — nanic trud. Aż ci zerknął naukos i tam w miejscu, które zdaje się było już dokładnie zbadane, „on“ siedzi sobie skromnie, w czapie bronzowej, na białej nodze, niby mędrzec zadumany. Patrz! Drugi, nieco mniejszy. Bał — cała rodzina! Zdziś woła na braci: hop! hop! Przybiegają Czesiek, Fredek, podziwiają, zazdroszczą, latają dokoła jakby ich giez ukąsił, węższą. Napróžno. Dzisiaj wybrańcem fortuny jest Zdziś i koniec! Jakże wesołe jest życie! A tam — siust! — śmignął między pniami zając i — buch! — przez polankę w jęczmień zielony. Powiadają nawet, że czasem można spotkać dzika z kłami zawiniętymi. Sławek, który też zjechał na wakacje, ale ze „szczeniakami“ wcale się nie zadawał, opowiadał ojcu, że widział prawdziwego dzika. Był żółty, chrząknął basem i dał nura w zarośla.

Składało się także wizyty wołom, kiedy po pracy leżały rozwalone na słomie, przeżuwać. Wół obejrzał się na chłopca, kłapnął uchem i trawił dalej, nawet gdy Zdziś wgramolił mu się na ciepły grzbiet. Ale jeden łaciaty strzygł krwawem ślepiem i wolarz doradzał „paniczowi“ z tym nie wchodzić lepiej w komitywę. Postrach siała również maciora wysoka i płaska, chuda, brudna straszliwie, stale więziona w chlewie pod kasztanem. Kiedy raz wydarła się ze swego kryminału, dziewczuchy i parobcy podnieśli larum i gonili ją, uzbrojeni w drągi, bo maciora gryzła, jak wściekła.

Ale przerażeniem, trwogą paniczną napełniała Zdzisia sama myśl o węzach i żmijach, których bał się i nienawidził. Wystarczyło wyobrazić sobie długie, giętkie, pełznące ciało gada i jego nieruchome ślepki, aby strach zabobonny wstrząsnął sercem.

I właśnie przyszło mu raz zetknąć się oko w oko z węzem, czy żmiją. Budował mianowicie z braćmi tamę w strumyku, bulgocącym na dnie jaru. Stawiali ją dzień cały z wielkim znojem i sapaniem aż do wieczora, lecz dzieło jeszcze wymagało ulepszeń, jako że buńczuczny strumyk stroił chłopcom figle i zawsze umiał wywiercić jakąś dziurę w nasypie. Rwał on sobie zgóry, pieniąc się, sycząc i tworząc przy brzegu, gdzie z ziemi wysterczały głazy, małe, zielonkawe wiry. W tych miejscach woda sięgała po kolana. Chłopcy uplanowali rzucić groblę napoprzek, aby pogłębić i rozszerzyć naturalny basen. W pocie czoła lepił, murował, grodzili przez długie godziny. Naza jutrz wczesnym rankiem wyrwał się Zdziś nad stru-

myk, aby sprawdzić, czy grobla oparła się przez noc naporowi burzliwego żywiołu. Pędził ode dworu miedzą zgóry nadół, dając po ziemi, uginającej się niby pas skórzany, susy olbrzymie. Miał wrażenie, że galopuje. Ale gdy przypadł do strumyka, skamieniał. Na ławie ziemi, zwisającej nad korytem strumienia, leżała, zwinięta w kłębek, zielonkawa żmija, zwracając na niego łebek ohydny, plamisty, i oczka. Na chwilę stopy wrosły mu w ziemię.—Uciekać! — zawołał w nim strach. Zachnął się i, nie spuszczać oczu z gada, cofnął się najpierw parę kroków wtył, poczem dopiero odwrócił się i popędził wgórę, nie oglądając się już za siebie, przekonany, że żmija ściga go i lada chwila może go ukąsić w łydkę lub w piętę. Stanąwszy w domu, nie był zdolny wydobyć z siebie głosu i jeszcze potem przez kilka dni podejrzliwie rozglądał się po chaszczech.

Kiedyś w tych czasach również „wynałazł“ przy pomocy Fredka jeszcze inne zabawy, skryte i dziwnie oszalamiające, jak baraszkowanie z dziewczętami, łaskotki w ciemnych sionkach i podglądanie zabaw parobków.

Ale były to tylko pieprzne lub słoneczne przyprawy wywczasów letnich, bo ponad wszystkim górowała konieczność ciężkiej, fizycznej pracy. Ojciec bowiem nie tylko sam pracował często jak pierwszy lepszy parobek, ale i chłopców napędzał a nawet zmuszał do roboty. Zwłaszcza w czasie żniw, gdy pora nagliła do pośpiechu, chłopcy musieli pomagać, zgarniać pokosy, wiązać snopki, kręcić powrósła, układać półkopki, a gdy się żniwa skończyły, poganiać konie

przy orce czy bronowaniu. Zdziś niecierpiał tych robót i wykręcał się od nich, jak umiał. Stanu interesów nie znał i nie wiedział, że ojciec zapłacił gotówką zaledwie dwudziestą część wartości majątku, resztę mając uiszczać w ratach, na które trzeba było zaciągać pożyczki i nadmiernie obciążać hipotekę wiościny. Od śmierci matki, dorabiającej ciężką pracą w szkole, co jej wątłe siły do reszty wyczerpało, spłacanie rat stało się coraz trudniejsze i każdy termin wisiał nad ojcem, jak miecz katowski. Nieszczęsny „właściciel dóbr“ mocował się z losem do krwawego potu, byle się utrzymać przy ziemi. Dlatego harował sam, przyciskał robotników, a nawet zaprzęgał do roboty własne dzieci.

Wąły, lichy odżywiony chłopaczyna nie miał jednak dość krzepy w mięśniach, aby chwycić snop i śmignąć nim na wysokość drabiniastego wozu, zwłaszcza gdy trzeba było robić to pod przymusem. Ale pasanie bydła w dzień deszczowy albo poganianie wołów na pustym ugorze, napawało nudą monotonności nieukończonej. Woły człapały ospale, trzeba je było nieustannie przynaglać wołaniem: „hej-sa!“ i świstać batem, bo Zdziś nie lubił bić zwierząt. Za pługiem kroczył parobek, głucho milczący, brudny, zwykle zły i gburowaty, a brózdy, obłożone szaremi płachtami skib martwych i — zdało się — bezpłodnych, ciągnęły się równomiernie, jednostajnie, beznadziejnie. Wślad za tym orszakiem podskakiwały wrony, czyhając na glisty i śluzowate pędraki.

Ale łatwiej było wykręcić się przed ciotką, niż wyłamać z pod rozkazów ojca. A dopiero wtedy, gdy

się wymknął z pod tej żelaznej kurateli, rozżarzał się skrycie drzemiący ogień marzenia. Śnił się wówczas obraz jakiegoś innego życia, czarowny jak teatr, przelatywały nagle olśnienia i widzenia, tonące w przezroczystości kłarownej. Osoba marzyciela znajdowała się — oczywiście — zawsze na pierwszym planie. Był pazurem, odzianym w bławaty, i wpatrywał się w białą twarz Pani, ubranej w szaty, lśniąco brylantowo. Oczy jej duże, łagodne, zawsze czarne, spoglądały nań z uśmiechem cichej mądrości i łaskawości niebiańskiej. Jakże lubo było wesprzeć głowę o jej kolana i czuć strumień wonnego ciepła, od niej płynący. Możliwy tak trwać wiecznie i nie pożądać niczego innego. Zdzisław nie myślał, nie ośmielał się, nawet nie chciał myśleć, że pod brylantową szatą drgało życiem ciało śnieżno-różowe. Pragnie zostać tylko pazurem kornym, posłusznym a nawet cierpiącym, gdyby królewskie kaprysy Pani chciały mu zadawać ból... Odczuwał nawet szczególną rozkosz, wyobrażając sobie, że Pani karze go za winę niepopelnioną. Odchodzi wówczas precz, przytula się w ciemnym jakimś kącie — podobnym do „jego“ kąta w domu — i smuci się, i tęskni gorąco za widzeniem Pani, za jej uśmiechem łaskawym.

VII.

POŚRÓD CIEMNOŚCI.

Po powrocie z wakacyj ogarnął Zdzisława stan dojmującej nudy i rozpacz. Mierziło go mieszkanie,

dom, szkoła. W dodatku zabroniono mu ostatecznie czytać książki.

— Ucz się, a nie czytaj, hebesie jeden! — krzyczał ojciec, przyłapawszy chłopca na tej zbrodni. — Lekcje na jutro zrobione? Sławek także czytał. Jak cię raz jeszcze zobaczę nad książką, dostaniesz laniel Paniczyk! Książki będzie czytał. Pracować mu się nie chce. Na wsi uciekał przed robotą, jak przed ogniem. Leniuchy, darmozjady!

Zdziś płakał. Tym razem nie z obawy przed ojcem, lecz z żalu nad samym sobą. Dlaczego wyrzują go z kręgu baśni i cudów? Nic nie wolno. Wszystko źle. Zmuszają do robienia czegoś, co go nie obchodzi, co go nawet przejmują odrazą.

Do najprzykrzejszych wspomnień, symbolizujących niejako to życie przymusowe, należało czyszczenie butów ojcowskich, którego nigdy nie zapomni. Nie było służącej. Jemu kazano to zrobić. Stare, pomarszczone, zarośnięte stwardniałem błotem buciska. Usiadł z nimi na progu domu od podwórza i, dławiąc się ze wstrętu, usiłował zdrapywać brud, który wgryzł się w skórę między fałdy, wbił między podeszew i przyszwę. Szczotka ślizgała się i zesmykiwała, lecz Zdziś nie mógł się przewyciężyć, aby włożyć rękę do środka. Musiał to wreszcie uczynić, aby buty porządnie oczyścić. Odtąd tak znienawidził obuwie, że sama woń skóry odbierała mu apetyt.

Smutek nieprzerwany, gnuśny i uparty, osaczył duszę chłopca, otumaniając zmysły i przytępiając nawet pamięć. Ślęczał nad książką, ale wiedza szkolna

nie czepiała się głowy. Następnego dnia wszystko już zapominał i brał, oczywiście, dwóję za dwóją. Wróciwszy do domu, leniwie zasiadał do książki i dumał nad czemś nieujętem. Jął odnajdywać przyjemność w dokuczaniu innym, w podstawianiu nogi, nawet w drażnieniu zwierząt. Nachodziły go dzikie zachcianki. Raz wieczorem ukrył się za pniem kasztana, rosnącego przed szkołą, i kozikiem wykroił kawał kory, a podczas śledztwa, które nie mogło trafić na ślad sprawcy, śmiał się złośliwie. Wieczorami zakradał się na ganek do dziewcząt, odwiedzających podrastającą już Wandzię, i bawił się z niemi w łaskotki, w męża i żonę, i w przeróżne inne zabawy, które, cierpką rozkoszą odurzając zmysły, rozpędzały nudę. Ale i te figle zakazane nie sprawiały czarodziejstwa takiego, jak teatr, książka lub marzenie, bo nie roziskrzały wyobraźni, gasnącej w okrutnej szarudze rodzinnego domu.

Mijał rok bezbarwny, ciężki, smutny. Pod koniec letniego półroczia nachodziły Zdzisia przeczucia jak najczarniejsze, ale nic nie przedsiębrał, aby zapobiec katastrofie. Wobec ojca udawał, że pracuje, ale wobec macochy nie zadawał sobie nawet takiego trudu. Nie cieszyła się ona zresztą powagą wśród dzieci. Po krótkich miesiącach pierwszych złudzeń musiała i ona poddać się srogiej władzy, której obawiała się, jak wszyscy domowi. Dopiero na miesiąc przed końcem roku opanowała Zdzisia chorobliwa pilność, obierając sobie zresztą bardzo szczególny kierunek. Zabrał się mianowicie z zapalem do tych przedmiotów, z których „stał” jako tako. Jął znowu studjować za-

ciekle gramatykę niemiecką i historję powszechną, chociaż fatalne niebezpieczeństwo zagrażało mu z łaciny i matematyki. I spodziewana katastrofa spadła nań w postaci piorunującej. Otrzymał tyle złych stopni, że mu to groziło wydaleniem ze szkoły. W każdym razie musiał „repetować“.

Jechał więc na wakacje z trwogą, gotując się na kije takie, że aż świeczki stają w oczach a trwają w pamięci ruski miesiąc. Minęła go jednak egzekucja, może dlatego, że na ojca zważyło się teraz mnóstwo kłopotów: — pierwsze dziecko z młodą małżonką — i niebezpieczne terminy wekslowe. Przebąkiwano coś nawet o sprzedaży domu i przeniesieniu się do Krakowa.

Złowieszcze myśli oblegały głowę chłopca. Pierwszą noc spędził w trwodze, przewracając się na sieniaku i drzemiąc w gorączce. Naraz włosy zjeżyły mu się na głowie. Nad posłaniem brata, śpiącego w drugim kącie pokoju, uniosła się w świetle księżyca biała jaśniejąca mgła kształtu ludzkiej postaci. Zdziś był przekonany, że mu się zjawilo widmo matki nieboszczki. Okrzyk strachu uwięztał mu w krtani. Mgła wa postać jęła blednąć, maleć, aż rozplynęła się i zginęła w półmroku. Chłopiec zwinął się w kłębek, chwając oczy i uszy, i nie odważając się spojrzeć na pokój. Bajki i powieści o strachach żywo stanęły mu w pamięci. Z nastaniem dnia normalny tok życia przytłumił realność zwidów nocnych, lecz obraz białej postaci, niknącej w świetle księżyca, wessał się w nerwowe włókna na zawsze. Tkwił on jeszcze przez długi

czas bezpośrednio, zabarwiając podejrzliwym niepokojem obrazy świata codziennego i obracając myśl w stronę spraw religji i wiary.

Zdziś modlił się z rana i wieczorem z obowiązku, bywał u spowiedzi a w kościele czytał niekiedy książeczkę do nabożeństwa, lecz najczęściej puszczał duszę na marzenia, nic nie mające wspólnego z obrzędem. Lubił tylko nabożeństwa majowe. Ciepło, zieleń, blaski słońca, rozżalające kościół, łagodnie falujące płomienie świec, zapach bzów i konwalji odurzały go senną słodyczą. Wolał jednak chodzić do fary, bo tam panował kolor biały, a jasna postać Matki Boskiej, anielska i dobrotliwa, rozrzewniała go do łez, kiedy natomiast Matka Boska Częstochowska u Bernardynów, o twarzy czarnej, spalonej, zionęła surowością a nawet grozą.

Owa mara nocna, przyczajona w puszczech wyobraźni, zespoliła się z całym kompleksem wspomnień, spraw posępnych i strasznych, które Zdziś widział albo podejrzewał. Nagromadziło się ich niemało. Lękiem napełniali go zawsze Cyganie, znagła zjawiający się w miasteczku, by równie szybko zniknąć ni to duchy czarne. Popłoch także wzniecali w sercu rekruci węgierscy, przybywający tu na służbę wojskową. Ich dzikie, piekielne wrzaski pijackie, ich niepojęte pieśni rozdzierały spokój niby pioruny, zlatujące z burzą po godzinach błękitnych. Albo ten podpalacz! Kiedyś zostało zapamiętane cudaczne opowiadanie o ludziach, którzy zajmują się podpalaniem. Chodzą sobie i podpalają. Zdziś nawet sam ujrzał raz człowieka w wiel-

kim, czarnym kapeluszu, który, mijając dom, natarczywie obserwował jego dach drewniany. Z pewnością myślał o tem, z którejby go strony podpalić. Skurcz wewnętrzny wywoływało wspomnienie pewnego szewca, przewracającego się na łóżku w mękach przedśmiertnych. Wystarczyło odtąd zobaczyć osobę, leżącą na łóżku w białiznie, aby odrażająca czerń śmierci napełniła świat trupim odorem. Ale — rzecz dziwna — do orszaku tych obrazów nie należało wcale wspomnienie śmierci matki. Było to coś całkiem innego i miało swój zakątek osobny.

Te wspomnienia i obrazy, tlejące w duszy pod popiołami, powstawały ze swych legowisk nieraz pod wpływem jakiegoś przykrego zdarzenia, nieraz skutkiem wietrzyku chłodnego w kwietniu, który rozpędza błękitną radość chwili, i nieciły niepokój, zapalały się światłem jaskrawem, niby smolne pochodnie w noc czarną. Wówczas świat wydawał się skazany na zagładę niechybną, a radość, szczęście, spokój migwały na powierzchni życia niby iskry błyszczące, lecz tak znikome, jak owe motylki brylantowe, rodzące się na wodzie w skwarny dzień, gdy ją wiatr rozchyboce. Przenikał go wtedy żal nad sobą i nad światem. Zamykał się w sobie, pełen strachu i cierpienia, o byle co płakał albo rozpoczynał jakąś robotę bezcelową, byle odgrodzić się od powiewów otchłani, pochłaniającej blask i ciepło. Wówczas dom i jego obyczaj trwożny albo hulaszczy — zależnie od obecności albo nieobecności ojca — stawał się katownią, dręczącą chłopca nawet wówczas, gdy ojciec był spokojny, a wszyst-

ko dokoła tchnęło pozorną swobodą. Nie był zdolny wtedy wyczarować z siebie nawet snu o błękitnym rycerzu, albo widzenia Pani o czarnych oczach, i nuda bezbrzeżna, pełna trwóg, obłęgała myśli, rzeczy, książki, szkołę. A pocieszyciela nie znachodził nigdzie, bo zresztą nie umiałby wyrazić, czemu jest smutny i czemu do dna zniechęcony.

Teraz dołączyło się jeszcze przygnębienie z powodu konieczności „repetowania“ klasy: ta sama izba szkolna, przedmioty, nauczyciele — wszystko to samo i tak samo...!

Ale od tej udręki uwolniła Zdzisia szczęśliwa zmiana, jaka dokonała się właśnie w jego życiu i w życiu całej rodziny: — ojciec sprzedał „posesję“ i z końcem sierpnia przeniesiono się całym domem do Krakowa.

VIII.

PRZESILENIE.

Nieznani koledzy, nowi nauczyciele, teatr, miasto wspaniałe, kryjące w sobie tyle czarów... Atmosfera wolna od zastarzałego ducha rodzinnego domku, nasiąkniętego wspomnieniami...

Zdziś poprostu miotał się po Krakowie, podziwiał jego ogrom, chciwie chłonał jego kształty i linje. Wielkość miasta oszołomiła go tak, że się obawiał zagubić w tej gmatwaninie ulic. Wszystko było inne, dziwne, okazałe i pociągające. Pancierz lodowy, ściska-

jący w ostatnich czasach duszę, pękał. Radość młodych sił wytrysnęła, zapalając iskry nadziei i wzmacniając wolę. Po raz pierwszy chyba udał się do kościoła, aby się modlić świadomie i dziękować, i błagać o siłę wytrwania. Powziął bowiem postanowienie wziąć się do pracy, aby powetować klęskę, doznaną w roku ubiegłym. Kłęczał na kamiennych płytach, znajdując rozkosz w tem, że mu kolana cierpną, i żarliwie powtarzał słowa pacierza, zaciskając pięści i słubując, że w tem nowem mieście nowe rozpocznie życie. Postanowił złamać wszelkie trudności i po raz pierwszy zaznał triumfalnego uczucia świadomej siebie woli. Zmory i strachy dziecinne rozproszyły się, czy też zataiły, a na tarczy świadomości zapanaowała rześka ochota i jasny koloryt dnia.

Dotychczasowa niechęć do obyczaju domowego jąła się formułować. Przygniatał go ten ciasny zakres życia zduszony w sobie i wirujący dokoła sprawy wyżywienia i przeżycia bez celu innego, niż wyżywienie i przeżycie. Drobne wypadki codzienne, wyolbrzymione do znaczenia zdarzeń, jedynie ważnych, jedynie godnych zastanowienia, grubym śmiechem odtrącały sprawy innej natury, sięgające kędyś het, poza kąt domowy, stwarzając tę duszność małostkową, rubasznie lekceważącą wyrazy, które na Zdzisia działały podniecająco.

Ilekróć ojciec usiłował zachęcić dzieci do nauki, najczęściej powtarzał wyraz: „karjera“, którego wcielenie stanowił pewien dygnitarz wiedeński. Ów „srebrny kołnierz“ był jakimś stryjem ojca i urzędnikiem mi-

nisterjalnym w Wiedniu. Zdziś widział parę razy tego jegomościa, wysokiej postawy, z bakenbardami à la Kaiser, z kołnierzem srebrnym i złotymi gwiazdami. Ojciec, ciotki, znajomi zachowywali się wobec „grubej ryby” z pokorną uniżonością, drepcąc około niego i szepcząc jak przy wielkim ołtarzu. Zdziś, dorwawszy się ukradkiem do szpady wielkiego człowieka, zapamiętałe bawił się jej klingą z kutasem, podziwiał blask i giętkość, ale osoba właściciela ani nie poruszała jego wyobraźni, ani też nie wzbudzała czci. A był to przecie największy człowiek rodziny, bytujący na takich wyżynach, że jego wizyta uświęcała i pomnażała splendor domu. O „stryju z Wiednia” wspominało się z mlaskaniem warg, któremu towarzyszyły okrzyki: „ba! ba!” — „on dojdzie do złotego kołnierza”. — Jeden raz tylko Zdziś usłyszał — z ust zdaje się owego stryja bez ręki — opinię o dygnitarzu, wyrokującą krótko i węzłowato: „psiakrew, szwarcgelber”. Ale powstaniec nie cieszył się autorytetem. Nikt się z nim nie liczył, a ciekawe pytania Zdzisia, co to takiego „szwarcgelber”, zbywano odburkliwem milczeniem. Sławek także patrzył na ministerjalnego stryja z uśmiechem pogardy. Raz nawet pokalał tę świętość — co jeden Zdziś podpatrzył — wrzuciwszy chyłkiem do błyszczącego „czaka” parę malin. A wiadomo, że malina „nie puszcza” i „srebrny kołnierz” musiał wsiąść do „sznelcugu” z malinową plamą na lśniącej, jedwabnej podszewce czaka.

Wogóle nikt ze starszych, bywających w domu, nie rzucił na Zdzisia uroku, który stwarza w głębi

istoty młodej busołą, regulującą rozterki pytaniem: „cóżby On na to powiedział?”

Zdziś był sam i od pierwszych przebłysków świadomości indywidualnej sam musiał siebie stwarzać.

Również i świadoma religijność przyszła sama z siebie. Chłopiec, nie znajdując w otoczeniu żadnego człowieka, o którego mógłby się oprzeć, wśród chaosu radosnych wrażeń i wybuchającej woli do życia, padał na kolana przed Bogiem, czując, że pomoc, znikąd nie nadchodząca, z tej strony zjawi się w świetlistej glorii siły. Słowa modlitwy sprzęgały go z tą siłą i prąd wzmacniający przenikał wewnątrz piersi, napełniał je otuchą i przeświadczeniem o możliwościach życia innego, niż nędza i brzydota obecna. Błady, wątki chłopczyzna zrywał się z kolan rozjaśniony i biegł do szkoły, z mocnem postanowieniem wydobyć się na-wierzch.

I stawał się cud. Podniosła się z nicości zdolność myślenia. Zaczął rozumieć, gdy go nauczyciel pytał, i dawał odpowiedzi jasne, a po miesiącu już wyrobił sobie opinię ucznia pracowitego i zdolnego. Nawet gramatykę łacińską gryzł skutecznie, a wypracowanie z polskiego napisał na „celujący“. Uczył się naprawdę bezustanku, a najdziksze uroszczenia podręczników, które zresztą i teraz brzmiały dlań obco, rozplątywał wolą, brał siłą rozpędu i uporu.

Życie układało się teraz w formy proste, wyraźne i porządne, ale na peryferji świadomości, jako zagadnienie niepokojące, wyrastał Sławek. Najstarszy brat nie uczęszczał już do szkoły, skąd został wydalony za ja-

kąś tajemniczą zbrodnię, podobno za spisek polityczny, lecz zarabiał na swoje utrzymanie jako „pisarz“ u adwokata. Ćwiczył się zapamiętanie na skrzypcach i prowadził życie, osłonięte tajemnicą. Uchodził za artystę, któremu rokowano wielką przyszłość. Jego nocne ekskursje intrygowały Zdzisia, a kiedy Sławek nagle wyniósł się z domu i zamieszkał z „artystami“, uwielbienie chłopca nie miało granic. Ojciec zniósł ten cios stosunkowo spokojnie, przepowiadając tylko pierworodnemu, że zginie pod płotem, ale Sławek przyjmował te reprimendy milczeniem iście zuchwałem. Od czasu do czasu wpadał do domu, żeby wymanić parę groszy, i znikał. Czasem zjawiał się na obiad — zwłaszcza, gdy nie było w domu ojca, przed którym, mimo samodzielności, czuł mores — drwił z filistrów, karjerowiczów i kołtunów, kazał sobie gotować wódkę i, ćmiąc papierosy, wyśmiewał wszystko dokoła. Zdzisiowi imponował nadzwyczajnie i to wszystkim, aż do brody, która nieporządnymi kosmykami pięła mu się po szczękach. Przynosił bowiem z sobą zapach innego świata a ze wszelakich wielkości rodzinnych kpił złośliwie, twierdząc, że są to autorytety dobre dla filistrów. Kiedy pewnego razu Zdziś wyznał z żalem, że nie ma na teatr — a właśnie grano „Horsztyńskiego“ — Sławek ofiarował bratu całą koronę.

— Tylko, pamiętaj, na teatr, nie na dziewczynkę... Zdziś zarumienił się.

— A co, kochałeś się już?—dopytywał ironicznie. Pamiętaj, chłopcze: „gehst du zu Frauen, vergiss die Peitsche nicht!“—Kochają się tylko

filistry albo idjoci — pamiętaj, co ci powiada twój brat starszy, który wkrótce będzie sławny. Zresztą gwizdź i na sławę. Cała przyjemność to mieć pod sobą tę hałastę filistrów. Kiedy zagram za rok, cała Polska legnie mi do nóg, a za dwa lata będę sławniejszy od Paderewskiego. Zresztą co z wami gadać, idjoci! Śmierdzi tu u was kwarglem i kiszoną kapustą.—Zerwał się, włożył wyświechtany melonik i, nucąc: „Allons enfants...“, zbiegł po schodach.

Zdziś nie ogarniał jeszcze znaczenia sarkazmów brata. Porywał go tylko niejako ich rytm gorący i nowość tak odmienna od tego, co mu wpadało w uszy od dzieciństwa, ale bolało go, że brat traktuje go jako istotę niższego gatunku. Nie znał jeszcze ani nauki o nadczłowieku, ani nie wiedział, że pojęcie artysty równało się w kołach tworzącej się „Młodej Polski“ pojęciu boga. Kto nie był artystą, musiał być mydlarzem, filistrem, niczem. A czemu mógł być dopiero taki „mikrus“ o bladej twarzy i zamysłonych nad wszystkim oczach?

Tymczasem zacięta wytrwałość chłopca zaczęła wydawać owoce. Zaliczano go już w szkole do uczniów „celujących“, ale w roku następnym organizm, nędznie odżywiany i wyczerpany, zachwiał się nagle. Ojciec, dumny z postępów syna, zaniepokoił się serdecznie jego zdrowiem. Chłopca trzeba było zabrać ze szkoły i otoczyć staranną opieką. Zdziś zauważył ze zdumieniem, że ojciec umiał być dobry, a nawet czuły. Dbał o jego odżywianie, wyprowadzał na „świeże powietrze“ i szukał sposobów dotarcia do duszy

chłopca, który zapadł w melancholię i w apatycznym milczeniu przyjmował objawy miłości ojcowskiej.

— Dlaczego milczysz, jak mruk? — pytał raz chłopca, gdy siedzieli na łące, pod kopcem Kościuszki.

— Nie martw się, dziecko. Wyzdrowiejesz z pewnością. Czy cię co boli? A może zmęczyłeś się?

— Nie.

— Za dużo pracowałeś w szkole.

Wobec upartego milczenia, mówił dalej, raczej do siebie:

— Człowiek myślał, że dom będzie dla was gniazdem ukochanem. Dlatego przecie tylko sprzedałem wioskę, tylko dla was, dla waszej nauki, żebyśmy byli razem. Sławek wyniósł się z domu, rwie się w świat. Zadawał się z jakimiś farmazonami, i wyrzucili go ze szkoły. A taki zdolny i taki ma talent do muzyki! Ale co z tego chłopca wyrośnie? Całe życie tylko o was myśleliśmy z matką nieboszczką, ale wam wszystko źle. Żeby tak mój ojciec dbał o nas, jak ja, tobym nie musiał uczyć tańców i mordować się przez całe lata. Człowiek odmawia sobie wszystkiego, lepszego tytoniu, chodzi w butach łatanych, byle wam starczyło, wam... Zmarnowane życie. A wy stronicie ode mnie, jak od zarazy, i nigdy nie można się dowiedzieć, czego wam właściwie brakuje? Ty także coś tam tłumisz i ukrywasz przede mną. Czy to ja wasz wróg, czy co? Ciężkie miałem życie i za wszystkie mitęgi tak mi się wywdzięczacie?

Ale w synu była już na zawsze porażona zdolność miłowania ojca. Nie miał mu nic do powiedze-

nia. Żał mu nawet było tego człowieka o siwiejącej brodzie i zamglonych, znużonych oczach, ale przyjaźni synowskiej nie umiał z siebie wykrzesać. Posępne wrażenia dziecinnych lat wyżyłoby już swe drogi, z których niepodobna było się wypłatać. Zmęczony i obolały w sobie, spoglądał na wieże krakowskie, oblane sennem światłem zapadającego zmierzchu, i dojmująca tęsknica rwała mu serce, lecz usta miał jakby zaszurowane.

— Uciekaj, bo cię zabiję! — usłyszał naraz głos ojca i wzdygnął się z przerażenia. W pierwszej bowiem chwili dopuścił podejrzenie, że słowa te ojciec zwraca do niego... Ale omylił się. Ojciec przemawiał tak do komara, który usiadł mu na dłoni, zapuścił trąbkę i ssał krew.

W Zdzisiu dokonywała się istotnie jakaś przemiana, której sobie jednak nie umiał uświadomić. Wy dobył się z bagna otępienia, w jakim tkwił dawniej, i teraz nie wątpił już, że się utrzyma na powierzchni. Ale co dalej? Jeszcze całe lata nauki szkolnej, która go już męczyła i nudziła. Książki, których mu już nie broniono, chociaż i teraz ojciec zezem patrzył na nie, roznieciły w nim jeszcze głębszą tęsknotę za jakimś innem życiem, obszernem, płonącym, intensywnem, jakie przeczuwał dokoła. Tymczasem dom nie zmieniał się i sprzeczność między rzeczywistością realną a światem myśli i marzenia zaostrzała się coraz wyraziściej.

Ostatecznie zaś, teraz już świadomie, znienawidził dom po ohydnych zajściu między ojcem a matką.

Nie wiedział, o co właściwie poszło. Właśnie wchodził z kuchni do pokoju. Macocha krajała chleb wielkim, błyszczącym nożem, i wbrew lęklivemu zwyczajowi „perswadowała“ coś ojcu, bo zazwyczaj kornie przyjmowała jego wyrzuty, a nawet wyzwiska. Musiało zacząć się od spraw pieniężnych na wydatki codzienne, jak wywnioskował Zdziś z pierwszych słów, wypowiedzianych przez macochę głosem podniesionym: — Ależ powtarzam ci, że nie wystarczy... Po tych słowach przerwała krajanie chleba i z gniewem popatrzyła na ojca. Nóż zawisnął w powietrzu i ostrzem zwrócił się w stronę ojca. Spojrzenie macochy i przypadkowy kierunek, w jaki mierzył nóż, musiały w ojcu wzbudzić szalone podejrzenie, bo ryknął straszliwie: — Co? — ty się na mnie zamierzasz?! — i skoczył do macochy, która wprawdzie zasłoniła się drugą ręką, ale było już za późno. Pięść ugodziła ją w twarz.

Zdziś, osłabiony jeszcze skutkiem choroby, zdrętwiał. Zakręciło mu się w głowie. Zgroza, przerażenie, odraza przenikały go do samej iścizny natury. Nie mogąc znieść widoku bójk, wpadł przez kuchnię do sieni, na schody, jakby śpieszył wzywać kogoś na pomoc. Dopiero w połowie schodów zatrzymał się, głowę oparł o ścianę i zaszlochał. A z mieszkania dołatywał płacz macochy i klątwy ojca. Szlochał i w duszy wzywał nieszczęścia na głowę ojca. Teraz znienawidził go już otwarcie i jął szukać sposobów wyratowania się z tego domu brudu, bójk i grubiaństwa.

Wszelki gwałt fizyczny był dlań od pierwszych świtów świadomości rzeczą potworną i oburzającą.

Uciekał nawet od bójek wśród kolegów. A w domu wciąż krzyki i wrzaski, czasem nawet te sceny okropne.

— Wynieść się, uciec, jak Sławek, daleko od nich, daleko od nich wszystkich, bo oni wszyscy są tacy.—Kułakiem wycierając łzy, szeptał: — Boże, ratuj! Boże, dopomóż! — Nie pozwól! Niech on umrze...

Postanowił uczyć się zawzięcie, aby jak najprędzej skończyć szkołę, a potem natychmiast! natychmiast opuścić dom na zawsze!

IX.

SIELANKA.

Na lato wysłano Zdzisia dla zdrowia do brata macochy, leśniczego w Pieninach. Znajdowało się tam nieeksploatowane przez nikogo źródło wody żelaznej. Oprócz stryja z żoną i małym synkiem mieszkała jeszcze w leśniczówce, leżącej w środku gęstych borów, babunia, mądra i żywa bardzo kobieta. Polubiła ona Zdzisia od pierwszego wejrzenia i zaopiekowała się jego zdrowiem. Zaś tuż obok w małej wioseczce przebywała na letnich wywczasach dobra znajoma. babci, pani Rudzińska z cichutką córką, Adelą, spokojną posiadaczką dwojga aksamitnie czarnych oczu.

Zdziś czuł się w leśniczówce dobrze nad wyraz. Dom był obrośnięty dzikiem winem, schludny, czysty wewnątrz i skromnie, biało umeblowany. Babcia siadywała na drewnianym ganku, w czas niepogody w saloniku, i robiła jakieś szydełkowe arcydzieła, wtajemni-

czając pannę Adelę w arkana tej sztuki. Zdziś wybierał sobie wtedy jakiś kącik w pokoju, albo siadał na murawie przed gankiem, i przyglądał się nauce. Właścicielka aksamitnych oczu miała również aksamitny głos i mówiła tak wdzięcznie i dźwięcznie, że gdy już nie wypadało patrzeć nieustannie w te oczy, to przyjemnością było wsłuchiwać się bodaj w ten głos. Czasem wołano chłopca, aby podał drut lub nożyczki, albo wzywano go, kiedy upadł kłębek, i trzeba go było zwinąć. Zdziś okazywał, naturalnie, gorliwość namiętną, co znajdowało uznanie, zwłaszcza że chłopiec mało-mówny był jednak zręczny i uprzejmy, nie jak chłopaki w jego wieku, zazwyczaj grube, hałaśliwe i ordynarne. Z tego jednak nie wynika, aby był marmurkiem i niedojdą. Owszem, nieraz w obecności babci i panny Adeli wdrapywał się w mig na sosnę, rosnącą przy ganku, puszczał się w zawody z psem Udkiem, wskakiwał oklep na konia, albo w pozycji wojowniczej stawał opodal i mierzył z łuku, sfabrykowanego własnym przemysłem, w przelatującą wronę. Wiedział o tem, że na niego patrzą, i pragnął wyglądać jak najefektowniej. Ale w pobliżu panny Adeli, która była od niego nieco wyższa, tracił swobodę. Lubił natomiast czatować, gdy miała nadejść, bo szczególnie przyjemnie było widzieć, jak wynurza się z lasu i nadpływa ścieżką wśród lśniących liści brzošek i młodych sosenek. Marzyło mu się, że panna schodzi doń z innego kręgu świata, z tamtego, do którego tęsknił.

Panna Adela miała w ubraniu, w spokojnym ruchu, w łagodności, w swej schludnej czystości coś zu-

pełnie cudownego i, kto wie, pochodziła może z krajny błękitnego rycerza? Jak tu wobec tego rozmawiać z nią, jak się zachować? Ona była dziwem niebiańskim. Czy też jadła, jak inne? Czy podobna, aby umiała krzyczeć i wrzeszczeć, bić się, szczypać, przezywać? Spoglądał na nią z uwielbieniem, nie marząc nawet o tem, aby rodzaj obcowania, polegający na ukłonie, na drobnych usługach, przypadkowych spojrzeniach, mógł się kiedykolwiek przedzierzgnąć w coś bardziej realnego. Najwyżej pragnąłby w półśnie czuć jej rękę na swem czole. Zadowolili by się jednak najzupełniej, gdyby tylko spoglądała na niego przyjaźnie i poufnie.

Tęsknił do jej obecności. Już na sam jej widok wstrząsał nim dreszcz, a gdy znalazła się o parę kroków od niego, zapadał w omamienie pełne słodyczy, tem żywsze, że źródło błogości było określone, stało przed nim i patrzyło ogromnemi, czarnemi oczami i że miało warkocz gruby, lśniący niebieskawo.

Raz byli sami i zwiłali włóczkę. O włóczko szczęścia! Prąd ciepła płynął po niej i przenikał w palce, dłonie, piersi, serce. Najbardziej ogniste uściski nie mogą równać się z rozkoszą, jakiej doznawał, trzymając tę nić, bo w tej rozkoszy mieściła się sama dusza rozmodlona i zachwycona, jak w ekstazie, słaniając się i nucąc pieśń radosną i czystą, jak kropla rosy.

Zdziś podniósł wzrok i ścierpł, jakby go przychwycono na przestępstwie, bo panna Adela także wpatrywała się w niego świetlistemi ogniami swych ogromnych oczu. Natychmiast opuścił powieki, zmartałwiały, i czekał na wyrok. Lecz nić wiła się wciąż,

przyciągając go do panny. Zbliżywszy się już na odległość dwóch kroków, znów odważył się spojrzeć i stwierdził, że oczy wciąż świecą światłem łaskawem. Oszołomiony zatrzymał się i poczuł na swej ręce puchowy dotyk dłoni panny Adeli, która, wyjmując mu koniec nitki z palców, powiedziała: — Niechże pan Zdziś dajel

Te wyrazy zaśpiewały w uszach chłopca, jak szczebiot ptaków rajskich, a panna Adela została obwołana władczynią, której on był niewolnikiem pokornym i aż do śmierci posłusznym. Nie obwieścił tego, naturalnie, nikomu, ani teraz ani potem, ale każde jego spojrzenie i każdy ruch świadczyły jawnie o spełnieniu się tego historycznego aktu.

Dobra babcia nie zabraniała niewinnej zabawy dzieciom, które od sceny włóczkowej przepadały za sobą. Zdziś znalazł się odrazu, sam nie wiedząc kiedy się to dokonało i w jaki sposób, w krainie zaczerowanej, a życie przeobraziło się w żywot pазia z bajki. Zapomniał o domu, ojcu, szkole, wniwecz rozsypały się ambitne rojenia. Poza obrębem aksamitnych oczu i dźwięku głosu władczyni świat przestał istnieć. Podczas jej nieobecności rozmyślał bez przerwy o nadziemskich doskonałościach panny, przypominał sobie i rozpamiętywał dzieje znajomości i każde ważniejsze zdarzenie, każda niby to przypadkowa zguba kwiatka przez nią, zapomnienie jakiegoś drobiazgu wystarczyły, żeby miał powód pobiec za nią tą ścieżką brzo-zową i wołać: — Panno Adelol — panno Ade-l-o-o! — Głos rozlegał się hucznie po lesie, łamał i odpo-

wiadał echem, jakby drzewa również nawoływały się imieniem ukochanem. Zresztą ani razu nie padło między nimi jedno bodaj słówko wyjaśnienia. Rozmowy w towarzystwie babci obracały się dokoła robótek, pogody, psa i kota, lekcyj, egzaminów, albo posiłku. Ale gdy babcia mówiła do panny: „Zostań, moje dziecko, na podwieczorek“, jej odpowiedź stanowiła dla Zdzisia wyrok złowrogi albo zapowiedź szczęścia, które miało trwać jeszcze godzinę. Chłopiec spoglądał błagalnie, a panienka, żeby łaska jej nie stała się czemś zwyczajnem, wymawiała się, droczyła i dawała się prosić, a nawet burzyć przez babcię. Po podwieczorku najczęściej czekało Zdzisia szczęście przebywania z panną sam na sam, gdyż babcia udawała się ze stryjenką do kuchni albo rozpoczynała gawędę o sprawach domowych tak przerażająco nudnych, jak geometrja.

Panna Adela dygała wdzięcznie, Zdziś szurał obcasami, i wymykali się do lasu. Od grzybów roilo się, ale — o dziwo! — Zdzisia nie wzruszały nawet najwspanialsze „prawdziwce“ chyba, że udało mu się podprowadzić na nie pannę. Wtedy mówiła: — Ach, jaki ładny, prawda, panie Zdzisiu? — On zaś lubił, kiedy wymawiała jego imię. Czasem siadali wśród rozłożystych paproci. Panna Adela zaplatała sobie warkocz i gaworzyła swym głosem spokojnym, równym, o byle czem, o jakiejś przyjaciółce, z którą korespondowała, o swej mamusi, którą bardzo kochała, a Zdziś wsłuchiwał się uważnie, od czasu do czasu zadając pytanie.

— A mama pana Zdzisia kocha pana Zdzisia? — zaciekała się panienka.

— Moja mama umarła — sucho odciął chłopak.

— Jezus Marja! to pan Zdziś jest sierotą... biedny... a dawno? — i spojrzała na niego poważnem, współczującym okiem niby ktoś znacznie starszy i silniejszy.

Niebaczna panienka pierwsza złamała pieczęć milczenia i spowodowała wybuch nieoczekiwany, bo Zdziś o sobie dotąd milczał, kryjąc przed władczynią nędzę swego życia, której się wstydził. Ale paluszki pieśzcotliwe tak delikatnie dotknęły blizn najtajniejszych, że nie urażyły. Zdziś ją gorączkowo wyrzucać z siebie złe i ciemne myśli, ciężkie wspomnienia i koszmarowe obrazy, mieszając jedno z drugim nieporządnie. Mówił o matce nieboszczce i o ojcu, o szkole i o błękitnym rycerzu, o teatrze i o książkach, o ciężkich robotach w polu i o planach na przyszłość, o Sławku i o tem, że go nikt nie rozumie. Rozpalił się tak w szczerości swej, iż bliski był wypowiedziania się z wrażeń i pokuszeń najtajniejszych, ale głos wewnętrzny szarpnął go i powstrzymał. Oprzytomniawszy, spojrzał na pannę Adele i zobaczył jedną wielką łzę w jej rzęsach.

Panienka szeptała: — Biedny, kochany Zdziś — i przytuliła policzek do jego twarzy.

Słodycz niewysłowiona rozplynęła się po kościach chłopca strumieniem rozkoszy. Złożył głowę na kolanach dziewczęcia i dłoń miękka pieśzcotą siostrzaną gładziła jego rozgorączkowaną głowę. Tak był wzbu-

rzony, że nie zauważył własnych łez, aż dotknął zwilżonej przez nie sukienki, którą w zapamiętaniu obsypał był gradem pocałunków. Nagle zerwał się i pędem uciekł w las. Skacząc przez pnie i doły, biegł ścigany wzrokiem panny, oniemiałej ze zdziwienia, i zatrzymał się dopiero na wzgórzu, skąd było widać burzliwy Poprad.

Zielono-złote fale kłębiły się, przewalając się po kamieniach. Na tamtym brzegu bielila się wstęga drogi i tor kolejowy, po którym teraz właśnie sunął pociąg. Z lokomotywy wykręcał się wspaniały pióropusz dymu i rozwlekał po lasach. Pełne, sierpniowe słońce zlewało krajobraz rozgorzałym potopem promieni. Lasy, wzgórza i łąki były w nozdrza tęgim zapachem ziemi, prężącej się w uściskach lata.

Natura po raz pierwszy przemówiła do Zdzisia swym nieodgadnionym urokiem.

Ale trwało to krótko. Wzburzenia wewnętrzne go nie uspokoił pęd. Serce kuło gwałtownie, mocno, zdrowo, lecz myśl nie panowała nad bezładem uczuć. Wstyd, lęk, poczucie swobody i rozkosz mieszały się i zmieniały z chwili na chwilę, niby kształty i barwy chmur w czasie burzy. Gryzł go wstyd, że się wyśpowiadał z tego, co było dotąd jego wyłączną tajemnicą i własnością, że się obnażył wobec panny i odkrył przed nią całą biedę swego życia, jego smutek i brzydotę. Ona teraz z pewnością myśli o nim z odrazą. Podniesie się i odpłynie do swego królestwa. Już jej nie zobaczy. Dlaczego uciekł? Sam nie wiedział. Woń jej policzka, którą jeszcze czuł,

zapach sukienki, wspomnienie jej oczu przyśpieszały rytm krwi aż do nieprzytomności, narzucając głuche i przyćmione wyobrażenia, które odpędzał i spychał ze zgrozą. Gardził sobą, lecz równocześnie war krwi życia grzmiał w nim wzmożonym rozmachem. Trwożył się i biczował, a radość szumiała mu w piersiach. Naraz wydało mu się rzeczą oczywistą, że już panny Adeli nie zobaczy nigdy — nigdy! To jasne. Obraził ją. On, on, chłopak pospolity, brzydki, ośmielił się całować sukienkę królowny o aksamitnych oczach! On, biedny, z tego domu brzydkiego, odważył się bezczelnie podnieść oczy na tę piękną, wzniosłą, taką delikatną jak kwiatek i taką przytem mądrą. I mądrą! Wszystko widząca! Cóż on, nieszczęsny, uczynił?

Skoczył z miejsca, jak szalony, i pocwałował zpowrotem. Ale Adeli już nie było. Gdy ujrzał wśród — — — — — miejsce opustoszałe po niej, doznał — — — — —, jakby zimna kosa przejechała mu przez piersi. Niestety! Jego to wina! Zniknęła... Tu, na tem miejscu siedziała tak jeszcze niedawno... Pocóż, pocóż on jej to wszystko wygadał? Walił się pięścią w czoło, gryzł paznokcie i płakał. Pobiegł na ścieżynę wśród brzoź i sosenek. Niema! Nie widać jej, ani śladu po niej, jakby nigdy nie istniała, jakby mu się tylko prześnił sen. Napróżno usiłował odtworzyć sobie w pamięci jej twarz. Odstraszył ją, znieważył, spłoszył swego anioła, siostrę, jedyną bliską mu istotę na świecie. Znowu zostanie sam. Łkania zrywały mu pierś, żalność piekła. Opadło go znużenie. Wrócił do domu, położył się na łóżku i płakał.

Dzień następny był jedną męczarnią. Panna Adela nie pojawiła się. Mógłby wprowadzić sam pójść do niej, bo już kilka razy odprowadzał ją do domu, ale dzisiaj nie uczyniłby tego za skarby świata. Czatował przy domu, wykradał się na ścieżkę. Nie nadchodziła! Wreszcie popołudniu udał się na zwiady. Wybrał sobie posterunek za ostatnią kępą drzew i wypatrywał. Każda wyłaniająca się postać przyprowadzała go o bicie serca, bo za każdym razem ludzi się, że to panna Adela. Już słońce zniżało się ku zachodowi, ale jej nie było, jakby wogóle nigdy jej nie było. Zatem dobrze przypuszczał. Obraził ją, znieważył, postąpił jak niewdzięcznik i głupiec.

Naraz serce uderzyło w nim jak młot w kowadło, aż się zatchnął. Idzie. Chociaż to nieprawdopodobne, żeby teraz dopiero... Za chwilę słońce zajdzie. A jednak to ona. Coprawda z matką. Może uwzględniła jego głupotę i przebaczy mu? Jest przecie taka dobra i łaskawa, taka miłosierna. To ona! Tak jest! Słyszysz jej głos. Przyłgął do ziemi. Idą! Jej głos brzmiał mu niby gorzkie echo. Idą! Kto wie? — może wybrały się do leśniczówki na kolację?

Naraz zawróciły. Skończyło się. A może zawołać na nie — hop! hop! Niby tak, żartem. Kuknąć jak kukułka, rzucić kamykiem? I co potem? Ogień przeleciał mu przez twarz na myśl, coby potem nastąpiło. Schowałby się pod ziemię ze wstydu. Wytknął całą głowę z pomiędzy gałęzi i wchłaniał jej postać, barwę sukienki, ostatnie dźwięki głosu. Żegnął się ze swoją królewną na zawsze.

Nigdy jeszcze nie cierpiał tak okropnie, jak teraz. Najbrutalniejsze sceny z ojcem, najtajniejsze upokorzenia, najbardziej jałowe godziny życia wydały mu się zabawką w porównaniu z tą katuszą, jakiej teraz doznawał.

Tak zimno w sercu. Na świecie tak głucho i obco!

Och jak samotnie i źle — matko moja! matko! Gdybyś żyła, wyznałbym ci wszystko, i tybyś mnie utuliła. Moja królewna o aksamitnych oczach zniknęła i nigdy już na mnie nie spojrzy!

Wspominał, a każdy szczegół wspomnienia wbił się ostrym bólem w piersi. Słaniał się pod nieznanem mu dotąd brzemieniem i nie mógł znaleźć rady.

Tymczasem nazajutrz panna Adela przyszła, jak zwykle. Jak zwykle cicha i łagodna, uślaowała babci rękę, tłumacząc się, że wczoraj nie wstąpiła, bo mama niedomagala. Zdziś był oniesmielony bardziej niż kiedykolwiek i niezgrabny do śmieszności. Nożyczki upuścił z takim zgrzytem, brzękiem i hałasem, że aż babcia skarciła go wzrokiem. Drżał ze strachu i szczęścia. Lecz oczy panienci świeciły blaskiem spokojnym, kojącym, wlewały w strwożone serce otuchę. Jął odczuwać, że wolno mu zająć znowu posadę niewolnika, który pokorą, uległością i pilnem baczeniem na każde skinienie królewny odzyska może łaskę. Tak przynajmniej obiecywały dwa słoneczka oczu. Stajała w nim i przepadła męka dnia ubiegłego, a rozrzewnienie otuliło duszę niby puch, otulający niewidoczny pączek. Był już prawie szczęśliwy. Rumiany, giętki, wesoły, miłośnie zanurzał się w świat

swój własny, który był wykołysał i wyśnił w czasach najsmutniejszej udręki, a który wczoraj zatracił się gdzieś i zagubił — zdawało się — na zawsze. Zdziś był promienny i, jakby go uszlachetniło spojrzenie królowny, nabrał wdzięku, swobody i pewności siebie.

Z byle powodu tryskał śmiechem, a kiedy panna Adela zawołała: — Jaka śliczna różyczka rozwinęła się przez dzisiejszą noc! — wyskoczył przez okno i, okrwawiwszy sobie palce, zerwał płonącą różyczkę, poczem wrócił tą samą drogą i, kłaniając się zgrabnie, podał kwiat królownie. Rumieniec szkarłatny oblał jej policzki, zaś oczy, zazwyczaj tylko łaskawe, rozblęsnęły teraz zachwytem. Serce chłopca zadzwoniło ekstatycznie. Zapatrzył się w lica panny, jakby ujrzał nagle zjawiony cud, i patrzyłby bez końca, gdyby nie babcia, która zapytała:

— A cóż wy tam robicie? — ej dzieci, dzieci!

— Niech babcia zobaczy sama, czy nie ładna? — podbiegła do niej panna Adela, pokazując różę.

— Bardzo ładna, płaszyno, ale kto to widział skakać przez okna? Mogłeś nogę złamać. Patrzcie mi go, jaki kawaler!

Od tego wypadku zaszła zmiana w kolorach uczuć i formach gestu. Królowna spoglądała na chłopca jak na adoratora, który z niewolnika przedzierzgnął się w pazia. Zapytany o przyczynę nagłej ucieczki, wykręcał się niezgrabnie, że sarna właśnie przebiegła, i chciał ją doścignąć, na co panna Adela pogardliwie wyduła wargi i z dumą zawiesiła brwi o jedną linijkę wyżej. Zresztą nie zmieniło się prawie nic. Częściej tylko

łowił Zdziś każdą sposobność, aby uchwycić paluszki panny, albo zbliżyć się do niej, aby czuć jej oddech na swej twarzy, i coraz częściej ona manewrowała, aby się to jemu udawało. Teraz także już i ona nie ukrywała radości na widok chłopca, wybiegającego z lasu naprzeciwko niej, a nawet dała mu do zrozumienia, że spotkanie nad źródłem, z którego pijał żelazną wodę, nie należy do rzędu marzeń nieosiągalnych.

Źródło to chowało się na samotnej polance, w głębi boru. Przezroczyste tak, że widać było jego dno, czerwone od osadzającego się pyłu metalowego, szło się w słońcu o wiele bujniej, niż woda źródłana. Tu spoczęła panna Adela na bochnie głązu, a paż u jej nóg, zewsząd zasłonięci drzewami, szumiącymi swe hymny. Jędrne powietrze pachniało jedliną i miodem.

Zdziś snuł swe rojenia na przyszłość, „gdy wyjdzie z domu“. Droga jego życia nie będzie, oczywiście, pospolita, owszem, spodziewa się on odegrać na świecie rolę wielką, czy to jako artysta, albo może jako żołnierz w powstaniu, które będzie niewątpliwie. Do swych zadań gotuje się już dzisiaj, ćwicząc się w gimnastyce i ucząc. Narazie musi jednak skończyć jak najprędzej szkołę, aby wydostać się z domu i „wyruszyć w daleki świat.“ Do tych planów dołączył się teraz jeszcze jeden, ale on nie wie, jak to powiedzieć... I spuścił głowę.

— Cóżto takiego, panie Zdzisiu?

Nie odpowiedział, a panna nie napierała jakoś. Brzoza szemrała swoje, a wielkie słońce stało wysoko

na niebie. Aż tu wietrzyk przyleciał, chuchnął i strącił puszysty warkocz na twarz Zdzisia i zakrył mu usta parzącymi promykami włosów. Panna nie zauważyła jakoś swawolnego przypadku. Zdziś chwycił promyki wargami, a potem przytulał je do policzków i oczu, błogosławiąc wietrzyk i tę okoliczność, że panienka właśnie zadumała się głęboko, spoglądając na czuby drzew.

— A to co? — zawołała panna Adela z widocznym roztargnieniem.

Zdziś zerwał się na równe nogi, jak podcięty batem, i klęska z przed kilku dni stanęła mu przed oczyma w całej grozie.

— Panno Adelo — szepnął. — Ja...

— Co?

— Ja...

— Ty...!

Panienka błysnęła okiem i uśmiechnęła się tak wdzięcznie, jak nigdy. Stał tuż przed nią. Prawą ręką otoczyła jego szyję i pociągnęła go ku sobie tak, że jej oddech płynął mu wprost usta w usta, a potem poczuł na swych wargach ciepłe wargi dziewczęcia i pocałunek powiewny niemal jak wietrzyk i cichy jak drzenie listka.

— Za trzy dni wyjeżdżamy — rzekła, odsunawszy chłopca i zaglądając mu w oczy.

— Za trzy...!

— Może się już nigdy nie zobaczymy. Tak mi smutno, Zdzisiu.

— Będę pisał. A potem, potem, gdy będę wolny — panno Adelo — — bo ja panią kocham...

— I ja kocham cię, Zdzisiu, ale jeszcze nie możemy się żenić. Dopiero potem, potem, to jeśli nie zabiją cię w powstaniu...

— O! — w powstaniach brały także kobiety udział. Panna Adela poszłaby ze mną. Już nie bój się. Ja będę mocny. A zresztą nie wiem, kiedy to będzie.

— To prawda. Nic jeszcze nie wiemy i dlatego musimy dużo, dużo pisać do siebie. Ale ja nie chcę, żeby moja mama dowiedziała się o tem, bo moja mama jest bardzo dobra, nie jak twój tatuś, ale swoją drogą wolę, żeby się nie dowiedziała. Bardzo mi smutno, Zdzisiu, bardzo.

Chłopcu przyszła do głowy genialna myśl.

— Już wiem. Zrobię jakąś straszną hecę w budzie, żeby mnie wypędzili. Ojciec będzie musiał przenieść mnie i wtedy przyjadę do gimnazjum do Nowego Sącza.

Panienka myślała.

— Najpierw zbije cię na kwaśne jabłko. A potem na pewno się nie zgodzi, bo w Krakowie są jeszcze inne szkoły. Zdziś jest niemądry. A skądby twój tatuś wziął pieniądze na „stancję“ w Nowym Sączu? Nie, musimy do siebie pisać, dużo pisać. Tylko, żeby Zdzisia nie zabili w powstaniu. Takby mi było żal...

Zdziś aż spłonął z radości, że go panna tak żałuje, i zaraz wyobraził sobie, jakto, kryjąc się za pnem, strzela do Moskali. Naraz otaczają ich. On, żeby

dodać innym ducha, wyskakuje z za drzewa i paf! trafia go kula. Potem niosą go na marach w uroczystym pochodzie a wszyscy płaczą i rzucają kwiaty.

— Żałowałaby mnie panna Adela?

— Pewnie, żebym żałowała. A jeszcze gdybym miała dzieci!

— Dzieci? — Zdziś stanął w ogniu.

— No pewnie. Wszystkie żony mają dzieci. Ja bardzo lubię małe dzieci.

— A jakto dzieci...?

— No, jakto? Całkiem poprostu. Kto się żeni, ten ma dzieci. Jedna moja kuzynka wyszła w przeszłym roku zamaż i już ma dziecko. Bardzo ładny chłopczyk, a jak krzyczy i kopie nóżkami! Takie ma różowe nóżki. Kładą się spać przy sobie i tak leżą, leżą, leżą, aż mają dzieci.

— A ja nie lubię małych dzieci — rzekł Zdziś.

— A bo Zdziś jest mężczyzną, to całkiem co innego.

— Moja mama bardzo jęczała, kiedy urodziła się moja najmłodsza siostrzyczka, a potem umarła z tego.

— Tęskno Zdziśowi do mamy?

— Nie wiem — rzekł oschle.

— A ja wiem, że ci źle bez mamusi, ja wiem, biedny, mały Zdziśiu.

— O, ja nie jestem taki, jak panna Adela myśli — zachnął się chłopiec.

— Jakto taki?

— No, taki mały chłopiec jakiś...

— A czy ja to powiedziałam? Nie, jabym się nigdy nie zakochała w malcu. Zdziś jest ładny, zgrabny i podoba mi się. O! szósta klasa i to z Krakowa! Kto wie, może nawet mama zgodziłaby się, żebyś został moim narzeczonym. Gdyby Zdziś siedł już do siódmej, to na pewno.

— A ja nie lubię być narzeczonym—wypalił Zdziś.

— Nie? dlaczego?

— A bo tak... czy ja wiem... to głupie...

— Ha! ha! ha! — śmiała się serdecznie. Dlaczego? Zdziś zmieszał się.

— Ja nie wiem...

— Nic nie rozumiem. Dlaczego?

— O o! — niech pani patrzy, zając!

Rzeczywiście, zając, głucho tupiąc, sadził przez polankę i uratował chłopca z zakłopotania.

— Jaki ładny! Zdziś lubi polować?

— Nie.

— Nie?

— Raz zabiłem z procy jaskółkę. Potem piszczała.

— Fe, jaskółkę. Zając, to co innego, albo wilk.

A tu niema wilków?

Rozejrzała się trwożnie.

— O — ale już późno! Trzeba iść prędko, bo jakby mama się domyśliła, toby dopiero była afera! Idziemy. Ja tędy, Zdziś tamtędy.

Naturalność panienki wyrugowała z duszy Zdziśa lęk, że utraci wstęp do krainy rzeczywistości, tak odmiennej od jego dotychczasowego życia. Przestał być niewolnikiem. Tylko że królewna zamieniła się

na realną pannę, a paż został podniesiony czy zdegradowany z godności pazia na stanowisko „narzeczonego“ w tajemnicy. Zyskał na tej zmianie w panie Adeli dobrego i serdecznego powiernika, któremu wszystko się zwierza, który wszystko pojmuje. A że ten powiernik miał przytem oczy niby bratki aksamitne i wonny warkocz, to już nie mąciło uczuć wobec naiwnej prostoty panienki, dość żywej, aby odczuwać, zbyt jednak spokojnej, aby rozniecić przedwczesną namiętność.

Ostatnie dni minęły w niezmałconej równowadze cichego lubowania się obecnością panny, której pieśczętą, najdalej posuniętą, było przytulenie policzka do twarzy Zdzisia. Wprawdzie wspomnienie zapachu jej policzka zajmowało w wyobraźni tyle kuszącego czaru, że wyobraźnia wciąż i wciąż odtwarzała szczęście tej chwili, lecz Zdziś ani razu nie pokusił się sam sięgnąć po tę pieśczętę — a panna Adela wkrótce wyjechała. Ostatecznie postanowili do siebie pisywać, pisywać i pisywać, które to zobowiązanie zostało przypieczętowane pocałunkiem wiotkim, niby muśnięcie skrzydełek motyli.

X.

KONSPIRACJA.

Zdziś, wróciwszy do szkoły, spoglądał na kolegów z nieznaną sobie dotąd dumą, jako posiadacz skarbu, który należało przed obcymi tać. Obyczaj

domowy już nie ciążył teraz na nim, jak dawniej, gdyż chłopiec nie czuł się już tak samotny. Odkrył bowiem tajemną wyspę, o którą raz wraz zaczepiała myśl, niby kotwica o dno morskie. Zespół kolegów zmienił się znacznie, gdyż wielu przeszłorocznych odpadło, kilku nowych przybyło.

Zaraz w pierwszych dniach zwrócił uwagę na jednego z tych nowicjuszków, nazwiskiem Strzyżewski. Chłopak ten miał twarz spaloną, szczęki energicznie zawinięte, był krępy i rzutki, śmiał się serdecznie i rozgłośnie, i to z byle czego, jadał za dziesięciu, a zaczepiony bił za dziesięciu, i wtedy jego oczy paliły się wściekłością. Bardzo prędko dawni uczniowie, za-domowieni już od lat w swych zwyczajach i prawach, przestali zaczepiać przybłędę. W przeciągu paru dni umiał sobie ten zawadjaka zdobyć pięścią i rubasznym dowcipem mir wśród kolegów. Zdziś, lubiany za uczynność i spokój, uchodził za najinteligentniejszego w klasie, i ta opinia wystarczała mu zupełnie. O napoleońskie laury Strzyżewskiego nie był zazdrosny. Tamten zaś, zajęty „dawaniem byka w nos“ tym, co jeszcze warczeli na jego przewagę, nie zauważył — zdało się — Zdzisia. Dopiero jeden „kawał“, zbliżywszy ich do siebie najniespodziewaniej, uczynił z nich braci sjamskich.

• Pewnego mianowicie dnia — a był to złoty wrzesień, kiedy to niebo jaśniej barwą niezmażanego błękitu — Zdziś opuścił kościół, dokąd wstąpił na zwykłą modlitwę poranną, jakiś wyjątkowo rozdrażniony. Na widok „budy“ nawiedziło go po

raz pierwszy od paru lat uczucie nudy i zniechęcenia. Ta sama szara, brudna kamienica, ta sama czarna paszcza bramy, połykająca uczniów, te same korytarze, klasa, dziedziniec. A tu złościście ciepło, a tu ostry zapach więdnących liści. Jakieżby to było szczęście wyrwać się i pójść w pola z panną Adelą i rozmawiać lub milczeć, i widzieć obok siebie jej oczy, a nad sobą niebieską kopułę nieba!

Gdy takimi marzeniami pochłonięty wszedł do klasy, uklął go w oczy portret cesarza, wiszący nad katedrą, taki samiusieńki, jak ów dawny, oplwany w dziecięcej furji.

Cisnął książkami o ławkę i wrzasnął:

— Psiakrew! — kiedyż nareszcie zabiorą stąd tego zgniłego dziada?!

— Zdziś! — cóż ty klniesz dzisiaj, jak hycel? — zdziwił się jeden z kolegów, ponieważ Zdziś nigdy nie klął, dotrzymując zobowiązań, jakie, przejęty wstrętem do grubjańskiego języka domu, sam sobie kiedyś nałożył.

W tej chwili klasa oniemiała.

Strzyżewski bowiem wskoczył na katedrę, zdjął z gwoźdźca portret „najjaśniejszego“ i rozważał, coby też z tym fantem począć. Wreszcie wpadł widocznie na odpowiedni pomysł, bo, podrzuciwszy głowę jak koń rasowy, krzyknął:

— Jazda, chłopcy! — podnieść „gradus“!

Ale nikt się nie ruszał.

— Tchórze! — zawołał Strzyżewski, i krew nabiegła mu do twarzy.



Pierwszy skoczył Zdziś i wczepił się rękami w pomost, na którym stała katedra. Nadbiegło jeszcze z pomocą kilku odważniejszych, dźwignęli „gradus“, a Strzyżewski wpakował pod niego cesarza i podepchnął butem. „Gradus“ spuszczone. Strzyżewski ustroił nabożnie twarz, przeżegnał się i zaintonował baraním głosem: „Requiem aeternam dona ei Domine“.

Klasa potoczyła się ze śmiechu, ale hałaśliwy dźwięk dzwonka zwarzył humory.

Strzyżewski zawołał groźnie: — Kto piśnie słówko, ten się dowie, co to z nami zaczynać.

Nauczyciel polskiego, Kazanowski, ulubieniec młodzieży, nie dostrzegł braku portretu. Dopiero ks. katecheta Wąsik zwrócił uwagę na białą, kwadratową plamę na ścianie, a że grał rolę liberała i przyjaciela młodzieży, zwrócił się do klasy z uśmiechem, wskazując na ścianę:

— Gdzieżeście to podzieli?

Żaden z uczniów nie ośmielił się podnieść głowy.

— Nie pytam się poto abyście wskazali, kto to zrobił, ale dla waszego dobra, żeby sprawa nie poszła wyżej, bo wtedy będzie źle.

Strzyżewski zerwał się z miejsca i, czerwony z oburzenia, oświadczył z gwałtowną bezczelnością:

— Proszę księdza katechety, nikt z nas nie mógł zdjąć portretu Najjaśniejszego Pana, bo kiedyśmy przyszli do klasy, już starego nie było. Jestem przekonany, że gdyby się wśród nas znajdował przestępca, toby się przyznał. Ksiądz katecheta jest dla nas taki dobry,

że sprawa nie poszłaby dalej. Ale, proszę księdza katechety, cesarza nie było od rana.

— Może który z Żydów — chytrze rzucił ksiądz wędkę.

— Ale! — żadenby się nie odważył, proszę księdza! — demagogicznie odparł Strzyżewski, wywołując śmiech całej klasy.

Ksiądz westchnął:—Śmiejcie się, chłopcy, śmiejcie. Oby się to tylko nie skończyło smutnie!

Zaraz po lekcji czaty stanęły u drzwi. Strzyżewski wyjął cesarza z prowizorycznej trumny, ramę pokruszył na kawałeczki, fotografię podarł w strzępy. Każdy z kolegów musiał wziąć część tego *corpus delicti*. Jeden tylko Kowalik chciał uniknąć odpowiedzialności, ale Strzyżewski zagroził mu wyłączeniem go ze społeczności, jako też namacalnym porachunkiem, co opornego przeraziło ostatecznie. W ten sposób cesarz zniknął na amen. Podczas „wielkiej pauzy“ zjawił się w klasie sam pan dyrektor, zwany Milczkiem, o twarzy lisa i mysich wąsach, nakazał rewizję, ale żadnych śladów zbrodni nie wykryto.

Zdziś niecierpliwie czekał końca lekcyj. Strzyżewski z taką szybkością zamienił słowa jego w czyn, z jaką piorun wali po błyskawicy. Dlatego Zdziś w pierwszej chwili zdębiał i dopiero wściekły ryk Strzyżewskiego: „tchórze“ ocucił go i porwał do działania. Podczas lekcyj podziwiał i rozpamiętywał odwagę, przytomność umysłu i heroiczne zuchwalstwo Strzyżewskiego, a na pauzach toczył w jego obronie namiętne dyskusje, stając przy nim bez zastrzeżeń.

Na ostatniej godzinie zredagował nawet i puścił w ruch z sakramentalnem: „po przeczytaniu podaj dalej“ manifest do kolegów, w którym sławił „bohaterski czyn“ Strzyżewskiego, wykazując, że jego śmiałe wystąpienie wobec księdza ocali klasę, jeżeli żaden z kolegów „nie złamie podczas śledztwa pieczęci milczenia“.

Ścisłe przymierze Zdzisia ze Stachem Strzyżewskim zadecydowało o postawie całej klasy. Lękliwi i „kujony“ podwinęli ogon w obliczu duumviratu. Zdziś płonął żądzą porozumienia się ze Stachem i, zapomniawszy o obiedzie, proponował mu przechadzkę w pola.

Z uwielbieniem wpatrywał się w jego energiczną twarz i w oczy chłodne albo miotające iskry. Imponował mu swą mocną, zwięzłą budową ciała, krakiem stanowczym i namiętym gestem, przypominającym rozmach topora. Jego sposób mówienia wybuchowy i gwałtowny był niby pęd kamienia wgórach, który raz potracony leci naosłep. Jakiż on był piękny, gdy bronił klasy wobec księdza! Poderwał w górę swój sępi profil, oczy bryzgały ogniem, głos był twardy, ostry, siekący, a krew nabiegła mu do policzków, wypełniając żyły na szyi i czole.

A teraz na polu był zgola inny. W czasie tej pierwszej rozmowy poufnej okazywał wobec Zdzisia subtelna miękkość i przychylność pełną uprzejmości. Zdziś wprowadzał go przedewszystkiem w zwyczaje i tajemnice szkoły, charakteryzując dyrektora jako oswojonego lisa, opowiadając anegdotki o cnotce—księdzu, słodkim jak cukierek, ale niestrawnym jak zakalec,

a Strzyżewski parsknął śmiechem i wołał: — pęknię, jak Boga Kocham! Potem rozmowa zesłała na kolegów, aż wreszcie Zdziś z drżeniem serca zagadnął Strzyżewskiego w kwestji powstania.

Strzyżewski stanął, jak wryty, i zamilkł uroczyście. Twarz mu pociemniała. Po chwili ruszyli z miejsca, wciąż zatopieni w milczeniu. Ziemia, owiana sinym błękitem, zdała się ugiąć pod ciężarem myśli. Naraz Strzyżewski, właściwym sobie ruchem zerwał głowę do góry, i oświadczył: — Zaprzysięgłem tajemnicę i dlatego dzisiaj nie mogę godnie odpowiedzieć na twoje zapytanie, ale za parę dni dowiesz się o wszystkim.

Mocno potrząsnął ręką Zdzisia i ucałował się z nim z namaszczeniem.

Zdziś znalazł przyjaciela, i od tej chwili ogarnęła go ekstaza. Opór, jaki dotąd stawiała kamienna ściana rzeczywistości, jął ustępować. Zdawało mu się, że buja w powietrzu z tem uczuciem błogiej szczęśliwości, jaka czasem nawiedzała go we śnie. W rękach, nogach, w piersiach miał taką lekkość i swobodę, jak nasienie pierzaste, płynące w błękitnym kryształ powietrza. Niejedna chwila w domu nasuwała mu jeszcze skojarzenia czarne i jęczące obrazy, ale teraz miał już schronę, gdzie mógł się przytulić: — pannę Adelę i Stacha. Łowił każdą sposobność, aby się wyrwać do swego Stacha, który mieszkał sam. Sam! Nikt nie wdzierał się w porządek jego życia, nikt nie wisiał nad nim, jak zmora. Udając się do przyjaciela, niósł w piersiach tęskne, szczęsne, piekące uczucie nadziei i zwątpienia: — a nuż go nie zasta-

nie? — a może to złudzenie? — może Stach nie kocha go? — Bo on kochał go, rozmyślał o nim, ważył każde jego słowo i każdy gest, rozmyślał nad pięknoscią jego postaci i rysów twarzy, rozjaśniał się na samo wspomnienie jego śmiechu, jakby rozpryskujące go się złotemi opiłkami. Strzyżewski miał w wyobraźni Zdzisia coś napoleońskiego. Z nim razem przewrócą świat do góry nogami i będą na nim jechać, jak na osiodłanym smoku!

Wiedli z sobą rozmowy nieskończone, w których zostały omówione i przenicowane wszelkie kwestje i problematy tego świata od fundamentów aż do szczytu. Zdzisia zaciekawiało dotychczasowe życie przyjaciela aż do szczegółów. Pragnął je poznać i zgruntować do samych korzeni. Niemniej nie mógł pozbyć się tego pierwszego wrażenia, że ten Stach zjawiał się „skądś“, „odrazu“, „niewiadomo jak i kiedy“, tak samo nagle, jak ów rycerz błękitny i jak panna Adela.

Ona stanowiła jakby pierwszy stały punkt, na którym, niby na haku, zawiązywał linkę, by się unieść ponad rzeczywistość, ale dziwnie prędko punkt ten przesunął się, dając miejsce wyłącznie przyjaźni. A stało się to w następujący sposób. Korespondencja między nim i panną Adelą odbywała się za pośrednictwem pana tercjana, który zresztą niczego się nie domyślał. Wśród stosów listów, przynoszonych z poczty, zjawiała się co jakiś czas niebieska koperta, którą Zdziś witał wybuchem tłumionego uniesienia, porywał i zazwyczaj podczas lekcji otwierał, by w ciszy oddać się lekturze wyznań, pisanych charakterem równusieńkim, czyściut-

kim, harmonijnym. Raz jednak, w czasie religji, tak się zaczytał, że nie dosłyszał kocich kroków ks. Wąsika, i niebieska koperta dostała się w ręce zgoła nieodpowiednie. Oczekiwał stąd jak najprzykrzejszych konsekwencyj, ale jakoś nic. Przeszło, jak deszczyk majowy. Ale od tego czasu panna przestała pisać, i nigdy się już nie dowiedział z jakiego powodu. Jenow parę tygodni potem, ojciec napomknął w tonie coprawda surowym, ale bądź co bądź powściągliwym, że babcia — owa dobra babunia — „zbeształa“ w liście Zdzisia i jakąś Delcię za romanse.

— Żebyś mi więcej nie pisał, bo to na nic się nie zda. Jeszcze czas na romanse. Szkoda marek — zakończył ojciec filipikę i tyle.

Nieraz jeszcze z żałością wspominał aksamitne oczy, ale jego całą uwagę porwały tymczasem wielkie i nadzwyczajne sprawy.

Pewnego mianowicie dnia, w chwili, gdy sam jeden znalazł się w klasie, podszedł do niego Stach, nachylił się nad uchem i rzekł wyraźnie, ale cicho:

— Jutro! Siódma wieczorem. U mnie. Konspiracja! Słowo!

Zdziś drgnął: — Jutro?

— O siódmej! — Słowo? — powtórzył Stach i ścisnął rękę przyjaciela.

— Słowo! — szepnął Zdziś i chciał rozpytywać, lecz Stach przyłożył palec do ust, spojrzał ostro, przenikliwie i prędkim krokiem opuścił klasę.

Zdzisia ogarnęła uroczysta zaduma. Co będzie jutro, nie wiedział, ani nie umiał sobie wyobrazić, ale

przeczuwał, że się przed nim otwiera droga wzniosła, biegnąca nad przepaściami i pociągająca, jak przepaść. To też przysposabiał się w sobie i skupiał w samotności, nie prowadząc żadnych rozmów i dysput i pieszcząc tajemnicę nieznaną nikomu, oprócz Stacha, która go wynosiła wysoko ponad innych ludzi, żyjących nędznem życiem szarego dnia. Rzeczą dotyczyła powstania, — wątpliwości co do tego nie było. Teraz wspominał ów pierwszy tajemniczy „znak“, który go wezwał pod Zamek i dopiero po tylu latach zrozumiał jego pochodzenie. Nie był to głos trąby, ale poprostu skrzywienie żórawia przy studni szkolnej, które on wziął za hasło. Uśmiechnął się i zawstydził. Ale dzisiaj! Dzisiaj to już nie halucynacja. Stach przecie powiedział: „o siódmej“. Wzruszenie chwyciło go za gardło i gorącą falą spłynęło w piersi. Gorzał w sobie i drżał, i doczekać się nie mógł owej godziny, ale Stach, zegnając się po lekcjach, powiedział przecie: — „Pamiętaj! Punktualność jest pierwszym obowiązkiem Polaka“.

Serce biło mu trwożnie, gdy wchodził do pokoju przyjaciela. Stach zamknął za nim drzwi na klucz i jeszcze raz zażądał słowa honoru, poczem dopiero oświadczył, że istnieje stowarzyszenie, stawiające sobie za cel walkę o niepodległość Polski. Stowarzyszenie jest tajne i dlatego nie udzieli mu żadnych szczegółów, chyba, że Zdziś zgłosi gotowość przystąpienia do konspiracji i złoży przysięgę na krucyfiks. Zdziś przyjął propozycję z żarliwością, na co mu przyjaciel odpowiedział, że przysięgę weźmie od niego jeszcze dzisiaj „brat starszy“, poczem zaczął mu opowiadać, że w mie-

ście i w całej Polsce istnieje już mnóstwo kół świetnie zakonspirowanych. Naraz dało się słyszeć trzykrotnie ciche stuknięcie. We drzwiach stanął mężczyzna w szerokiej pelerynie i w ogromnym, czarnym kapeluszu z kryzami. Zdzisia uderzyła blada, matowa cera gościa, piękna, wymuskana broda i włosy starannie uczesane, falą spływające na tył głowy. Obcy w milczeniu przywitał się ze Stachem i zdjął pelerynę. Był ubrany w polską czamare, sięgającą mu po kolana, i długie buty z cholewami, olśniewająco błyszczącymi.

Szepnął coś do ucha Stachowi, poczem wyjął z kieszeni mały czarny krucyfiks, postawił go na stole, bez przedstawiania się uściśnął rękę Zdzisiowi i usiadł z boku, aby nowicjusz nie mógł go obserwować. Stach kazał Zdzisiowi oprzeć palce o krucyfiks i powtarzać przysięgę na wierność „stowarzyszeniu i rozdartej ojczyźnie“. Zdziś mocnym głosem powtórzył przysięgę, poczem nieznajomy przemówił doń głosem patetycznym, wzywając najmłodszego konspiratora do „oddania się sprawie“, a zakończył tem, że szczegóły organizacji, jej zadania i program wyjaśni mu brat Ksawery. Zaraz potem wstał i w milczeniu opuścił pokój.

Na pytanie Zdzisia, kiedy zobaczy brata Ksawerego, Stach parsknął śmiechem:

— Brat Ksawery, to ja.

— Ty?

— Tak jest. Ty również musisz sobie obrać imię konspiracyjne.

Następnie pokazał coś w rodzaju statutu „Młodej Polski“, jak nazywał się najniższy stopień organizacji. Podkreślało się tam ze szczególnym naciskiem potrzebę kształcenia się „w historii męczeństwa Polski“, rozwijania charakteru, a zwłaszcza budzenia „cywilnej odwagi“ i bezwzględного posłuszeństwa „naczelnikowi“ koła.

Następnie chłopcy przystąpili do omawiania najbliższego zadania, jakim było zorganizowanie pierwszej „piątki“, której naczelnikiem miał zostać Stach. On miał być również łącznikiem między „naczelnikami“ przyszłych „piątek“ a wyższem kołem, które dla ogółu musi na zawsze zostać osłonięte tajemnicą. Zastanawiali się nad tem, kogo z kolegów wciągną do konspiracji i narady nad tem zajęły im cały wieczór.

Strzyżewski, impetyk, z punktu odrzucał kandydatów Zdzisia, ale wysłuchawszy jego argumentów, tak samo szybko ustępował. To też wkrótce ułożyli listę przyszłych konspiratorów. Działać miał Zdziś jako dobrze znany kolegom, a w razie zgody proponowanych członków pierwsze zebranie koła miało się odbyć za tydzień. Ale Zdzisia najbardziej niepokoiła możliwość zdrady ze strony któregokolwiek z omówionych kandydatów. Jak się do tego zabrać, żeby nie powiedzieć za dużo, albo za mało? Stach dał mu wobec tego lekcję metod dyplomatycznych:

— Najpierw zacznij od Adama i Ewy, potem wtrąć coś o 63 roku i niby nic. Słuchaj dobrze, co on na to. Potem jedź dalej, że teraz inaczej, bo chłopci rozumieją już, co to Polska, tylko austriackie „szwarc-

gelbery“ ogonem zamiatają przed Francem i chcą stać przy tronie, jak fagasy. Rozumiesz?

— No, pewnie.

— Jeżeli ci taki pętaś i na to będzie milczał, to go kiń, bo to świnia, i niech idzie na złamanie karku.

— Ale, Stachu, on może nic nie mówić, a swoją drogą może myśleć szlachetnie. — Jesteś pewny tego, że nigdy nie wydałeś mylnej opinii?

— Ja? Niech mi tylko powie coś naprzykład o „chamach“, a już wiem, że to pędrak, i dalejże mu byka w nos.

— Ale czy zawsze wiesz i w każdej sprawie, jak się zachować?

— Ja? — zawsze. Tak albo siak. Szczeniak czy fajny chłop. Dawaj mi go tylko, ja go wezmę na muszkę i pafl Nigdy nie spudłuję — ha! ha! ha! Co tu dużo głądzić. W lufę go, albo „daj łapę, brachu“!

— No dobrze, a jeżeli on jeszcze rozmyśla, a ty go odrazu w kark...?

— A to niech za dużo nie myśli. Czy nam potrzebne było długie myślenie? Patrę, biorę na oko i widzę: siedzi sobie takie chucherko cichutko i obserwuje, mało gada, albo uśmiecha się. Spojrzałem i nic. Dużo trzeba było myśleć, gadać, rozbierać, żebyśmy się zwachali, co? Odrazu przystawiłeś się do mnie i gadasz: — Polska — powstanie — łotry — naród — Austriaków w mordę — Moskali za pysk — Prusaka w ogon.

— Ja to co innego, bo ja dawno już o tem marzyłem.

— A on to, dlaczego nie myślał, nochał zatabaczony? Jeżeli nie myślał o tem jeszcze, kiedy koszulinę nosił w zębach, to potem nic już nie wymyśli, i jechał go sękl

— Ty to tak umiesz, ale ja —

— Nauczysz się. Pluń dobrze w garść i wygarnij, aż się kopytami nakryje. Co tu się tyle obełgiwać i tańczyć przed mliczakiem. A to czy raczej uważać się za Polaka, czy też, z przeproszeniem, woli Franca całować w podogonie. A całujże, łapserdaku, i szuruj stąd, bo jak nie pójdziesz sam, to ci kolaniem pomogę, żebyś prędzej galopował — unosił się Strzyżewski, mierzając kolaniem w niewidzialnego łapserdaka.

— Stasiu! — przecie sam tłumaczyłeś mi przed chwilą, żeby objeżdżać zdaleka.

— Ha! ha! ha! — objeżdżać! — Naturalnie, że zdaleka objeżdżać, żeby ci taki mikrus bigosu nie nawarzył i nie poszedł się wypowiadać dyrkowi — dunderował Stach, bogato ilustrując gestem swą mowę. — Złamie ci się taki przed dyrkiem we dwoje i powie: — Prosz pana dyrektora, ten Kwastowski powiada, żeby najjaśniejszego pana powiesić na latarni. — A dyrek uśmiechnie się miłosiernie i zapyta słodko: — Dobrze, serdeczko, że masz zaufanie do swego wychowawcy, który jest za ciebie odpowiedzialny wobec Boga i tronu. Ale co ci jeszcze mówił Kwastowski? Nie bój się, wyznaj wszystko, jak na spowiedzi. Ten Kwastowski to dobry chłopiec, tylko ma przewrócone w głowie. Powinieneś mi wszystko opowiedzieć dla jego dobra. A może bluźnił świętokradzko? A może też coś i ten Strzyżewski, bo on ma brzydkie oczy. Śpiewaj, baran-

ku. — I baranek, spuściwszy oczka jak panienka, wyśpiewa mu wszystko, a my zostaniemy dyrektorami świeżego powietrza — ha! ha! ha!

— No! — ojciecby mi dał — szepnął Zdziś.

— Gwiżdż na to. Po pierwsze, baranek nic jeszcze nie wyśpiewał, bo nic nie wie, a gdyby wyśpiewał, to mu gębę spiorę, że go rodzona matka nie pozna. Po drugie, kiedy go już spiorę tak, że mu wszystkie zęby wylecą, oprócz jednego zęba mądrości, bo go nigdy nie miał i nie będzie miał, biorę niejakiego Zdzisia pod rękę, nos do góry i, śpiewając: „Jeszcze Polska...” kropimy se w świat...

— W świat! — w świat! — przywtórzył Zdziś namiętnie.

— A w świat, żebyś wiedział, w świat! Najpierw do mojego opiekuna, stryja pod Tarnowem, który sam był w powstaniu. Stanę przed nim i powiem: — Ich melde gehorsam, Herr stryj, że mnie znów pomidor z dyrkiem wystali na kapustę, a co gorsza, razem ze mną przepędzili tego tu mojego najdroższego przyjaciela, tęgiego kawalera, demokratę, bardzo uczonego w piśmie i prześladowanego za tę uczoność nawet przez własnego rodziciela. Herr stryju, albo weźmiesz nas razem do siebie, boś właściciel dóbr i masz pieśniacha jak lodu, a nie, to walimy do Ameryki tworzyć armię polską. Stryju, wybieraj!

— A skąd weźmiemy na bilet? — zagadnął Zdziś.

— Furda! Jeżeliby nas wszystko już zawiodło, to da organizacja. Marcin mówił, że, w razie wsypy, to oni już... nie bój się!

— Jaki Marcin?

— No ten, co tu był. Jaki ty jesteś...!

— No to jedziemy, Stachu, jedziemy — ucieszył się Zdziś.

— Czekaj! — nie jedź tak prędko. Jeszcze nie nie zrobione. Aj Zdziś! Zdziś! — cóżes ty już zapomniał?

Zdziś zawstydział się.

— Wcale nie zapomniałem, tylko wydało mi się, że już jedziemy. Białe żagle, ogromne jak wieże, wydymają się nad okrętem. Morze błękitne, a na pokładzie ja z tobą. Płyniemy w świat. Tylko morze błękitne i my.

— Zdziś, a twoja piątka? — Strzyżewski spojrzał surowo.

— Jutro zaczynam, już się nie bój. Objadę ich zdaleka. Pierwszy Piątek, potem Cynara, Kączkowski, Warecki. Ze mną to już pięciu. Najgorzej będzie ze składkami.

— Składki muszą być, bo są potrzebne na... — Strzyżewski ugryzł się w język. — A zresztą — machnął ręką — tobie, jako naczelnikowi drugiego kołgę powiedzieć. Zakłada się tajne pismo, rozumiesz drukowana gazeta. Rozumiesz? Zasypimy całe miasto Wsadzimy w puszki do listów wszystkim belfrom. To ci będzie dopiero hecal

Zdziś rzucił się do pracy konspiracyjnej naoslep, całym swem jestestwem. Przebywał wprawdzie w domu i szkole, ale żył w świecie zupełnie innym, tak niepodobnym do rzeczywistości dotychczasowej, jak

sen niepodobny jest do życia realnego. Z energją, która dla niego samego była niespodzianką, zabrał się natychmiast do zorganizowania pierwszego koła. Rozmowy z kolegami prowadził tak umiejętnie, słowom umiał nadać blask tak porywający i akcent tak szczery, że pierwsze koło stanęło już w trzy dni, a pierwsze zebranie odbyło się wkrótce potem w pokoju Strzyżewskiego. Najpierw przemówił Zdziś. Wpatrzony w krucyfiks, mówił o ojczyźnie w duchu mickiewiczowskim z takim zapalem i wiarą w sprawę, że gdy skończył, uroczyste milczenie trwało przez długi czas. Potem Stach wziął go w ramiona i rzekł:

— Gdyby nie rozkaz władzy wyższej, mianujący mnie naczelnikiem koła, ty powinienbyś je wziąć.— Bracia, do przysięgi!

Po ślubowaniu, Stach wydał rozkaz jednemu z członków, aby przygotował na najbliższe zebranie referat o walkach o niepodległość aż do r. 1831-go, i na tem zakończył zebranie.

Zdziś przez całe miesiące mozolił się nad wzmocnieniem i pogłębieniem pracy w kołach, pragnąc członków zespolić i związać ideą. W tym celu zabrał się do studjowania pism, broszur, rozprawek historycznych i społecznych, dostarczanych mu przez Strzyżewskiego. Wchłaniał je chciwie, znajdując w nich argumenty myślowe dla poglądów, tkwiących już w nim dawno. Wyrabiał sobie i formułował zasady nowoczesne, naówczas uchodzące za światoburcze, w istocie zaś tak niewinne, jak postulat równości wobec prawa, powszechnej oświaty, powszechnego prawa wyborczego i t. p.

a nad niemi wisiał, niby słońce, prześwietlające cały gmach, dogmat niepodległości, nietyle wymagający uzasadnienia, ile otuchy.

Poza tą pracą i niezachwianą przyjaźnią dla Stacha zapomniał o całym świecie. Czytał i biegał na zebrania, natchnionym patosem wyjaśniając swym podwładnym prawdy co dopiero wyczytane. Dla szkoły nic nie robił, trzymając się na powierzchni rozpędem, jakiego nabrał w latach poprzednich. Teraz podczas pauzy przygotowywał to, czemu dawniej poświęcał całe godziny pracy domowej.

Naraz został z tej ekstatycznej linii pierwszych czynów społecznych wytracony w sposób prawie bezwiedny. Z odczytania w bieżącej literaturze społeczno-politycznej, oraz dzięki wpływom, jakie nań działały z „wyższych kół“ organizacji, całem sercem przylgnał do partyj chłopskich. A właśnie przyszły wybory do parlamentu. Zdziś wziął rzecz na gorąco. Z kwestją zwycięstwa stronnictwa chłopskiego związał bardzo daleko idące nadzieje, a z tupetu, z jakim pisali publicyści tego obozu, doszedł do wniosku, że zwycięstwo ich jest niechybne. Tymczasem zwycięstwo to okazało się w praktyce wcale umiarkowane. Byłby przeboleł klęskę, ale zastanowiło go i wprowadziło wprost w osłupienie, że publicystom wcale miła nie zrzędała. Owszem, huczeli oni i teraz, że odnieśli olbrzymie zwycięstwo. Chłopak czegoś tu nie pojmował, ale jego wiara w siłę zbawczą ulubionych stronnictw znacznie osłabła. Wmawiał wprawdzie w siebie, że nic się nie stało znowu takiego, ale najwidoczniej stracił polot w swych prze-

mówieniach na kółkach i znowu zaczął popadać w jakieś smutne zadumy i zwątpienia... Znow zapuszczał się w siebie.

XI.

W I R Y.

Zniechęcenie, gość dawno niewidziany, znowu zajrzało w życie Zdzisia, a poczucie osamotnienia i pustki nękało go coraz częściej. Usiłował zagłuszyć się pracą, lecz uparte hydry nie dawały się zatłuc. Nawet sen nie sprowadzał ukojenia. Bredziły mu się mary jakoweś, zazwyczaj w postaci kobiecej, a pewnej nocy przyśniła mu się panna Adela. Słodka błogość przejęła wzburzonego chłopaka. Przytulił głowę do piersi dziewczęcych i zbudził się nagle, płonąc i gorejąc, jakby wróg jakiś podpalił mu z ukrycia chatę jego duszy.

Rozwarła się przed nim, jak przepaść, dziedzina wzruszeń nieznanych, poniżających i znieważających, chociaż rozkosznych. Ale wstyd i pogarda dla siebie nie unicestwiały pragnienia, które rzucało się nań, oślepiając oczy i dusząc myśl ostrzegawczą. Pragnienie było silniejsze od myśli. Kiedy nadlatywał wichur ognisty, dziki, niosący zamęt i szal, wtedy myśl bezsilna i pokorna umykała przed nim, jak pies przed władcą, który potrząsa rzemieniem. Zdziś przymykał oczy i dawał trątować po sobie tabunom dziwożon, zwidom lubieżnym, obezwładniony, bezwolny,

uległy. A kiedy wichur, wyssawszy nasienie żywota, przeminął, odmykały się oczy chłopaka blade, pozbawione blasku i ochoty do życia. Zrywał się pełen wstydu i przerażenia, że stał się pastwą przemocy, a myśl podła i tchórzliwa wychylała się z ukrycia, nagrawając się i szydząc z jego bezwoli i upadku.

Tak to rozpoczął się w dojrzewającym młodzieńcu dialog — walka dwóch w jednym. — Zwyciężał naprzemian jeden lub drugi, lecz żaden nie odniósł triumfu walnego. Gdy zwyciężał pierwszy, Zdziś przyzywał swe dziwożony, oddawał się wichrom na pastwę, płonął czarnym płomieniem i spalał się. Albo biegł na ulice gorejącem okiem chłonać piękno kształtów niewieścich. Albo marzył nawrotem o swej dawnej królownie, tylko że nie starczyły mu już wejrzenia jej, ani uleganie jej kaprysom, ani ciche westchnienia.

Ale gdy wstawał drugi, ciało i duszę oblepiały wówczas jakby lepkie, brudne szmaty, przez które słyszeć było gorzki płacz zhańbionego młodzieńca, wygnanego z świetlistych dziedzin żywota nieskazitelnego. Wtedy Zdziś kurczowo chwycił się pracy, działał, organizował, czytał, a wieczory spędzał ze Strzyżewskim na rozmowach o honorze, sile, bojowaniu. Ale Stach obracał się w pojęciach całkiem określonych. Myśl jego nie wybiegała poza wyraźne kontury spraw, stosunków i ludzi znanych, a że to koło było jeszcze nader wąskie, więc niebardzo orjentował się w labiryntach swego przyjaciela.

To też ciężki dialog toczył się w samotnem sercu chłopca.

Głęboko zaniepokojony, szukając ulgi i drogi, poszedł do spowiedzi. Otrzymana absolucja prześwieciła go nieznaniem mu dotąd uczuciem wyzwolenia. Wracając z kościoła, promieniał, błogosławił niebu i ziemi, czuł się spowinowacony z kwiatem i trawą, witał wszystkich spojrzeniem czystym, spokojnym i mądrym. Burze wewnętrzne i wściekłe wichry rozbudzonego ciała spłynęły w piwnice, a nad błękitnymi wodami unosił się na skrzydłach gołębicy Duch Święty. W duszy świeciło mu święto. Godził się z losem i rzeczywistością życia. Z pokorą pokutnika i nadzieją pomażanego łaską żył przez dni kilka w blaskach i kolorach kwiecistych. Uśmiechał się dobrotliwie i czynił dobrze, a w nocy spał błogo i zdrowo.

Aliści pewnego dnia powiał wiatr i zburzył spokój, czyniąc nieład w ubraniu pani, przechodzącej ulicą, i uwydatniając urzekający czar jej bioder. Żądze i pragnienia, przyczajone tylko w swych komyszach, wyśmignęły w górę, porażając mózg parzącymi maczkami. Zakłębiło się w duszy, zmąciła się świadomość, a z wirów wyobraźni uniósł się hufiec dziwożon o różowych piersiach.

Zdziś powziął postanowienie, że dzisiaj...

Nieraz już o zmierzchu podkładał się pod ten domek parterowy, gdzie mieszkały dziwożony. Raz nawet ujrzał w okienku jedną z nich i upoił się widzeniem jej piersi, zaledwie przysłoniętych. Obraz ten wpalił się w jego mózg, jak błyskawica w noc czarną. Ten domek tkwił w jego pamięci i często, nieprzyzywany nawet, przesuwiał się po jej tarczy. Wahał się

i wstydził, lecz straszliwej sile jego przyciągania oprzeć się nie mógł. Dzisiaj postanowił ostatecznie i od tej chwili kipiał i szumiał. Przelatywał przezeń dreszcz ognisty, albo odurzał i sennie kołysał ostry zapach, płynący od tego domku. Ten dzień nie miał się nigdy skończyć. Ale gdy zmierzch jął nieznacznie zakradać się w kąty pokoju, w serce Zdzisia wślizgnął się lęk i wstyd, jakby przed kimś obcym miał otworzyć duszę i ukazać wszystkie jej najtajniejsze ruchy. Ale postanowienie zapadło.

Przemykał się przez miasto, jak złoczyńca, i, już stanąwszy u celu drogi, jeszczeby się może cofnął, gdyby nie kroki jakiegoś przechodnia. Wsmyknął się do sionki i wziął za klamkę. Na otomance siedziała kobieta. Nie widział jej twarzy, ubioru, nie zauważył i nie zapamiętał niczego. Był tak zakłopotany, że nie wiedział, jak się odezwać. Zdawało mu się tylko, że w oczach kobiety mignęło jakby zdziwienie czy współczucie.

Zapytała: — Ty, co — pierwszy raz?

— Tak.

— A masz pieniądze?

Wręczył jej monetę.

W dziesięć minut potem wychodził z uczuciem człowieka, którego oszukano. Był spokojny i smutny. Nie stało się nic niezwykłego. Był już teraz taki sam, jak wszyscy „oni“ — płaski, nędzny, nijaki. Gdzież uleciały marzenia strzeliste? Gdzie wichry wściekłe, dzikie, szalone? Cóż jest prawdą? Owe sny namiętne — czy ten domek i ona? Ach! — wszystko

to obojętne, jak ta płyta chodnika, tylekroć stratomana stopą niezliczonych tysięcy. On również i jego życie jest obojętne.

Nuda. Ona jedyna jest prawdziwa.

Nie — postokroć nie!

Ale w takim razie, gdzież jest to, co jest naprawdę? Tam za łąką, za tą łąką bernardyńską, gdzie uciekał Sławek? Tam, skąd nadjechał ów rycerz błękitny? W teatrze?

Prawda! — Jakże mógł zapomnieć o przyjacielu? Z nerwowym pośpiechem ruszył do Stacha, ale nie zastał go w domu. Pusto, oziębło, nudno. Niemasz tu żadnego szczęścia. Mizerne życie, brzydota, a potem dół. Śmierć. Była tu i tam, w tem mieszkaniu rzęsiście oświetlonem i w tramwaju, wszędzie, i w nim także. W nim także. To okropne. Wszyscy umrą, absolutnie wszyscy, bez wyjątku. A więc i on! Oto prawda niezwalczona, pewnik doskonały, twardy i niezachwiany, jak nic innego na całym świecie.

A Bóg?

Przed paru dniami przeczytał broszurę o pochodzeniu człowieka, której autor popularnie przedstawiał teorię descendencji. Była ona dla chłopca objawieniem. Doznał wrażenia, że się w nim rozluźniają więzy, że jego myśl wyzwala się od krępujących ją kajdan. Rozwarły się przed nim nowe, ogromne horyzonty, a świat, dotąd stężały w dogmacie, absolutystycznie rozstrzygającym zasadnicze zagadnienia i pytania, nabrał powietrza, zawrzał życiem i swobodą. To, co było dotąd pewne i jasne, przeobraziło się

w jeden kosmiczny, oszałamiający pytajnik. Natychmiast sygnalizował przewrót Stachowi, dla którego jednak sprawa ta nie była w tej chwili najważniejsza.

Zdziś wtedy był szczęśliwy ze swego odkrycia, ale dopiero dzisiaj ujrzał drugą, tragiczną stronę metafizycznej wolności. Lecz jeśli Bóg już nie istnieje, to świat ten jest straszną igraszką, a wszelka nadzieja złudą.

Przytłoczony takim rezultatem rozumowania, przeżył kilka dni ciężkich i głuchych, jak dzień pogrzebu matki.

Ale życie rwało dokądś, w kierunku nieznanym przez nikogo, a Zdziś już otarł się o jego prąd i musiał płynąć. Nie miał czasu, jak dawniej, wbijać się w kąt i stamtąd rozpalonemi albo przygasłemi oczami wpatrywać się w nieodróżniczkowane morze zjawisk. Teraz już rozróżniał kształty otoczenia i umiał siebie wydzielić z pośród gmatwaniny ludzkiej. Zdawał sobie sprawę, że jest odmienny od wszystkich w rodzie, z którą łączyły go tylko konieczności życiowe.

Jeden tylko Sławek zajmował jego myśl i wyobraźnię. Brat, wydebiwszy od ojca zgodę na podjęcie drobnego spadku, jaki mu się należał po matce, wyjechał na studia do Paryża. Rokowano mu wielką karierę jako przyszłemu muzykowi. Wróciwszy po roku, dał koncert, który zwrócił powszechną uwagę na młodego skrzypka. Pisano i mówiono o nim przez kilka dni. Ojciec był z niego dumny, chociaż nie pokazywał tego po sobie, a Zdziś pożerał wzrokiem eleganta, w jakiego Sławek się przeobraził. Nie tak daw-

no jeszcze chodził byle jak odziany, w butach obłoconych, w paltociku wyszarzanym, często podpity, drwił siarczyście z filistrów i łyków, naigrawał się z jaśnie państwa z trocinami w papuzich łebkach. W jaki sposób z tej poczwarki wylął się odrazu ten motyl królewski, panicz pewny siebie, zgrabny, opromieniony sławą, tryskający swobodą, z manierami „nadczłowieka“, przekonanego, że, gdyby miał dość pieniędzy, podbiłby świat w przeciągu jednego roku?

Zdziś dawno pragnął zetknąć się z bratem na osobności, to też gdy Sławek zaprosił go do kawiarni, przyjął zaproszenie radośnie. Sławek oparł się wygodnie o poręcz kanapy i opowiadał z miną wielkopańską o tym wielkim świecie, do którego jego brat młodszy tęsknił.

— Paryż, mój drogi, to miasto jedyne w świecie, gdzie ludzie umieją żyć i bawić się. Na tem polega „wesoła mądrość“, która jest za mądra dla ciebie, mój kochany. U nas ludzie mądrzejsi są posępni, a z głupcami niema co gadać. Tam ludzie żyją szybko, ale pięknie, a przedewszystkiem nie nudzą ani siebie ani innych. Nasz ojciec, na przykład, ani sam żyć nie umie, ani innym żyć nie pozwala. Człowiek wcale niegłupi, chociaż nie kończył szkół, ale nam wszystkim zatruł życie swym despotyzmem i zmarnował fizycznie głodzeniem przez całe lata. Biedacy nie powinni mieć dzieci. A ty czem się zajmujesz?

Zdziś zarumienił się.

— Nie czerwień się, jak podlotek, i gadaj otwarcie. W tobie tkwi coś lepszego, niż u tamtej hołoty.

Zdziś, ośmielony taką pochwałą, rzekł:

— Pracuję społecznie.

— Ha! ha! ha! — społecznie? A cóż ciebie obchodzi to stado baranów? Chcesz je zbawić? Od czego i do czego?

— Nie wszyscy barany...

— Wszyscy, mój społeczniku, wszyscy. Gdy poznasz życie, przekonasz się, że wszyscy. Jest nas w Polsce ogółem kilkunastu artystów, poza tem stado, filistry, męczybuły, wydrwigrosze, mydlarze i ludek ciemny, głupi, jak tabaka w rogu, który swych zbawicieli najchętniej okłada kijem. I ja także próbowałem kiedyś bawić się w uświadamianie ludu. Wypędzili mnie z tego powodu ze szkoły, za co zresztą jestem tylko wdzięczny naszym światłodawcom. A czy sam już jesteś zbawiony? Bo inaczej oni pójdą do nieba, a ty na wieczne potępienie. Cóż ty umiesz? Umiesz przemawiać publicznie?

— Umiem.

— Bez przygotowania? — improwizować?

— Raz przemawiałem całą godzinę.

— I słuchacze nie chrapnęli?

— Nie.

— Musieli być uczeni w piśmie, jak ty. No, nie bierz mi za złe, chłopcze, że sobie trochę kpinkuję. Co ja zresztą będę z tobą filozofował! Ile razy zbierze ci się na mędrkowanie, stań przed lustrem i rzeknij: — „Panie Boże, pocoś stworzył taką małpę, jak ja“? — Tak, mój drogi. W gruncie wszystko to nudne. Sądzisz, że to naprzykład przyjemność rzępolić na

skrzypcach przez cztery godziny dziennie? I poco? Żeby cię potem słuchało przez godzinę paruset durniów, którzy się na tem tyle znają, co ty na ostrygach? Widzę, że jesteś idealistą, a to zawód najmniej popłatny. Będiesz chyba, jak Diogenes, mieszkał w beczce, a to w naszym klimacie grozi reumatyzmem. Cóż ty nic nie gadasz? Myślisz? — Myśl, myśl, ja się tymczasem napiję wina. A ty? — pijesz? — ho! ho! A jak tam z monetą? Idealiści nie myślą o pieniądzach, póki się nie ożenią. No, no, nie marszcz brwi, bo chociaż nie wszystko, co mówię, podobne jest do złotego piasku, ale szczypta mądrości życiowej jest w tem, mój kochany. Możesz ją wygrzebać, jeśli masz ochotę, a jeśli nie masz ochoty, to się powieś. No, bądź zdrow. Posiedź sobie, jeśli chcesz, w tym tinglu, bo ja muszę iść na „fif“ do najpiękniejszej kobiety w mieście. Nudne zajęcie. Piękne kobiety bywają interesujące, lecz w samotnej ustroni, nie na „fifie“. A ileż ty masz lat, zbawco?

— Siedemnasty.

— Ładny wiek, chociaż ekstra-ordynaryjnie młody. Bywajże zdrow, siedemnastolatku, a jeśli cię kiedy ścisną mydlarze, to się nie daj. Noblesse oblige, a tyś, bądź co bądź, szlachcic.

Taką niespodziewaną sentencją skończywszy, Sławek obrócił się na pięcie i opuścił kawiarnię.

Zdziś został sam. Dobrze mu się dumało wśród ścian, lśniących od luster, w tym salonie obszernym i cichym. Myśl tu nabierała wyrazistości i wyginała się w krągłe linje niby zwoje dymu.

Sardoniczny uśmiech brata, jego poza salonowca i wykwintnisia ubodły Zdzisia boleśnie. Czemu on tak kpi ze wszystkiego? — Zdziś czuł się zagrożony wewnętrznie. Strzały brata godziły aż w święte tabernaculum, gdzie były ukryte najczystsze wrażenia i najwznioślejsze zasady, skarby, bez których życie stałoby się szatańskim tańcem zła i cierpienia. Rój strzałek kłuł w serce, wsączając w nie gorzką obawę, nie o brata, który mu się wydawał olbrzymem, wciąż rosnącym w górę, lecz o siebie. Odczuwał wprawdzie względem Sławka jakiś żal nieuchwytny, podejrzewał go nieśmiało jakby o zdradę czegoś, rozmowa sprawiła mu zawód, nie nasyciła go (— ileż oczekiwał po tem sam na sam z bratem!—), ale był przeświadczony, że Sławek stoi mocno, swoje wie, chociaż Zdziś nie umiał odkryć fundamentów tej siły. Na niego działała ona deprymująco. Nie, Zdziś w żaden sposób nie potrafiłby tak zwysoka „plunąć“ na „stado baranów“. Widział w tem niesprawiedliwość i krzywdę, a nawet przeczuwał w takiej postawie wobec życia — fałsz. Ale Sławek! Sławek siebie nie oszukiwał. Nie! Owszem, brat, upajający się drwinami, wydał mu się mocarzem. Tylko tej skały, na której stał brat najstarszy, nie widział, i dlatego po raz pierwszy zmacił mu się obraz Sławka, pędzącego skokami tygrysa na ową łąkę...

Wypite wino i powietrze, przesycone dymem, odurzyło chłopca. Zwolna odpadały problematyczne dwuznaczniki brata i senne omamienie osnuwało myśli. Patrząc na siedzące zrzadka pary, wyo-

brażał sobie, że są to inne jakieś istoty, nieznanne mu zgoła i niepodobne do tych, z jakimi stykał się dotąd.

Właśnie rozchyliła się portjera i do salonu wpłynęła w towarzystwie dwóch panów dama wysoka, o włosach jasnych, puszystych, chmurą złocistą okalających pełną twarz cery perłowej i różowej. Zdjęła futrzaną pelerynkę i zajęła miejsce na kanapce pod lustrem. Zdziś, nie patrząc wprost, doskonale widział jednak w lustrze jej kształty dojrzałe, głowę bujną i twarz swobodną, błyszczącemi oczami chłonąca radość życia. Nieustannie zerkał w stronę lustra, jak złodziej. Widok wspaniałej kobiety zmienił całkowicie bieg jego rozmyślań. Wytrysnęły zeń pragnienia i sny niby ognie ukryte.

— Ach, zdobyć taką właśnie, czarującą, wypieszczoną, dojrzałą kobietę! Ona musi chyba mieszkać w pysznych pałacach. Jej kostjum, jej koronki, przez które przeświecają perły ciała — ileż tu piękna! Gdzież marzyć o takiej kobiecie jemu, biedakowi, który nic nie posiada. Takie damy muszą należeć chyba do mężczyzn niepospolitych. Gdyby został na przykład profesorem uniwersytetu, mógłby może znaleźć łaskę w tych oczach królewskich? Ale żeby zostać profesorem, trzeba pracować. Pracować dzień i noc, jak wówczas, kiedy obkuwał się „greki“, dążyć do kariery przez nieustanny, zaciekły wysiłek!

Obejrzał siebie i spłonął wstydem. Jakże on wygląda! Jak on ubrany! Obuwie pomarszczone i spękane, jak skóra zwiędłego jabłka. Ineksprymable zru-

działe i wyświechtane wydymają się w kolanach, jak balony. Bluza wyszarzała, a pod nią koszula z szarego, szorstkiego płótna, wytarta i dziurawa.

Z pewnością wzbudziłyby śmiech a może nawet grymas wstrętu u tej kobiety, gdyby wogóle raczyła nań spojrzeć. Niezgrabny, kołkowaty, śmieszny drągał.

Zawrzał gniewem. Ocknęły się w nim uczucia, o których istnieniu nic dotąd nie wiedział, których nie przeczuwał. Zjawiała się w nim żądza piękna dotykającego, dobrobytu świetnego i pachnącego, jak ten kwiat tropikalny, w postaci czarującej damy. Najazd tych uczuć znalazł go zupełnie bezbronnym. Poczuł się zepchnięty na najniższy szczebel życia, pod pokład, skąd zaledwie przez szparę dane mu było oglądać rozkosze, których nigdy nie posmakuje. Żądza piękna codziennego, realizującego się w stroju, mieszkaniu, umeblowaniu, w posiadaniu przedmiotów wytwornych i pięknych, zbudziła się w nim tak nagle i z taką gwałtowną, żywiołową siłą, jakgdyby była instynktem.

Pragnienie podsuwało mu obrazy szczęścia.

Oto pałac z różanego marmuru, o komnatach wielkich i cichych zakamarkach, gdzieby królowała — Ona. Jasne, słoneczne przestrzenie komnat, dywany o kolorach najdelikatniejszych, aksamitem kryte otomany, stoły lśniące hebanem, obrusy haftowane, srebra, wina, kwiaty, wszędzie kwiaty. W krużgankach, pod kolumnami, w ogrodach czarownych, przechadzają się kobiety w obłokach cienkich tkanin. Na stołach kru-

że, perłace się winem — radosna sielanka, miłość, zabawa, trwająca zawsze.

Podróże nad morza, w góry, tonące w błękitach, wędrówki po miastach, kąpiących przepychem barw i piękna. Przepych. Rozkosz. Zbytek. Posiąść to za wszelką cenę. Mieć, choćby krótko, ale upić się, oszaleć z rozkoszy i użycia, zanurzyć się po szyję, a potem skoczyć w szmaragdową (koniecznie szmaragdową) toń i — pal djabli! Czemże jest życie bez rozkoszy i piękna? Jak można i czy warto żyć bez powozów zaprzężonych w rumaki spienione, ogniste, szalone, rwące z kopyta, jakby w skoku miały ponieść na kraj świata? A w powozie kobieta wonna, w pianie koronek, urocza, jak ta dama obca tam pod lustrem, tuli się do niego. Przyjechali. Oto balkon willi, kipiący falami kwiecia. Płomienne, bujne słońce drży tęczami barw w wodotrysku. Służąca eteryczna, jak wróżka, wnosi tacę srebrzystą. Ciasta kruche z pianką, poziomki w śmietanie, kieliszki, szumiące winem jak młodość bujna, swawolna, junacka. Ona podaje mu usta...

Poczuł gorzką spiekotę łez pod powiekami, że to tylko marzenie. Bo jakże on wejdzie do tej krainy miłości i czaru? Jakimże sposobem mógłby się zbłąkać w te cudowne ogrody on, chłopak w łatanych butach i zgrzebnej koszuli?

Opuszczał kawiarnię zmartwiałą i upokorzony, rozbity i zwichrzony, zatracony w marzeniach i zawstydzony swą brzydotą. Zmysłowy czar życia, który mu się nagle objawił, umykał przed nim, jak błędny ogień. Był strатовany przez odkryte w sobie żądze,

które rzucały się nań niby ogień na wysuszone belki dachu. Dusił się w ich uściskach i zdumiewał równocześnie, skąd one przyszły, i jaką furta wdarły się w mózg, miotając nim, jak wążką roślinką, potrząsając całym gmachem rozumowań, przekonań, uczuć. Dotychczasowe prace, zamierzenia, klęski i triumfy wydały mu się błahą naiwnością wobec niepodejrzewanej dotąd żądzy piękna, rozkoszy i dostatku.

Ranek następny ostudził nieco spieczone zmysły.

Głównym rezultatem wstrząśnienia było postanowienie zarabiania, aby uniezależnić się od ojca i zdobyć środki na estetyczniejsze wyekwipowanie swej ziemskiej powłoki. Znalazłszy jakąś nędzną lekcijkę, obracał fundusze nie, jak dotąd, na teatr i uciszanie głodu, który mu nieraz dobrze ścisnął kiszek, ale na wyprasowanie ineksprymabli, lub sprawienie skórkowych rękawiczek. Zajął się także staranniej swą powierzchownością, studjując twarz i badając, czy powiodłoby mu się skokietować... nieznaną damę. Egzamin wypadł zadowalniająco. Zdziś podobał się sobie. Był wprawdzie szczupły, jak patyk, ale zauważył, że ma twarz wcale pociągającą.

Przedmiotem ciągłego utrapienia było tylko obuwie. Ach to obuwie! Zużyte i stwardniałe od ciosów długowiecznego żywota, spękane i sztukowane plastrami przyszczypków, przedstawiało obraz żaloszny i godny politowania. Trzeba było te rany i blizny maskować, polerując kamasze tak, aby wykrzesać z nich blask tarczy Achillesa. Bluzę znowu musiał

tak długo tarmosić szczotką, aby nieskazitelna czystość zasłoniła zrudziałe fałdy i zbite wałki waty. Jediną bronią, na którą liczył z taką pewnością, z jaką wódz liczy na artylerję, był olśniewającej białości kołnierz kauczukowy i elegancko lśniące rękawiczki.

Nic to wszystko jednak nie pomogło. Młodociany szlifbruk poniósł porażkę w sposób nieoczekiwany. Jakże miał odnieść zwycięstwo, wysyłając spojrzenie czułe ku spotykanym damom, skoro ich wzrok mieszał go i wywoływał na twarz gorący rumieniec?

Nieśmiałość stała się powodem niejednej gorzkiej godziny terminującego lowelasa. W marzeniach nocnych brał szturmem całe haremy, ale gdy stanął oko w oko wobec nadobnego adwersarza, broń wypadła mu z ręki i ze zdobywcy zamieniał się w zdobyczą przelotną, o którą zresztą nikt, to znaczy żadna nie dbała.

Kłęski te usiłował wetować grubsze uciechy, na jakie sobie od czasu do czasu pozwalał, ale gdy rozhułane zmysły zacichły, zostawała po nich nuda bezkształtna i wyczerpanie. Zdziś czuł, że sam siebie pogrąża, że gubi się w chaosie i oddala od błyszczącej krainy piękna. I znów wyrывał się z osaczających go wyziewów i rzucał w wir pracy, której nie spełniał jednak już z tą energją i zapałem, jak dawniej.

Pogubiły mu się, potrzaskały, rozwichrzyły jasne i twarde kanony.

XII.

POOMACKU.

Ranek był owej niedzieli wiosenny, pachnący, błękitny i Zdzisiowi zachciało się przelecieć po plantach, zamiast pójść na obowiązkową mszę. Trzeba trafi, że po drodze spotkał niemal twarzą w twarz „Niemca“, który, z pod okularów błysnąwszy na elewa, śpieszył swym krokiem podrygującym do kościoła. Ale trzeba jeszcze gorszego trafu, że tej niedzieli ojciec zapragnął poinformować się o postępach synów i w tym celu udał się do kancelarji gimnazjum.

Gdy Zdziś wrócił do domu, ojciec, czerwony ze złości, wpadł na niego odrazu:

— Gdzieś się włóczył?

— Ja, proszę taty, ja byłem w kościele...

— Łzesz, huncwocie jeden — zawołał ojciec i spoliczkował chłopaka.

Wstyd, upokorzenie wzburzyły Zdzisia. Obrzydliwa zniewaga zasłoniła mu oczy mgłą gniewu.

— Niech mnie tato nie bije. Jeśli kłamię, to wi-na ojca!... krzyknął.

— Co? — moja winą? A ty łotrze...! — ryknął stary Kwastowski i zamierzył się ponownie, ale Zdziś wykręcił się i skoczył do drzwi.

Już na schodach usłyszał: — Zdziś, wracaj mi natychmiast!.. — ale te słowa przyśpieszyły tylko jego odwrót. Pędził ulicą, dusząc łzy, żuł w zębach klątwy i wyzwiska, hamował okrzyki pomsty i złorzeczenia.

Już od całych lat ojciec nie považył się uderzyć go. Od czasu owej potwornej bijatyki z macochą, zerwał wewnątrznie z domem i wzniósł w sobie wał ochronny przeciwko ordynarnemu porządkowi, panującemu w rodzinie. A jednak dosięgła go hańba. Już go z domem nic nie łączy, oprócz barłogu i jadła. Trzeba zerwać i ten ostatni łącznik.

Gdzież pójdzie? — Co teraz pocznie z sobą? — myślał trwożnie. Najpierw udał się do Strzyżewskiego i zaproponował mu wspólną ucieczkę do Ameryki, ale przyjaciel przedstawił mu niepokonane wprost trudności takiej eskapady, przewidzianej zresztą tylko w razie „wsypania się” konspiracji. Ofiarował się natomiast z natychmiastową interwencją wobec starego, którego tak „zbeszta”, że mu to pójdzie w pięty. Zdziś czuł, że mu się grunt usuwa pod stopami. Gdzie zamieszka? Z czego będzie się utrzymywał? Tymczasem bracia odnaleźli jego kryjówkę i już wieczorem doszło do preliminarjów. Warunki ojca były właściwie dość łagodne: miał go przeprosić i przyrzec, że nie będzie więcej „łgał”. Jeszcze raz trzeba się było ugiąć. Ostatni raz. W sercu składał sobie ślubowanie, że przetrwa, ale tylko do „matury”, poczem w świat, gdziekolwiek, byle daleko stąd... Po matce należy mu się kilkaset koron. Będzie wprowadzie jeszcze „małoletni”, lecz jeśli ojciec zgodził się wydać pieniądze Sławkowi, to i jemu musi wydać. Jeszcze czternaście, najwyżej piętnaście miesięcy, a potem...

Wracał do domu okaleczały na duszy i zbolały. Ojciec leżał już w łóżku. Zdzisia uderzył smutek na

jego twarzy. Całując rękę ojcowską, wyszeptał obłudnie: — przepraszam tatę.

Ojciec zrazu milczał, a potem zaczął swym zwyczajem monologować:

— Uczysz się dobrze. Myślałem, że bodaj ty jeden wyjdiesz na ludzi. Ale i ciebie śwędzi. Czytasz książki i przewróciło ci się w głowie. Zginiesz pod płotem i wszy cię zjedzą. A bo to Sławek nie mógł siedzieć w domu? Nie. Jemu zachciało się salonów. Oj za dobrze wam w domu, za dobrze. I co z ciebie wyrośnie, jeśli nie będziesz chodził do kościoła? Nic, tylko hycel albo jaki socjalista, i wstyd przyniesiesz rodzinie, splamisz nazwisko. Nie bój się, ja wiem. Wszystkiemu winien ten Kazanowski i książki, które ci pożyczą. Żeby taki stary człowiek psuł młodzież. Chcecie być za mądrzy i zapominacie o tem, że pokorne ciele dwie krowy ssie...

Zdziś tego wieczoru nie odezwał się do nikogo słówkiem, a nazajutrz chmurny poszedł do szkoły.

Targał się, ale łańcuch mocno jeszcze trzymał go za kark. Zaczęła się gruntowna, świadoma krytyka środowiska i poszukiwanie wyraźnego ideału. Podmuchy światowości ulotniły się tak szybko, jak przyleciały. Od czasu tej zniewagi sięgnął głębiej i odważniej. Pojął, że jeśli ma wejść istotnie do szlacheckiej rodziny budowniczych nowego świata, musi wyrzec się pokuszeń zbytku i paniczekostwa. Trzeba zdecydować ostatecznie: albo udział w tej pracy przeogromnej, co świat zepsuty przerobi na inny, sprawiedliwy ład, i wyrzeczenie się — jak w „Ludziach Bez-

domnych“, których niedawno czytał — wszelkich pokus; — albo wytrwała, egoistyczna praca sknery i karrerowicza, celem zdobycia „złotego kołnierza“, jak ów stryj wiedeński. Przenigdy. W takim razie niechaj już raczej „zdechnie pod płótem i niech go wszy zjedzą“. Raczej to, niż bratanie się ze złem, które mami mirażami pozornego piękna. Piękno bowiem nie rodzi się z kolorowych szmatek, nie mieszka w marmurowych pałacach, nie da się kupić za pieniądze; jest w sercu, w myśli, w czynie, albo go niema wcale.

Poświęcić się dla szychu, liczmanów, kukielek?

Żegnaj, nieznany kwiecie tropikalny, damo o ciebie pachnącem za cenę „krwi i potu“ nieszczęsnych robotnic. Żegnaj! Piękne masz ciało, zaiste, ale małą, płaską, poziomą duszę (zapewne...).

Ileż wdzięku, piękna, uroku tkwi w serdecznej i nadziejskiej Joasi...!

Żegnajcie sny o zamkach błękitnych, wśród toni seledynowych (i poziomki...). Nie pragnę was wcale, wyrzekam się was na zawsze, do końca mego życia.

Niechaj mnie ściga ubóstwo, niedostatek, jeśli tak ma być, byle nie w parze z podłością, ciasnotą i stęchlizną.

Zetrę w sobie żądzę wykwintu, strojów i was kobiet, pieniących się niby kielichy, pełne odurzającego napoju, wy najniebezpieczniejsze pokusy złego świata.

Narastała w nim wyraźna świadomość różnicy między jałową pustką środowiska, z którego się wyrodził, a przymierza z rodziną duchów płomiennych,

zwalczających zło i krzywdę. Kształtował się zwolna ideał człowieka. Nie umiając jeszcze myślowo zanalizować problemu, w orientacji instynktownej wyniósł ponad wszelki inny wzór ludzki typ kapłana — wodza, jak Mickiewicz albo Byron, których wielbił ekstatycznie za harmonję między słowem i czynem.

W ten sposób natrafił na źródło podejrzliwości, jaka coraz natrętniej nagabywała go wobec Sławka. Bolało go szyderstwo najstarszego brata, jego sceptycyzm, skłonny do wydrwienia najgorętszych wzlotów, jego złośliwa niechęć względem ludzi, i kpiny z idealizmu.

Zdziś nie znał jeszcze tej tajemnicy, że często człowiek wykpiwa się śmiechem od najcięższych zagadnień, które ważą się w samotności serca; nie wiedział jeszcze, że rak próżności najczęściej nie pozwala przyznać się wybitnej jednostce przed sobą samą do niektórych prawd prostych, lecz wspólnych wszystkim ludziom.

Ale Zdziś sam jeszcze budowy swej natury nie rozróżniał — jakże więc miał pojąć Sławka? Cierpiał tylko, że go traci, i że mu się rozwiewa ta jedyna legenda dzieciństwa. Ostatnia więź, łącząca go z rodziną, pękała. Dzieciństwo, kryjące się w lepkich oparach odrazy, zapadało się w przeszłość, osłoniętą żałobnemi kirami śmierci matczynej.

Zdziś był już nieodwołalnie sam.

Tem czulej kochał teraz Stacha Strzyżewskiego i tem goręcej łaknął przyjaźni ludzkiej, szukając dla swego entuzjazmu człowieka żywego, któregoby mógł

uwielbić. Strzyżewski był zbyt młody i nazbyt tkwił w gąszczach rzeczywistości „realnej“, aby nie gubić się pośród odmetów i wirów, jak Zdziś, i jak Zdziś nie umieć odnaleźć nitki w labiryntach.

Wstępując na wyższe kręgi organizacji konspiracyjnej, Zdziś zawarł znajomość z kilku dojrzałymi już ludźmi. Byli to „bracia starsi“. Wśród nich najbardziej zainteresował go Wiktor. Mieszkał on z matką w starym budynku poklasztornym, gdzie czasem zbierali się „bracia wyższego koła“.

Osobę Wiktora otaczała mgła tajemniczości i blask autorytetu. Błady, o twarzy wychudłej, ale niewzruszonej, lodowatej, o zimnych, bladych oczach i „poetycznie“ długich włosach, trwał zazwyczaj w milczeniu i skupionym wzrokiem przebiegał przestrzeń. Milczenie jego miało w sobie coś naprężonego i odstręczającego zarazem, gdyż zdawało się wskazywać, że chociaż on tu jest, przecie z nikim obecnym nie obcuje. Jego głos matowy, nosowy, flegmatyczny brzmiał również ozięble. Czasem, ale bardzo rzadko, pojawiał się na jego ustach subtelny, ironiczny uśmieszek. Grał biegle na skrzypcach, ale wyłącznie dla siebie. Urobił sobie własną kaligrafię, pisząc literami kształtu gotyckiego, z szybkością normalną, a tak pięknie, że manuskrypt jego przypominał artystyczne pisma mnichów średniowiecznych. Pracował nad jakimiś utworami, których nikomu nie pokazywał, a czytając książkę, medytował godzinami nad jedną stronicą, jakby to były hieroglify albo tekst tajemny. Zresztą ten dwudziestoletni mężczyzna był zamknięty, jak pustelnik,

i taki na wrażenia zewnętrzne obojętny, twardy i głuchy, jak kamień.

Zdziś widział w Wiktorze tajemniczego anachoretę, wcielone pismo runiczne, jedyne go z ludzi znanych, który coś naprawdę wie, ale wiedzę swą osłania tajemnicą. Jeżeli czasem Wiktor przemówił, to również zagadkowo, językiem swoistym, inkrustowanym gęsto zwrotami z języka staropolskiego, który studjował, i posługując się wyrażeniami górnie mistycznymi. Indywidualność jego panowała nad otoczeniem, narzucała mu się, ale, mimo to, Wiktor nie był przywódcą, gdyż jakikolwiek zamiar wpływania w czemkolwiek na bieg wypadków był temu dziwnemu człowiekowi obcy, daleki, a może nawet wstrętny.

Konspirację uprawiał w ruch i dawał jej rozpęd niewątpliwie Marcin. Podlegał on wprawdzie jak najwidoczniej wpływowi Wiktora, co się odbijało w górnolotnym patosie jego przemówień, ale, w przeciwieństwie do tamtego, parł wciąż do działania, konferował, agitował, organizował. On to dokonał olbrzymiego wysiłku, zakładając tajną drukarnię, w której odbito dwa numery konspiracyjnej „Wolności“, srodze wygrażającej Austrii i zapowiadającej powstanie.

Trzecim z „braci starszych“ był Walenty, murarz z zawodu, chłop wielki, niewyparzona gęba, nadzwyczajnie wesoły i żywy, jawnie głoszący socjalizm i dlatego podrzewający sobie trochę z konspiracji. Zdziś prędko zżył się z tym swobodnym, rozhulanym człowiekiem, adorując w nim ucieleśnienie proletariatu, świadomego swych dróg, ogień temperamentu i wyrazistość

poglądów, pozbawionych co prawda wyrafinowania i klasycznie prostotliwych. Wiktor niepokoił go, niby kondor samotny, Walenty porywał swym jurnym witalizmem, zmierzającym do swych celów poprzez, ponad, czy skroś przeszkody.

Pomysły Marcina cechowała wprawdzie energia, ale uderzała ich fantastyczność nierealna. Słowo Wiktora, rzadkie i skąpe, niby wyrocznia, nurzało się w mgłę niedomówień, każdy natomiast wyraz Walentego pasował do życia, jak bagnet do pochwy, i rozcięło sprawę prosto, jak toporem.

Zdziś ślaniał się między temi biegunami, nie znajdując decyzji ostatecznej, nieznacznie jednak praca jego i Strzyżewskiego w kółkach przyjmowała charakter bardziej określony. Z dotychczasowych haseł jeden dogmat niepodległości pozostał nietknięty i nietykalny, oczywisty i niewzruszony, lecz możliwość jego urzeczywistnienia wiązała się już jak najściślej z proletariatem, klasowością i materjalizmem dziejowym. Przejrzystość programu dała chaotycznym rozmyślaniom, przemówieniom, rozprawom siłę sprecyzowaną.

Zdziś poczuł się heroldem idei, co wlało mu nowy ogień w żyły. Teraz znowu, podobnie jak wówczas, gdy przystępował ze Stachem do tworzenia konspiracji, zapłonął żądzą działania. Przemawiał na kółkach, czytał literaturę stosowaną, dysputował, kłócił się, atakował i bronił, biegał na tajne zebrania „braci“, wślizgiwał się nawet na „komersy“ akademickie, namiętnie pragnąc nie tyle wiedzy książkowej — uważanej zresztą, w myśl naiwnie przyjętych przesłanek, za

zgniły produkt przeżywającego się kapitalizmu — ile bezpośredniego wczucia się w atmosferę czynu rewolucyjnego, wtargnięcia w ośrodek pulsującego życia. Wszystko chciał wiedzieć, wszędzie musiał być!

Równocześnie jednak, mimo materjalizmu dziejowego, korciła go kraina tajemnicy, dręczyły ciemne zagadki ducha i przeznaczenia. Nieraz opadały go jakieś omdlenia i lęki wewnętrzne, wtrącając w pieczary mroczne, pełne nieuchwytnych przerażeń i trwóg, albo ogarniał go zachwyt nagły, nieuzasadniony, cichy i głęboki, niby staw dumający w noc księżycową. Niekiedy trudne, zagadkowe wiersze Słowackiego, otchłanne napomknienia Mickiewicza, sprawa Towiańskiego — którą zresztą w szkole pomijało się krótkim: „obłęd mistyczny“ — surową powagą przeniknięte dramaty Wyspiańskiego, metafizyczne lamentacje Przybyszewskiego — nieciły melancholijną tęsknicę, ból dręczący, strach przed śmiercią. Ze śmiercią bowiem nie mógł się jakoś Zdziś pobratać. Na to pytanie nie odpowiadał ani socjalizm, ani ateizm, a wrażliwość, dostrzegająca wszędzie jej działanie, nie pozwalała się oszukać żadnym, najbardziej wyrafinowanym argumentem rozumowym. Śmierć i koniec. Nanic męki, porywy, szaty, czyny. Wszystko umiera. Wszyscy umarli — nawet Napoleon, Byron, Mickiewicz, wszyscy stali się strawą robactwa i zgnili. I on także zamieni się kiedyś w gnój, a jego serce zeżre czarny żuk.

Nocami trwoga zionęła z cieniów, drgających w pomroce, czaiła się w ciszy zielonkawych migotów latarni, odzywała się głuchym stukiem nóg samotnego

przechodnia, który może jest mordercą, złodziejem, a może śpieszy nad Wisłę, aby się utopić? Ponocne oblicze życia było pokancerowane przez choroby, cuchnące rozkładem, rozsiewało krzywdę, gwałt, nędzę i podłość. Serce w młodzieńczej piersi, ściśnięte udręką bezradną, martwiało, zatruwając krew lękiem i męką. A znikąd nie spływało błogie światło nadziei i pociechy. Rozum szeregował tylko nieskończone mnóstwo faktów, potwierdzających rzetelność ciemnych podejrzeń, jako że ten żywot podobny jest do rany ropiejącej, jako że jest on śmiercią i nicością.

Spowiedź nie zsyłała już ukojenia. Nie odchodził już od krutek konfesjonału odrodzony, czysty i radosny niby kwiat, co właśnie roztworzył się ku słońcu. W takich chwilach samotnej rozpaczycie ciężar okrutny tłoczył duszę i młodzieniec widział się osaczony przez chmurę pytańników, które domagały się odpowiedzi lub groziły zagładą.

W tych czasach zjechał do Krakowa filozof Lutos i rzucił czar na młodzież. Okryty zagraniczną sławą uczonego, wrócił do kraju głosić ewangelję naszych romantyków, jako najdoskonalsze objawienie prawdy. Zdziś słuchał jego wykładów, komentujących dzieła Mickiewicza a trwających nieraz dwie, trzy godziny, w późną noc. Zapragnął osobiście poznać się z filozofem, oczekując od niego rozstrzygnięcia najważniejszych kwestyj. Zaprowadził go do głosiciela prawdy jeden z członków konspiracji, młody student, który w zasadzie studjował szachy, przygodnie zajmując się na uniwersytecie dyscypliną filozoficzną.

Zdziś wstępował w progi filozofa z lękiem w sercu i nadzieją. Lutos przyjął adeptów, ubrany po góralsku w portki cyfrowane, serdak, cuchę i kierpce. Zdziś usiadł i czekał. Cierpliwie oglądał twarz mistrza szeroką, czerstwą, okoloną zarostem, ciekawie wpatrywał się w jego oczy błyszczące, nie ośmielając się oczywiście mówić, ni pytać, z obawy, aby nie palnąć jakiego głupstwa. Ale gospodarz milczał także. I on wpatrywał się tylko uparcie w twarz Zdzisia przez jedną minutę, przez dwie, przez pięć minut, poczem wstał, na znak, że milcząca audjencja skończona i, nie uрониwszy ani słowa, opuścił pokój. Seans nie dał owoców. Zdziś wyszedł od mistrza tak samo mądry, jak doń przyszedł.

Podobnych klęsk w bezwiednem poszukiwaniu wychowawcy doznał Zdziś więcej. Ilekroć wejrzał na kogoś, ukazując ciężar, dźwigany na plecach, tamten odwracał się, jakby mówiąc: — Dźwigaj, chłopcze, dźwigaj, ja mam dość swoich tobołów.—Więc dźwigał, oswajając się ze swem przeznaczeniem, jak garbus przyzwyczajają się do swego garbu, dźwigał czasem z przygnębieniem, częściej skocznie, wesoło, harcując, jak żreback po pastwisku, skubnąwszy tam, kopnąwszy ówdzie, niekiedy puszczając się na wiatr, upojony szczęściem bezmyślnem i pędem bezcelowym.

Naturalnie kochał się znowu. Panna Róża była krągłutka i rumiana, jak czereśnia, przylepna śmieszka, o oczkach żywych, jak dwie iskierki, z dołeczkami na twarzy i wszędzie. Biała i różowa, skrzyła oczkiem i świdrowała, ale zawsze pod czujną opieką mamusi

i starszej, bardzo poważnej i skupionej siostry, Karoliny, w której kochał się nazabój Stach Strzyżewski. Obie panny były siostrami kolegi i oczywiście także konspiratora. Przyjaciele spędzali u niego zazwyczaj niedzielne popołudnia, do których Zdziś tęsknił — w przerwach między zajęciami — przez cały tydzień, rojąc o niesłychanych rozkoszach i sukcesach, układając poetyckie dialogi, lub wzdychając do mistycznych zapatrzeń się w siebie dwóch dusz.

Tło odpowiadało wcale dobrze tym marzeniom. Rodzice bogdanki zajmowali pod miastem domek osobny, schowany w zaciszu, które wiosna owiewała woniami pól, a zima zakopywała w kożuch śnieżny, otaczając je poezją białości i przytulnego gniazdka, zabezpieczonego przed mrozami — rzeczywistości... Zdziś widywał wprowadzić mieszkańców domku tylko w stroju odświętnym, ale ta stylizacja właśnie wzmacniała się przyciągania i natężenie tęsknoty.

I domek i jego mieszkańcy odznaczali się schludnością, subtelnością i umiarem. Ojciec, stary urzędnik, pokazywał się zrzadka, natomiast mama, acz osoba schorowana i dobrotliwa, miała pilne baczenie na wszystko, umiejętnie asystując — co tu dużo gadać — swym pannom na wydaniu. Zdzisia nie zaleciał tu nigdy ani podniesiony ton głosu, ni słowo ordynarne, czy odgłos gwałtownej sprzeczki lub wymówek. Wstępował tu, jak do królestwa ciszy, piękna, spokoju, kwiatów, czyściuteńkich pokojów, w których królowały dwie młode księżniczki. I jedna i druga ciągnęły jego oczy, a „za tym zmysłem, co kochać przymusza“

i duszę; wołał jednak tę mniejszą księżniczkę, żwawą, wesołą i śmiałą, ale nigdy nie przekraczającą granic dobrego tonu.

Zczasem zresztą dokonał się między przyjaciółmi niejako cichy podział sfery wpływów, czyli wzdychań. To znaczy, wzdychał do Różyczki Zdziś, bo Stach, nawet wobec swej wybranki, bladej, poważnej, spokojnej i wysokiej Karoliny, stawał zawadjacko i zaczepnie. Pewność siebie nie opuszczała go nigdy, nawet wobec panien, co Zdziś w nim podziwiał, i czego mu serdecznie zazdrościł. Kiedy Różyczka siadała do fortepianu, Stach w tej chwili okupował fotel opróżniony przez nią, a że panny siadały zawsze jedna przy drugiej, wdzierał się przeto w obręb terenu, wyznaczonego przez mamę wyłącznie dla panien. Mama marszczyła się wprawdzie z powodu takiego zuchwalstwa, ale Stach nie dostrzegał tego i atakował swą twierdzą z bliższej odległości, perorując, agitując i rżnąc dowcipy, z których przedewszystkiem śmiał się sam. Zdziś tymczasem siadywał w kącie, jak na rozżarzonych węglach, bo chociaż dziesięć razy postanawiał sobie wyzyskać nadarzoną okazję, i za przykładem, a nawet za radą Stacha „sypnąć się“ do swojej panny — kończył na dobrych chęciach. Posyłał więc tylko zdala ciężarne spojrzenia, tkwił, jak kołek w płocie, a gdy panienska wejrzała nawet nań łaskawie, wtedy — o hańbo! rumienił się i jeszcze głębiej pogrążał w udręce miłosnej.

Tak się zatem obróciły sprawy, że gorący Stach „zabierał“ mu niekiedy Różę i bawił z takim zapalem, jakby miał do niej jakieś prawa. Zdziś aż skrecał się

wówczas z zazdrości, oceniał to nawet w duchu, jako złamanie konwencji, nigdy jednak nie ośmielił się uczynić zarzutu przyjacielowi, który przecie wymawiał mu niedołęstwo i brak siły wobec ukochanej. Czasami jednak, dzięki szczupłości saloniku, same okoliczności pchały mu w ręce szczęście znajdowania się w pobliżu panny Róży. Wtedy... ach wtedy... męka wzrastała stokrotnie. Myśli, uciśnięte w głowie przez cały tydzień, uciekały, a język mu tak lodowaciał, że plótł coś, jak niezgara. A przecie, jako żywo, nie był ani jednym, ani drugim. Wiedział o tem tak samo dobrze, jak jego koledzy. Nie pochwalał, co prawda, młodzieńczej fanfaronady, unikał tak ulubionej przez chłopaków gwary sztubacko-rynsztokowej, ale nieraz tak umiał „objechać” księdza katechetę, albo tak ryzykowne dysputy prowokował z Kazanowskim na tematy społeczno-rewolucyjne, że wprawiał klasę w zdumienie. A tu ani rusz. Wobec panny zamieniał się w drągala. A że panna lubiła baraszkować, zerkać, chichotać i w tym celu prędko przechodziła do „haremu” Stacha, Zdziś, zgryziony, skwaszony, nieszczęśliwy i zazdrosny, obsuwał się w przepaść udręczeń, milknął, jak kamień, żuł w sobie gorycz, czuł się odtrącony, nędzny, godzien nawet pogardy i obojętności.

Niekiedy Stach wyciągał go z toni, rzucając w jego stronę komplement, aby mu dodać ducha. Żadną jednak miarą zaprzeczyć się nie da, że Zdziś nabierał pewnej swobody i śmiałości wobec panien w czasie nieobecności Stacha. Wtedy inicjował z panną Karoliną jakąś poważną dysputę, która mu pozwalała za-

błysnąć inteligencją, a nawet niekiedy wpadał w lepszy humor, i jeżeli zrzadka powiodło mu się zyskać uśmiech panny Róży, to w każdym razie chętnie słuchała go panna Karolina. Ciche nieporozumienia wyglądały się dopiero na przechadzkach, o ile mama udzieliła na nie pozwolenia, gdyż Stach na wolnem powietrzu z zasady dotrzymywał towarzystwa pannie Karolinie, zostawiając Zdzisia na pastwę zaczepnych spojrzeń panny Róży. Przytem, poza domem Zdziś nie był tak skrepowany i obserwowany, a podlegając łatwo pod wpływem wrażeń zewnętrznych zmianom usposobienia, rozklejał się, bawił bogdaną rozmową, a nawet odważał się zapuszczać wędki spojrzeń w ślepki panienki.

Ale byłż to miłość? W głębi duszy nie potrafiłby sobie odpowiedzieć na to pytanie. Ostatnie lata tak pogięły i przeorały jego wrażliwość, że nasycić ją doskonale i przepełnić nie mogło już nic z otaczających go zjawisk. Chybotliwość rzeczywistości, kłębiącej się w szaleństwie nieogarnionych sprzeczności, splatała istotę rzeczy w tajne węzły i zagadki. Zdziś tkwił wprawdzie w „życiu“, lecz od jakiegoś czasu spostrzegł, że wziął się w nim skądś drugi „on“. Ten drugi niewidzialny cwałował przez las, jak kiedyś podczas galopad na Majku. Patrzył tylko, ale w niczem udziału nie brał. Czasem jakby obejmował kierownictwo, ale wtedy Zdzisia ogarniało odrętwienie i bierność. Zazwyczaj jednak jednego od drugiego oddzielała zimna skorupa.

I znów czasami przelatywał na ekranie duszy, niby lśnienie tajemnej tęsknoty, ów błękitny rycerz

z czasów dzieciństwa i zjawiało się pragnienie jakiejś dalekiej miłości bez słów i zmysłów, zatopionej w bezdeń wiekiustą, a marzenie, niby odbłask prawdy jedynej, odsuwało wdal i pomniejszało sprawy i wypadki życia. Doznawał wówczas uczucia niewypowiedzianej rozkoszy, zlania się w jedność doskonałą, pełną spokoju, ukojenia i nasycenia. Były to chwile jakby jasnowidzenia, niby szczeliny w ciemnych chmurach, otwierające widok na gwiazdy...

Ale, bywało, zalewały także Zdzisia nagłe fale żywiołowej radości istnienia, wesołości jurnej i hulaszczej. Nie poznawano go wówczas. Blady, skupiony chłopak wyrывał ze szkoły i, zajrzawszy tylko do domu, celem zamarkowania niejako swej obecności, wynosił się na całą resztę dnia „w świat“. Leciał do Stacha i porywał go na miasto. Szli rozgadani, plotąc byle o czem i zalewając się śmiechem. Zaczepiali dziewczęta, wstępowali do pewnego handelku na „gorące wino“, albo nawet wbrew „konstytucji“ mamusi, udawali się do „swoich“ panienek. Oczywiście nie tak wprost. Brat panien, Henryk, otrzymywał polecenie, aby siostry wywabić jakoś na pole, młodzieńcy zaś wyrastali przypadkiem z ukrycia i towarzyszyli damom swych serc. Zdziś w godzinach junackiego usposobienia przeobrażał się do niepoznania również wobec panny Róży. Był wyzywający, przekorny, dowcipny, pełen pomysłów wesołych i zabawnych, umiał wpiąć nieznacznie w rozmowę komplement, a raz nawet pochwycił pannę wpół, niby do tańca, ale wyglądało tak, jakby ją zamierzał

wycalaować. Był interesujący, sympatyczny, rozkoszny i panna Róża wdzięcznie, wodziła za nim zalotnem oczkiem.

W takie godziny upijał się wrażeniami, które mieniły się wówczas kolorowo, jak bańki mydlane. Wszelkie problemy zapadały się pod ziemię, jakby je pochłoneła noc. Rany przestawały broczyć, a życie ścieliło się przed okiem niby owa łąka, zielona, puszysta, nakrapiana czerwienią maków i złotem złocieni. W podziemiach szumiał nurt wiosenny, wzbierał, pieniał się, wzbijał, pędził wdal, w krainy nieznane i urocze. Zdziś przeczuwał, że dopłynie tam, i był przeświadczony, że rozwali stawidła i śluzy, i tryśnie wgórę. Wybuchnie kiedyś! Narazie dość mu rozkoszować się tą wiedzą, radować ludźmi, cieszyć oczami panien, upajać słowem na zebraniach, opływać życie strumykami, które wedrą się wszędzie, tulać się do kwiatów i do korzeni, świecą na słońcu i posępnie błyszczą w jamach.

Ale nadejdzie godzina...! Wtedy on odemknie jedną małą klapę i żywił lunie! Ha! ha! ha! Nikt się tego nie spodziewał! Nikt tego nie wie. On jeden tylko... sam, jedyny na świecie...

Jakąż rozkoszą jest życie. Tak wglądać i czuć, i brać w siebie słońce i ziemię, i ludzi, tańczyć sercem, igrać wyobraźnią, wspinać się i spadać, być tu i tam, dawać susy niejako próbne, które ćwiczą mięśnie do tego skoku, jakim przesadzi tę ostatnią przeszkodę, dzielącą go od życia... Za rok! — nie — już za jedenaście miesięcy. Hurra! Jedenaście... Hurra!

— Stachu, co ty z sobą poczniesz po maturze?

— Urżnę się, jak bela.

— Bo ja strzepnę kurz z obuwia i oczu nawet nie odwróć.— W świat! Wtedy dopiero zaczniesz się żyć.

— No, ale co będziesz robił?

— Ja? — czy ja wiem! No, zapiszę się gdzieś na jakiś uniwersytet.

— Na jaki wydział?

— Pewnie na filozofję, ale to, widzisz, wszystko jedno. Filozofja czy prawo... Grunt, że wyjadę...

— To tam jeszcze widłami na wodzie pisane, ale powiedz mi, dokąd wyjeżdżacie na wakacje?

— Pewnie pod Zakopane. Jeszcze Tatr nie znam. A ty?

— Ja do stryja.

— To się przez dwa miesiące nie zobaczymy... Żebyś pisał, Stachu, pamiętaj! Tutaj, jak mi coś leży na wątrobie, zaraz lecę do ciebie. Będę czekał na listy...

— Ale wolałbyś otrzymać liścik jeszcze od kogoś — co?

— Hm. —

— Znów rumienisz się, jak bydlę. A to cholera z temi rakami. Mnieby tam mogła moja Karolcia uściśkać, a jeszczebym się nie zarumienił, ba! z radości fikałbym pedałami pod niebo.

— To ty! Chciałbym być taki, jak ty — westchnął Zdziś.

— A bo to sztuka! Chcesz mnie panna — kławol — nie chcesz, to moje uszanowanie, znajdę sobie inną, ale te wzdychania, męki, wywracania oczu, ru-

mieńce... No, mówię ci, Zdziś, że pękać mi się chce ze śmiechu, gdy na was patrzę.

— No pewnie...

— Pewnie! pewnie! Nie medytuj tyle, ale zabierz się raz do swej Różyczki ostro!

— A tyś pocałował kiedy swoją Karolcię? — pytał Zdziś z wielkiem zaciekawieniem.

— Kiedy bo widzisz, Zdzych, ona jest taka poważna. Różyczka taka jest przylepna jakaś i słodka, że aż cię korci, żeby ją schrupać. Panna Karolcia, to całkiem co innego, to jakiś kaktus. Dobra i mądra, ale serjo, i taka surowa, że ani przystąpi...

— Jak anioł, co? — poddał Zdziś.

— Właśnie. Bo to widzisz...

— A właśnie, bo nie widzę. Jabym tam powiedział: — chcesz mnie panna — klawo! — nie?, to gadaj, znajdę sobie inną — drwił Zdziś. Jak atakować, to atakować, hem, trrem, brrem. —

— He?

— Ano pewnie. Z kopyta brać pannę, ale te cierpienia, wywracania oczu, wzdychania. Śmiech mnie chwytą...

— Wiesz, Zdziś, co ci powiem?

— Cóż mi powiesz takiego?

— Żeś głupi, jak stołowe nogi.

— Jak wszystkie cztery nogi? Możebyś sobie zostawił bodaj jedną na własne potrzeby?

Strzyżewski buchnął śmiechem:

— Wiesz co, Zdziś, zdaje mi się, że w tych sprawach obaj postępujemy, jak osły.

— To dobrze. Bo kobiety właśnie kochają osłów, twierdzi Szekspir.

— Kochasz się, wzdychasz, już, już gębę masz otworzyć, bo cię aż język piecze od tej miłości, aż tu jak ci panna nie spojrzy na ciebie, jakby cię widziała pierwszy raz w życiu—ufl! A mamusia wtedy zaraz: „proszę na podwieczorek” albo coś podobnego, i animusz w człowieku djabli wzięli. Przeszedł moment i poleciał, jak wróbel. Goń za nim i posyp mu soli na ogon.

— Z panną Różą tak samo.

— Oho — ho! — z tą dałbym sobie radę w mig, nie bój się. Chcesz, to jej powiem, że ją kochasz.

— Żebyś się nie ważył! — zakrzyknął Zdziś.

— Dlaczego?

— Dlaczego?! Dobrze. W takim razie i ja powiem twej Karolci: — Panie! Mój przyjaciel tęskni, pragnie, kocha, miłuje panią aż do szaleństwa, ale że jest z natury niedojda, wyznać nie śmie, jakie uczucia rozpierają jego serce. Znając te afekty, ulitowałem się nad przyjacielem moim biednym, o pani, i w jego imieniu — o pani — racz przyjąć — o panie!

— Żebyś się zadławił, o panie!

— Powiem tak Karolci — o panie! — jak Boga kocham.

— Powiedz. Ale wiesz, co ja wtedy zrobię — o panie?

— Ktoby tam wiedział, co taki warjat zrobi.

— Jak przyłapię twoją Różyczkę, to ją tak wyściskam i wycałuję, że się rozlecisz z zazdrości na cztery kawałki.

Zdziś zaperzył się.

— Wtedy, Stachu, kwita z przyjaźni. Z małpami nie przyjaźnię się.

— Ha! ha! — nie bój się, fujaro, pełna westchnień. Mam swoją Karolcię, dobrą, mądrą, śliczną, bladą Karolcię. Kocham ją tak, że poprostu wściec się można. — Ale słuchajno, Zdziś, żebyś przed wyjazdem nie zapomniał wydać rozkazów co do bibuły, aby ją członkowie kolportowali sumiennie tam, gdzie będą na wakacjach.

— Już wydałem, naczelniku.

— A jak tam teraz ze starym, Zdziś?

— Dobrze.

— Pozwala ci czytać?

— Mieni się na twarzy, gdy mnie zobaczy nad książką, ale nic nie gada, bo mam dobre stopnie. To mnie ratuje.

— A buchasz go zawsze w mankiety?

— Naturalnie. Patria potestas. Mówię: — „całuję rączki tacie“, jak nakazuje tradycja, i cmok w łapę. A jakże! Przecie ojciec stale wspomina staropolską tradycję, jakto nasi pra-pra rznęli na kobiercu naszych pra-pra.

— Taki to patrjota twój stary?

— A czy ja wiem. Pamiętam z lat dziecinnych, że w dni świąteczne chadzał w czamarze.

— I wino pijał dzbanem?

— Co to, to nie. Odkąd sobie przypominam, była w domu biedusia, aż piszczało. Dotąd pamiętam, jak się podkradałem do szafy, aby świsnąć kawałek chleba. A i w szkole... Zdziś zarumienił się i umilkł.

— Psiakrew! — huknął Strzyżewski. Głodzili cię.

— Zawsze brakowało drobnych. Matka zaharowywała się, aż się zaharowała na śmierć. Nas rodzonych jest siedmioro, a troje umarło.

— Bój się Boga, dziesięcioro?

— A z macochą ma stary czworo.

— Czternaście! — ryczał Stach.

— A z pierwszą żoną miał ojciec pięcioro.

— Dziewiętnaście! — liczył Strzyżewski.

— Ale te pięć z pierwszej żony pomarły.

— A to dlaczego?

— A nie wiem.

— To się twój stary też naharował — no, no! Dziewiętnaścioro dzieci. Gdyby z tego wyżyło dwunastu synów, otrzymałby od Apostolskiej Mości podarunek. Swoją drogą...

— Czasem to mi starego żal — zauważył Zdziś.

— Zato chyba, że cię sprął po staropolsku.

— Ciągłe go coś gryzie i pewnikiem chciałby dla nas dobrze, ale nie umie.

— Bzdury. Chce, ale nie umie. Zapieklł wam życie i tyle. Niechby tak kto na mnie podniósł rękę, rany boskie...! — zgrzytnął Stach.

— Ale wiesz, on ma czasem oczy takie czerwone, jakby płakał.

— Chyba z gorzały.

— Co to, to nie, stary nie pije.

— A to poco ma tyle dzieci? Z pewnością nie znał tej teorii... jakto... no wiesz...

— Malthusa.

— Właśnie, tego Malthusa. Swoją drogą, do bani z takim ustrojem, który pozwala na głodzenie dzieci. W ustroju socjalistycznym wszystkie szczeniaki będą pod opieką państwa.

— A jak ty myślisz, Stachu, daleko tam do tego ustroju?

— Ja myślę, że z dziesięć lat, a zresztą djabli go wiedzą, ja się go nie pytałem.

— Bo Sławek wykpił mnie, kiedy z nim zacząłem o socjalizmie.

— Bałwan jest ten twój Sławek, oświadczył mu to ode mnie, a jeśli się obrazi, odeślij go pod moim adresem. Dam mu kopniaka w darwinistyczny argument i zrzucę go ze schodów.

— Bałwan to on nie bałwan, tylko kpi ze wszystkiego.

— To i ja z niego zakpię. Pluń na niego i tyle.

— Wielki artysta!

— Ja także umiem rzępolić na kataryncę.

— I na drumli — dodał Zdziś.

— A żebyś wiedział. Jak zagram, to pchły aż tańczą walca.

— Tyś bardzo zdolny, Stachu, tylko nie wiem, za co ten Kozioł wlepił ci poprawkę z matematyki? Uparł się bestja.

— Grajdała! Sekuje mnie za to, że mu wtedy trzasnąłem drzwiami, pamiętasz?

— Swoją drogą, popracuj trochę, chłopie, bo cię gotów trzasnąć przy maturze.

— Niech tylko spróbuj! Budę przewrócę do góry nogami.

— Patrzaj, jedenasta. Czas wracać na barłóg rodzinny. Zobaczymy się jeszcze przed odjazdem?

— Wiesz co, przyleć jutro z rana duchem do tego anstaltu, co to Marcysia usługuje. O, jak mu się ślepia zapaliły.

— Głupiś.

— Ale Marcysia ładna — co? — ha! ha! ha! Wiesz co, mógłbyś handlować rakami i mieć z tego fajne utrzymanie. Opowiem to pannie Róży,

— Małpa!

— Tylko nie wiem kto. Chyba ten, co się kocha w pannie Róży a do Marcysi umizga...

— Ty sam wzdychasz do Karolci, omal ci żebra nie pękną.

— Ja wzdycham? Ja! — oburzył się Stach.

— Nie, ty nie wzdychasz, tylko przedwczoraj, kiedyś przy niej siedział, rozległ się taki huk, jakby coś pod tobą pękło, aż się panna Karolina zmieszała.

— Ej, Zdzisiu, mądralo! Wiesz, co mi pękło? Szelka...

— Szelka?

— Ach ty, barania głowo. Wielki z ciebie poeta i setny chłop, ale głupi...! No — servus!

— Do jutra. — Stachu!

— Co?

— Ale jej nie powiesz... co? ani piśniesz?

— Jabym ciebie zdradził, Zdzisiu?

- Słowo?
- Słowo honoru! Czołem.
- Servus.

XIII.

PRZEBŁYSKI.

Tatry były dla Zdzisia objawieniem. Oniemiał wobec tych gmachów z granitu. Wrażenie było tak nieoczekiwane, tak niepodobne do jakiegokolwiek innego, a tak wstrząsające, że nie umiał go sobie sformułować. Z tych kolosów płynęły nań uczucia wzniosłe i ekstatyczne a jednocześnie szczęśliwe, jakby patrzył okiem żywym na ucieleśnione marzenie. Kryształiczna czystość przezroczy, w których barwy i kształty nabierały siły i wyrazistości boskich arcydzieł, napawała go podziwem i rozkoszą. Nigdy dzieło sztuki ludzkiej nie przejęło go takim zachwytem. Błękit barwy niepokalanej; masyw grani osiadły w sobie i niewzruszony; wonie, jakich niemasz nigdzie; hale, bory, smereki, cienie głębokie i łyskliwe plamy świetlne, mgły i smugi; nieprzejrzone w swej różnolitości, niezgruntowane w znaczeniu, niewymierne zjawisko górskiej krainy było odkryciem nowego świata.

Pierwszy raz doznał w swoim życiu pełni szczęścia i to nie przez człowieka, nie dzięki książce pięknej i mądrej.

W tych kolosach spoczywała, uwięziona od czasu, skamieniała tajemnica. Nie było w nich żadnej

wątpliwości ani wahania. Leżały one, jak wykuta przez czas prawda ostateczna, absolutna, wieczysta i tak tutaj położona, pośrodku niepewnych i zmiennych prądów żywota ludzkiego, jako świadectwo, iż ona istniała, jest i będzie, chociażby wszystko inne runęło i minęło. Przeto odziana była w pontyfikalne szaty, mieniające się błękitem nieba i ogniem piorunów, przepychem borów i hal, brzaskiem odświętnych dni i granatami otchłannych nocy.

Zdziś upajał się, śnił i rozpamiętywał Tatry, jak tajemnicę życia.

W ich obliczu prostowały się błędne manowce, a w duszę wnikała iścizna prawdy, piękniejsza i głębsza ponad wszystko, co dotąd widział, słyszał i czuł. Nieraz na wezgiłowi hali albo na toporze turni granitowej trwało godzinami podziwienie bezsłowne, zachwyty podobny do owej chwili pełnej tajemnego czaru, gdy ujrzał swego rycerza błękitnego. Sny na jawie, marzenia wiotkie, przeczucia nagłe, które sękała pięść życia gruchoce dzień w dzień, ujawniły się teraz jako sens jedyny i jako rzeczywistość najistotniejsza. Życie przyszłe zarysowywało się, niby linje turni, gwałtownie łamane, twarde, surowe, ale monumentalne, lub jako polany, skrzące w słońcu i kwieciście wyciągnięte w objęciu drzew szumiących, albo jak burza, lub jako połysk stawu górskiego. Wszelki brud znikał, wszelka małość unicestwiała się. Życie mogło być twarde, oporne, trudne, nawet straszne, ale nie mogło być załgane, nikczemne albo puste, jako że prawdziwe są Tatry, wspaniałe i wyniosłe.

Tutaj zaczął sylabizować wiedzę, której żadną miarą nie umiał się nauczyć u brata, u przyjaciół, u nikogo.

Oni byli niby kamienie, które nie mówią, ale te kamienie mówiły.

Mówiły zaś wciąż tylko, że jest, że to jest, że to nie jest złudzeniem, że było i jest, i będzie, i przez nas, przez człowieka, a więc i przeze mnie... że płynie to, co jako najoczywistszy aksjomat bytu leży tu zakopane od początku czasów.

Zapewne musi to znajdować się wszędzie i na każdym miejscu, nawet w plugawych norach miejskich, w zaropiałych od wstrętnej choroby oczach, w przegniłym parkanie, w rynsztoku, ale on ujrzał, dotknął tego okiem i całą istotą swoją tu, w tych górach.

Tutaj dopiero naszło go to objawienie za pośrednictwem piękna, którego nie stworzył człowiek, i tutaj dopiero odezwało się doń niebo gwiazdami swemi.

Spływało to nań z wiatrem gór i wonią borów, jak balsam zabliźniając rany, aromatem nasycając pory ciała, przejętego stęchłą wilgocią pierwszych dni życia. Tu zapominał swe nędze, przebaczał i oczami spłakanemi w uniesieniu błogostawił i zegnał się zarazem, kładąc między to, co było, i to, co miało przyjść, granicę, którą mu natura sama ukazała.

Pragnął odejść między ludzi z piorunami, które tutaj mu zagrzmiały gniewem, ale i z błękitami, które tu napoiły mu serce wiarą. Tu dopiero znalazł w sobie odtrutkę na jady, ściekające z ust wykrzywionych szyderstwem, albo na gruboskórny bełkot dufnej w siebie pospolitości. Tu obmył się w źródłu prawdy, któ-

ra jest i która daje nadzieję, i tu zaczerpnął otuchy. Z tych gór wydobył moc odradzania się po grzechu i klęsce i odkrył sposób na podstępny życia, usiłującego zalać i zgnoić kwiaty kwitnące duszy.

Teraz dopiero ocknęła się w nim młodość bez skazy, ciesząca się życiem widzianem w kształtach ogromnych. Nieustający brzęk dzwonek po halach rozlegał się niby sygnaturka kościelna.

Wszystko, co ongi dawało znać o sobie w chwilach samotności i smutku, jest prawdą.

Prawdą jest heroizm, prawdą wiara w zwycięstwo dobra, prawdą, że nic nie przemija bez śladu, i że duch ludzki w swej wędrówce zmierza do celu wysokiego. Prawdą? A więc kłamstwem i pozorem jest przyziemość, cyniczny rozum, chełpiący się oczywistością swych niezwalczonych argumentów.

Tajemne lśnienia duszy — zapłońcie pożogą.

Wonie czarowne — rozplyńcie się wszędy po świecie.

Słowa, wynikające z natchnień i westchnień duszy — wzlećcie swobodnie niby orliki młode.

Kwitnij, kwiecie, bogactwem pączków, strzelaj, w niebiosy modlitwą swych kolorów.

Życie jest wzniosłą tajemnicą, różowym obłoczkiem i czarną tuczą, grzmotem i szmerem skrzydełek motyli, kobietą, matką bujną i spokojną i mężem kamiennym, Giewontem!

— — — — —
Zdziś tarzał się po jedwabistych halach i rzał, jak juhasy. Skakał po głazach, jak kozioł, i kąpał się

w strumieniach tak mroźnych, że woda ich parzyła. Biegał po borach i ślizgał się na zboczach kamiennych dolin, jak świstak. Wylegiwał się na kamieniach, jak wąż, wdrapywał na drzewa i huśtał, wisząc na wysokich gałęziach, jak młoda szyszka.

Czasem tylko tęsknił do Stacha i dumał nad ludźmi, których znał, dochodząc do wniosku, że oni nie są w stanie znać prawdy, skoro nie byli w Tatrach. Ludzie, którzy nie pławili się w kryształach powietrza górskiego i nie wdychali w siebie wiatrów z gór, posiadają w sobie tylko część prawdy i odczuwają tylko cząstkę piękna. Książki, pozbawione światła i powietrza, są fałszywe i ubogie. Karaluchy i węże lęgną się i plenią w cieniu, lecz złote pszczoły i białe motyle — na słońcu.

Tak dumał Zdziś, obudziwszy się i patrząc w szare niebo za oknem. Siekł deszcz i mgły zapchały widnokrąg.

— Bój się Boga, już podarłeś zelówki — usłyszał nad sobą głos macochy.

— A, zelówki? Podarły się? To dziwne, już się podarły...

Głowy rodzeństwa, wychylające się z pod kołder, trzęsły się od śmiechu z powodu szczerzego zdumienia Zdzisia.

— Macie czego rechotać, ryczywoły — zawołał. — Skóra nawet bycza odznacza się taką właściwością, że się drze, kiedy na nią przyjdzie czas.

— Bycza — a — a! — wyli bracia.

— Cicho, bysiel

— Sam się nie drzyj, bo zbudzisz tatę.

Ale deszcz chlapał i zelówkowe *andante* rozproszyło misterjum tatrzańskie. Szarzyzna, nasycona kwasami, fermentującemi przez długie lata przymusowego obcowania, rozwieszała swe pajęczyny. Tatry wsiąkły w bure morze mgły, jakby nigdy nie istniały. Co począć z sobą? Gospodarskie zajęcia gazdy, u którego mieszkali, nie ciekawiły Zdzisia wcale. Miał do nich wstręt od dziecka, widząc w nich ospałość i rezygnację ludzi, którym praca przynosi lichy plon. Gospodyni prała, a gazda kręcił się w szopie, poklepując kosę. Pewnie nudziło mu się także za górami.

Zdziś wyobrażał sobie, że życie gazdy toczy się zawsze temi ciasnemi koleinami i uzałił się nad dolą chłopca czerstwego, który, zdawało się, mógłby dęby rwać. Zbliżył się do niego i zagadnął na ten temat, ale góral, pykając fajeczkę, dawał skąpe odpowiedzi nie rozumiejąc, o co chłopakowi idzie. Wobec tego Zdziś wziął książkę, wdrapał się w stodole na siano i zatonął w lekturze. Na boisko weszła służąca czegoś tam szukać. Mignęły jej bose nogi i zapachniały odchylone piersi. Zdziś skoczył na nią zgóry, jak ryś. Niby to broniła się i odpychała chłopca, ale przecie rada była pieszczocie, nie dopuszczając tylko przezornie do finalnych ataków płomiennego bóstwa. Ale zapach siana i ciała kobiecego tak odurzył kawalera, że jego impet chwilowo osłabł, a dziewczyna zemknęła, śmiejąc się złośliwie. Odpalony amator zakopał się znowu w sianie, ale czytanie mu już nie szło. Obległy go myśli parzące i łaskotliwe. Knął

plany chytre, jakby to powyższą driadę zaskoczyć kiedy chyłkiem. Zapomniane od jakiegoś czasu bachantki wdarły się przez szpary w dachu i rozpasanym korowodem unosiły się nad rozpaloną głową, Zdzisiowi waliło w skroniach. Upadał jak najwidoczniej i dawał się tym kochankom nieuchwytnym, najcudniejszym, powietrznym.

Popołudniu deszcz jeszcze pluł. Niepodobna było ani czytać, ani myśleć. Miejsce bachantek zajęły teraz strzygi wyrzutów, rwąc piersi i wysysając krew życia. Tajny lęk przewijał się w sercu, a tęsknota piekąca, jak rana, trawiła duszę za czemś nieokreślonym, za czemś innem, co, według potwierdzenia Tatr, istnieje przecie, tylko jakby się chwilowo zagubiło. Szloch samotny wydarł się z piersi, szarpiąc wątlę ciałem chłopaka, szamocącego się w sprzecznościach woli i pożądań. — Jeszcze dziesięć miesięcy! — jeszcze tylko dziesięć! — przypominał sobie i to go ukoilo.

Tymczasem wiatr rozegnał chmury. Zdziś okrążył chałupę i przysiadł na górze pod smerekiem. Powietrze, jakby jeszcze oczyszczone przez deszcz, było czyste, jak szkło, a Tatry otulała, niby oddech, ledwo widzialna, błękitna mgła.

Wpatrzył się w nie i westchnął:

— O góry, góry mojej! Jakież wy jesteście czyste i mądre! Wy wiecie wszystko, wy jedno wiecie z pewnością. Dawniejsze jesteście od człowieka i zwierzęcia, ale milczenie wasze jest kamienne, okrutne, zimne. Czemże wobec was jestem ja? czem naród, ca-

ła ludzkość? Kocham was, podziwiam i nienawidzę. Czem jest śmierć? Dlaczego tyle nędzy i cierpienia na świecie? Gdzie Bóg?

Nie odpowiadacie, wirchy, niezłomne i obojętne.

Czemu, na widok kobiety, żądzą zasnania oczy moje? A może gdybym był zachował czystość ciała, przemówiłobyście do mnie?

Ta myśl pierwszy raz wyraziście wyłoniła się z duszy. Całą siłę obrócić na zgłębienie praw ducha, a potem spłonąć jednym czynem? Człowiek zdąża do uduchowienia całkowitego. Dusza będzie się rozrastała, aż kiedyś człowiek przeduchowi się ostatecznie i nastanie Królestwo Ducha? Może za cenę czystości ciała? O tej czystości zapewne kazali księża, odkąd sobie przypomina ekshorty, tylko on tego nie pojmował. Brał to kiedyś dosłownie i nie rozumiał, co im na tem może zależeć.

Czystość! Istoty, które nie pożądają siebie. Biali i jaśni, zarówno kobiety, jak mężczyźni. Na twarzach powaga i nieskazitelna czystość wzajemnej miłości. Żyją pod jednym prawem i pracują w imię jednej, wiadomej im prawdy. Wionie od nich dobroć i łaskawość. Zdziś widzi między nimi siebie, i szczęśliwość zalewa jego piersi. Niebiański zapach tchnie z jego ust. Słowa są, jak kwiaty, myśli, jak promienie, uczucia, jak ognie. Spełnia swą powinność z kor-nem oddaniem się i żarliwością. Ład i harmonja rządzi ruchami, porządkiem życia, zajęciami. Duch ofiary i poświęcenia płonie w nim takim żarem, że na jedno skinienie gotów jest pójść na śmierć. Oczy-

szczone jest życie z brudów, a dusza pozbawiona mgieł.
Jedność boża przenika wszechstworzenie.

O góry! — czy tak? — czy tak?

Ale gdzie szukać świętego chramu i jakie doń
wiodą szlaki?

Czystość ciała i myśli?

Mignęły różowe ciała powietrznych kochanek
i krew zakipiała w żyłach: — Więc to szatany?

— Hop! — hop! — Zdzisiu! Kolacja! Kolacja!

Obejrzał się. Gdzież on jest? Acha. Tam cha-
łupa — ojciec — macocha — bracia.

— Kolacja! — Zdzisiu! Hop! hop!

Poczuł wilczy głód i pędem puścił się do domu.

— Czemu się spóźniasz? — tetyczyła matka.

— Gdzieś był? — pytał ojciec.

— Pod smerekiem.

— Coś tam robił?

— Nic.

— Jakto nic?

— Myślał o niebieskich migdałach — zażartował
Fredek.

— Żebyście wiedzieli, że o niebieskich — obru-
szył się Zdziś.

— A smakowały ci?

— To może już nie będziesz jadł mleka z ziem-
niakami?

Zanosili się śmiechem poufałym, serdecznym. Zdziś
nie wiedział, jak im to wyłożyć, i rzekł:

— Patrzcie, jaki niebieski zmierzchl

— Niebieski zmierzch — ha! ha! ha! — pierwszy raz słyszę — zawołał Fredek, który zdobył sobie w rodzinie pewną powagę, ponieważ chodził już na uniwersytet.

— A jakże! — zielony, czerwony, pstrokaty...

— Nie-e-bie-ski — zaśmiewała się rodzina.

— Patrzcież przecie — obstawał przy swoim Zdziś.

— Patrzymy i widzimy, że wieczór był od początku świata czarny albo szary i taki już zostanie aż do sądu ostatecznego.

Jakże przekonać ich, że marzył o rzeczach niebieskich, gdy oni nie potrafia i nie chcą nawet patrzeć własnymi oczyma.

Zdziś wobec tego zamilkł, lecz zaraz dopuścił się grzechu pychy, myśląc, że jest mądrzejszy od nich wszystkich, ale w istocie nie drażnili go dzisiaj. Nie irytował go ich śmiech i nawet zapomniał, że są takimi, jakimi ich zna. Może zresztą są zupełnie inni? Może naprawdę są tacy, jak teraz w ten niebieski zmierzch, który złagodził ich rysy realne mgłą sino zielonej aureoli, okalając głowy i ramiona, że wydawali się niby obłoki, niby dusze?

Nazajutrz była pogoda, i ojciec z Fredkiem i Zdziśiem wybrali się na Giewont przez Małą Łakę. Zdziś brykał po głazach, tańczył po skałach, tulał się po kościerzach ha! i, rozbiegawszy się, stracił z oczu brata i ojca. Po jakimś czasie echo przyniosło wielokrotnie połamane, przerażone wołanie ojca, wzywające na pomoc. Przestraszony zawołał: „jestem, idę“ i, pewny, że

ojciec znalazł się w groźnem niebezpieczeństwie, zaczął wbiegać na zbocze, aby się zorientować, gdyż echo mogło go łudzić co do kierunku. Tymczasem ojciec stał o kilkanaście kroków po jednej stronie pagórka, a Fredek po drugiej tak, że się nie widzieli. Ojcu zdawało się, że zabłądził, i na widok syna aż klasnął w ręce z radości.

Zdziś pierwszy raz poczuł się silniejszy od ojca i to go wzruszyło. Dalej już nie poszli, bo ojciec był tego dnia jakiś niespokojny, obawiał się, żeby znów nie zabłądzić, i był już zmęczony. Wrócili do domu w wielkiej zgodzie, niemal w przyjaźni, do której Zdziś był skłonny z natury, szczególnie od czasu mocnego postanowienia opuszczenia domu zaraz po zdaniu matury.

Od pewnego czasu wogóle jakby obchodził ojca zdaleka i przyglądał mu się niby komuś obcemu i obojętnemu, od kogo nie jest się zależnym. Przecie ten człowiek musiał mieć w życiu konflikty, zmartwienia, zagadnienia, jak inni ludzie, musiał być kimś, niezależnie od tego, że był jego ojcem. Kiedyś wykryli chłopcy w szufladzie ojca reprodukcję obrazu Ledy z łabędziem, najoczywściej skrywana przed wzrokiem dzieci. Zdziś dotąd pamiętał bujne kształty Ledy i jej uśmiech, lśniący pożądaniem. Kiedyś tam znowu zasłyszał urywek rozmowy ojca ze Sławkiem o nieboszczce matce, że ojciec zabronił jej wychodzić z domu, aby przerwać jej znajomość z jakimś mężczyzną. To znów raz chwalił się stary, jakto on w młodości wygrał zakład na zabawie, że bez chwili wytchnienia obtańczy wszystkie

panny obecne, a było ich coś z pół kopy. Któż to wie? Może ten srogi pasjonat, gwałtownik a nawet okrutnik, nie rozumiejący własnych dzieci, sam nie był w życiu rozumiany i pozostał samotnikiem? Może i on targał się w chomacie, jak ogier, aż go ujeździło życie? Może i on czekał wyzwolenia, ale się go nie doczekał? Życie tego człowieka było może jednym wysiłkiem, żeby jakoś wyżywić dzieci...? Jakież prawo ma on, Zdziś, potępiać go? Czy przeznał go nawskroś? Czy przemierzył wszystkie nieznane mu ścieżki jego życia, tajemnice, skrytki, klęski, czy zbadał tajnie jego serca, łamania się myśli z niemiłosiernym losem? Cóż on wie o tym człowieku, który niewątpliwie kochał, chociaż kochać nie umiał? A może on nie jest zły, tylko nieszczęśliwy?

Tatry! — czy wyjawicie mi tajemnicę ojca?

Ale te rozważania nie stopiły rozżalenia i zapiekłego gniewu, nie rozluźniły mocy postanowienia...

XIV.

NA TĘ ŁĄKĘ ZIELONĄ...

W złoto — błękitne popołudnie wrześniowe, tonąc w różowych tumanach kurzu, śpieszył Zdziś do swego przyjaciela. Stach musiał już chyba przyjechać. Serce tętniło mu, jak dzwonek, kurcząc się od niepewności, roztkliwienia, nadziei. Jak też on wygląda? Czy zmienił się przez te dwa miesiące? A może Stach już go nie kocha, jak dawniej? — Przypominał sobie

jego twarz, barwę oczu, gesty, dźwięk głosu. — Jeszcze chwila. Już ulica, dom. Zatrzymał się przed drzwiami, aby zaczerpnąć oddechu, którego pozbawiło go wzruszenie. Jakże bije mu serce! Zapukał cichutko i odrazu nacisnął klamkę.

Stach leżał w ubraniu na łóżku. Na widok przyjaciela krew nabiegła mu do twarzy. Uśmiech rzewny odsłonił zęby białe i mocne.

Zdziś, onieśmielony, w milczeniu padł mu w ramiona.

— Puk! — puk! — Otwierają się drzwi, patrzę, kogo djabli niosą, a to Zdziś wsuwa się leciutko, jakby go wiatr przywiał. Jak się masz, Zdzich? Gadajże. Kiedyś przyjechał?

— Dzisiaj zrana. Pojutrze lekcje — mówił Zdziś, jakby usprawiedliwiając nagłość swych odwiedzin. Przypuszczałem, że już wróciłeś, i zaraz chciałem cię zobaczyć.

— Fajny z ciebie chłop. Zdzich, jakże się miewasz? Gadajże. Zaniemówiłeś, czy co?

— Ja, dobrze. A ty?

— Ja?... — Stach machnął ręką i uśmiechnął się, jak człowiek, którego bolą zęby. Chory jestem...

— Ychy...?! Chodzisz do doktora?

— A łązę, stękając i klnąc...

— A panna Karolcia?

— Nie byłem jeszcze u nich. Jakże się tam pokazać...

— A ty mało jedna! Trzeba to będzie jej opowiedzieć.

— Spróbuj a, jak cię kocham, wygarnę w zęby z tego buldożka — oświadczył, wyjmując z szuflady bębenkowy rewolwer.

— Ładne powitanie.

— Wstyd mi przed nią tak, że nie wiem, jak jej spojrzę w oczy. Świnia jestem i tyle.

— To nie ulega wątpliwości. Ale co powiada doktor, czy to uleczalne?

— Kiedy go zapytałem o to, śmiał się, jak warjat.

— Swoją drogą, wiesz, Stachu, to porządne świństwo.

— A ty co, niewiniątko, gołąbku? — drwił Strzyżewski.

· Zdziś stanął w ogniu.

— Tak mnie dopiekło — tłumaczył się Stach. — Djabeł mnie skusił. Ale teraz ho! ho! mam sposób...

— Co powiadasz! a jaki? — zainteresował się wielce Zdziś i nastawił uszu.

Strzyżewski wskazał na hantle, leżące na parapecie okna:

— Gimnastykuję się.

— Hm — mruknął Zdziś rozczarowany.

— Żeby to kto umiał dać radę — westchnął Strzyżewski.

— Uczą nas, uczą — wybuchnął Zdziś z goryczą — ale o takich sprawach ani be, ani me.

— Ale swoją drogą trzebaby coś wymyślić, bo jak te hantle nanic, to co? — zadumał się Strzyżewski.

— Wiesz co?

— No?

— Zdaje mi się, że jest nato rada, jakby ci to wyklarować — zaczął Zdziś w zamyśleniu. Trzeba uparcie myśleć o czemś innem, ciągle o czem innem...

— Djabła tam. I tego próbowałem. Jak wiesz, musiałem się obkuwać na poprawkę z matematyki. Stryj dał mi nawet do pomocy studenta z Tarnowa. Pracuję, jak katorżnik, kuję, jak kowal. Ciągle patrzę na trójkąty i wyprowadzam formuły trygonometryczne. I trygonometria nie pomogła.

— Przeznaczenia nie unikniesz — z powagą zauważył Zdziś.

— Samo do ciebie przyjdzie.

— Pozostają chyba hantle. Trzeba sobie skąd dostać...

— I ty też, Zdzisiu, ha! ha! A nacóż tobie hantle? Pożyczę dla ciebie od panny Różyczki.

— Głupis.

— Tyś przecie mądry, a nic wymyślić nie możesz.

— Bo to dziwna rzecz z tem myśleniem, mój Stachu. Takie mnóstwo zjawisk, zdarzeń, spraw dokoła nas, na niebie, na ziemi, we mnie, w tobie, w innych, że gdy myśleć o tem wszystkiem, to życie szumi, jak siklawa tatrzańska, wali z hukiem, mknie i gdzieś ucieka. I tylko ten szum pozostaje w głowie. A co najdziwniejsze, że o tych sprawach nikt nie może jakoś drugiego pouczyć... rozumiesz?

— Tyle, co Sokrates.

— A z poprawką jak będzie?

— Djabli wiedzą, bo ja to wiem tylko tyle, że mi Koziół całe wakacje pocharatał swemi tangensami, które mi bokiem wylazły. Żeby pękł i zamienił się w cosinus.

— Trzymaj się, stary.

— Ja się trzymam, jak mogę, tylko, żeby on mnie puścił do matury. No, ale dość o głupstwach, przejdźmy do roboty. Widziałem się z Marcinem. Tej jesieni ma wyjść trzeci numer... wiesz... Policja dotąd szuka zdrajców stanu. Artykuł Wiktora o Habsburgach w drugim numerze doprowadził szpiclów do furji. Ale nawet się nie domyślają... Wiesz, Marcin, to morowy chłop. On ma kogoś w policji, od którego wszystko wyciąga, co mu tylko potrzeba.

— To morus! — zakrzyknął Zdziś z zachwytem.

— Do tego numeru musisz i ty coś napisać, ale tak gorącego, żeby „szwarcgelbery“ syczeli, jakby ich pomacał rozżarzonym pilnikiem. Trzeba tylko floty na zecera, bo ten nasz znalazł zajęcie i nie ma czasu.

— Chłopaki coś tam poprzywozili chyba z wacyj — rzekł Zdziś. Może uda się zebrać ze składek ze dwadzieścia papierków.

— Zdziś, proszę cię, jedno z dwojga: albo mówmy poważnie, albo żartujmy — rozsierzdził się nagle Strzyżewski. — Dwadzieścia blatów! Weź sobie te dwadzieścia papierków i wytapetuj nimi pokój. Wiesz, ile musimy zebrać?

— No?

— Sto reńskich!

— Ależ, Stachu...!

— Nic „Stachu“! Żadne „Stachu“. Rozkaz i k e i n e gadanie. Tyle wyznaczyła najwyższa władza. A nie, to rozpędzę tych hebesów na cztery wiatry, niech nie robią taniego patryotyzmu.

— Ależ, Stasiu...!

— Siedź cicho, powiedziałem, żebyś sam nie oberwał, rozumiesz? Gadaćby gadali, psiakrew, jakby człowieka masłem po sercu smarował, ale sięgnij do portmonetki, zaraz wykręty. Żeby was pioruny, mór, głód, morska choroba...!

Zdziś słuchał w skupieniu, obserwując napętnione krwią weny przyjaciela, który często wpadał w pasję, a dzisiaj tembardziej się irytował, im trudniej mu było się ruszać.

— Kapcany, łamagi, fajtlapy, dusigrosze, obiboki, mliczaki, idjocil — grzmiał wprawnie Strzyżewski. — Dwadzieścia blatów, psiakrew!

— Stasiu, a wiesz ty, na ten przykład, ile ja w tej chwili posiadam majątku?—przerwał mu Zdziś surowo.

— No ile, na ten przykład?

— Trzydzieści groszy na ten przykład.

Na ustach Stacha pojawił się uśmiech, rozszerzył się, rozlał po całej twarzy, aż wybuchnął gromkim, tryskającym, rozpasanym śmiechem. Stach chichotał, rżał, parskął, trząsł się, chwycił za brzuch i za głowę, a w przerwach stękał.

— Bo pęknię i nie zdam matury — wołał — ratujcie mnie, wszyscy święci.

Zdziś, nieco urażony, trwał w milczeniu, z powagą wyczekując końca.

— Tom się uśmieł. Zdziś, i to na cały rok?

— Zdaje się.

— Zdzichu, ty jesteś doprawdy śliczny z tem twojem „zdaje się”. Jeszcze więcej kocham cię teraz. Zdaje się! Ale dlaczego ci się tak zdaje?

— Bo nie mam żadnych dochodów.

— A lekcje...

— Miałem jedną lekcję, ale i ta prysła, bo mój uczeń dostał dwóję z sześciu przedmiotów.

— Z ilu?

— Ze wszystkich, oprócz śpiewu, gimnastyki i rysunków. Nie umiem dawać „korek” i, wiesz co, mam podejrzenie, że sam nic nie umiem, a belfry piszą mi dobre stopnie z przyzwyczajenia.

— Z czegoż ty będziesz żył, chłopie?

— Jako leluje wodne i ptaki niebieskie, jako też z tego, co mi stary kapnąć raczy, ale on sam posiada niewiele.

— A mówiłeś mi przecie, że po maturze wyjedziesz...

— A to swoją drogą. Wyjadę na p e, choćbym miał głodem przymierać. Zresztą liczę na spadek po matce. Jeżeli mi ojciec nie wyda całego, to bodaj częściami, a choćby mi nawet nic nie wydał, to i tak, żeby się świat walił. Zresztą zarobię sobie jakoś.

— Jak? Kiedy nawet belfer z ciebie nikczemny. A duży ten spadek?

— Niecałe tysiąc koron.

— Ho! ho! Na rok wystarczy.

— Na rok? — Na cztery lata po dwadzieścia pięć koron miesięcznie. Jeszcze z piętnaście dorobię...

— A po roku zapadniesz na suchoty.

— Na suchoty? Nie, Stachu. Ja wierzę w życie. Dawniej gryzła mnie czasem zmora, ale teraz już zdobyłem pewność, że istnieje świat inny i że są inni ludzie. Warto żyć! Czasem jeszcze boję się śmierci, ale teraz, kiedy poznałem Tatry...

— Co ma kalosz do księżycy?

— Tatry — powtórzył Zdziś szeptem.

— Cóż Tatry, Zdzisiu?

— Tatry mi powiedziały...

— Tatry mu powiedziały — ha! ha! ha! Ty, Zdziś, jesteś swoją drogą bajeczny. Odkryłeś w Tatrach kopalnię złota, czy co?

— Odkryłem...

— I masz trzydzieści groszy.

— E, bo ty nie rozumiesz. Wiara zeszła we mnie z gór i z natury. Co ja ci zresztą będę gadał, Stachu. Gdy sam poznasz Tatry, to zrozumiesz i uwierzysz.

— Przecie gadałeś mi, że już nie wierzysz.

— To co innego.

— Masz babciu parasol. Co innego... Jedno z dwojga, albo wierzysz, albo nie. Jeżeli wierzysz, to klep koronki, jak dewotka, albo nie wierzysz...

— Kiedy ty, Stachu... Ja wierzę, a swoją drogą wcale mi nie potrzeba koronek. Wierzę, że zło zostanie pokonane, i że podniosą się rycerze błękitni. Życie ludzkie rozświećli się, a serca zapłoną i nastanie

Trzecie Królestwo, a ludzie będą do siebie mówili promieniami, jak aniołowie w Królu Duchu, i zniknie złość, okrucieństwo, wyzysk, krzywda...

— Że wyzysk przepadnie, to racja, ale tamte promienie... Wiesz, kiedy tak mówisz, to mi się wydaje, że jesteś z jakichś wiórków ulepiony. Wiatr dmuchnie i polecisz. Kiedyś dzisiaj wchodził do mnie, to — jak Boga kocham! — myślałem, że cię tu przyniósł wiatr.

— Stachu, a ty wierzysz w ducha?

— Ho! ho! — stoliczki, ekierki...

— Swoją drogą, wiesz, wartoby spróbować.

— A to próbuj sobie, a jak ducha zobaczysz, to mi go pokażesz. Jak go łupnę w zęby, a on mi odda, to uwierzę. Tymczasem możebyśmy co zjedli. Stryj dał mi trochę papierków. Idziesz? Postawię kolacyjkę, że palce lizać.

Zdziś certował się trochę, ale wkońcu zaproszenie przyjął. Po kolacji umówili się na dzień następny, i tak rok szkolny, ostatni rok, rozpoczął się, bieząc pędem bardziej gorączkowym, niż którykolwiek inny. Padał nań blask od słońca jeszcze niewidzialnego, ale już wstającego kędyś ponad mgłami przyszłości, niosącej wolność, i barwił dni spędzane w szkole i na zebraniach, późne wieczory, a nawet kładł się na godziny snu tak, że Zdziś budził się radosny, tryskający ufnością i nadzieją. Tatry, szmaragdowe i różowe, mgliste i czarne, stały przy jego boku, ilekroć skłonność do zwątpienia wytrącała go z naprężonego biegu, w którym dzień po dniu, noc po nocy, szyb-

ko spadały w przeszłość, z warkotem rześkim i rozgłośnym.

Poza dawniejszemi zainteresowaniami obudziło się w nim nowe zaciekawienie, może pod wpływem idei nawianych przez Tatry, do świata ducha, które narazie zrealizowało się w doświadczeniach spirytystycznych. Kolega Zdzisia, a brat panny Róży, Henryk, namówił go mianowicie do urządzenia „seansu“. Dobrali sobie jeszcze do pomocy Rąckiego, kolegę, w którego uczciwą lojalność wierzyli obaj, bo co do Henryka, to Zdziś nie podejrzewał go ani trochę, już chociażby jako brata umiłowanej.

Ponieważ Henryk posiadał, jak jaki hrabia, oddzielny pokój na piętrze, „seansy“ odbywały się u niego. Trójca spirytystyczna zasłoniła lampę i jąta skupiać się namiętnie i przyciskać palce do spodka, zaopatrzonego w ząbek z papieru, i czekać na pojawienie się ducha i blednąć za każdym drgnięciem talerzyka. Poduszcзки palców drżały z naprężenia, a reszty dokonał z całą pewnością sam „duch“, gdyż po jakiejś półgodzinie spodek ruszył z kopyta. Najpierw trząśł się, jakby dostał ataku febry, potem skoczył, znów stanął, jakby głęboko deliberował i znów bryknął. A potem już szastał się po stole jak epileptyk i na wielokrotne błagania strwożonych spirytystów, rzucił się na alfabet i niejako złożył bilet wizytowy, przedstawiając się, jako Agrypina, „która wdzięki swe wspomina“, a „że jej tam źle jest w górze, więc się waży w ciemnej chmurze“. Na taką częstochowską prezentację, ostatnie iskry uśmieszków zagasły w sceptycznych

duszach adeptów czarnej magji. Strach był wielki, ale ciekawość jeszcze większa. Zabrali się tedy do Agrypiny ze wszystkich stron, nagabując cesarzową, za wdaniem się ciemnych potęg uwięzioną w nędznej skorupie, jak wypadnie matura, i kiedy dojdzie do wojny, w którym roku i jaką śmiercią zginie każdy z trójcy, ile będzie miał pensji, dzieci i t. p. A cesarzowa, doskonale poinformowana o wszystkim, mówiła, mówiła i mówiła, jak szczwana plotkarka.

Gdy po seansie Zdziś wracał do domu, wyimaginowana twarz rzymskiej upiorzycy straszyła go z każdego krzaczka, a z poza każdego węgła duchy szeptały, jęczały, skomlały. Zdziś wierzył i nie wierzył. Zastanowiło go tylko, że duch przemawiał od czasu do czasu wierszem, tak wybornie częstochowskim, jak wiersze Henryka, który w tajemnicy pieścił muzy. Niepodobna. Henryk przejmował się najgoręcej i miał twarz tak bladą, tak śmiertelnie bladą.

Kiedy Zdziś zwierzył się Stachowi z tajemnicy spirytystycznej, przyjaciel wyśmiał go niemiłosiernie, postponując zwłaszcza Agrypinę, za co jednak ciemne potęgi srodze się na nim pomściły. Podczas jednego z licznych seansów Agrypina stanowczym tonem zażądała, ażeby trójca urządziła seans nazajutrz w innem mieszkaniu, mianowicie na stancji, w której mieszkał uczeń, nazwiskiem Skówka, tam bowiem i nigdzie indziej cesarzowa ukaże się spirytystom w swej dawnej, ziemskiej powłoce. Mimo okropnego strachu, postanowiono przyjąć warunek ducha, dręczącego się w podstawce filiżanki, i jedynie ze względu na nieprzewidzia-

ne niebezpieczeństwa zgodzono się zaprosić Stacha Strzyżewskiego w roli pogotowia ratunkowego. Strzyżewski, uzbrojony w tęgą lagę, zjawił się u rzeczzonego Skówki i z punktu zajął pozycję szyderczą. Agrypina ze spodkiem szaleli poprostu, miotając się po stole, a Strzyżewski tarzał się ze śmiechu. Nagle spodek wysylabizował: „Niechaj się Stach nie śmieje, bo padnie trupem na miejscu“. — Strzyżewski zbladł i zamilkł, jakby weń piorun trzasł. Wtedy dopiero cesarzowa kazała zgasić lampkę... Henryk płakał, inni kłapali zębami, ktoś zdmuchnął lampkę, ale duch jakoś nie chciał się, czy nie mógł się zmaterjalizować. Wobec tego Strzyżewski zapalił lampkę i oświadczył, że na przyszłość zakazuje tych zabawek, które tylko prowadzą do hysterji i odciągają od zajęć, odpowiadających godności członków konspiracji. Gdyby rozpoczęli kiedyś na nowo, on zjawi się z sikawką i pomyjami porozpędza spirytystów na cztery wiatry.

Zdziś przyznał słuszność przyjacielowi i na tem skończyła się wycieczka w krainę duchów, która mu nie przyniosła niczego, oprócz zdenerwowania i niemiłego podejrzenia, że padł ofiarą oszustwa.

Wracał do życia, domagającego się czynnej postawy, zwłaszcza, że przez okres spirytystyczny działalność kółek znacznie osłabła. Zdziś był tem zdziwiony, bo jeszcze nie znał tej prawdy, że każda praca społeczna trwa i rozwija się, podlewana serdeczną krwią jednostki; gdy osłabnie energia tej jednostki, omdlenie rozlewa się po całym organizmie. Trzeba było zatem biegać po zebraniach i gromić smoka ospałości oraz

niedbalstwa. A szkoła również wzywała do czujności. Półrocze zimowe dobiegało końca, a Zdziś, pochłonięty wszystkim innem, tylko nie nauką, spostrzegł z przerażeniem głębokie luki w swem oficjalnem wykształceniu. Otrzymywał wprawdzie stopnie wciąż jeszcze jakie takie, ale nauczyciele coraz częściej kiwali nad nim głową, dając w ten sposób wyraz swym zawiedzionym nadziejom. Znaki na ziemi i na niebie ostrzegały, że może być źle. Przygotowanie lekcji „na o la Boga“ przed godziną, nie zawsze wystarczało, a gdy raz oberwał rzetelną dwóję z „greki“ — casus pascu-deus, jakiego nie doświadczał już od długich lat — przestraszył się nie żartem.

Złe wiatry nawiały nań melancholję i osłabienie. Budził się w czarnym humorze, lewą nogą wstawał z łóżka, kłócił się z rodzeństwem, a w szkole siedział, jak mruk. Zwłaszcza w dni deszczowe i pochmurne nudził się okropnie, a nawet doznawał bólu głowy, zwłaszcza podczas ostatnich lekcyj. Irytował się o byle co i nawet raz pobił się z kolegą i obsypał go — co było jeszcze dziwniejsze — stekiem soczystych, sztubackich wyzwisk. Opadał go jakiś smutek hipochondryczny, podgryzający wiarę w siebie i w przyszłość, a pobyt w domu stawał się ponownie torturą, jak cierpienie z powodu zęba, który dawno należało już wyrwać.

Był, jak więzień, męczący się coraz nieznosniej w miarę zbliżania się terminu uwolnienia. A nuż nie zda matury? Jeszcze rok jeden w tych murach, w tym domu, pośród tej pustki, na tych ugorach? Była to jak-

by recydywa upadku wewnętrznego z czasów choroby, zanim poznał Strzyżewskiego. Za nic! Gdyby nie zdał, ucieknie, wyjedzie, zabije się. Za nic! Strwożony, przekonany, że wszystko zapomniał, wziął się do roboty szkolnej, jak opętany. Szczególnie przerażała go fizyka i matematyka, bo przed Koziółem, który zresztą uczył fatalnie, można się było jeszcze jakoś wywinąć, choćby bezczelnością, ale czy prześwietna komisja egzaminacyjna nie wykryje pustki w tem miejscu szarej substancji mózgowej, gdzie powinien leżeć bagaż matematyczno - fizyczny? Spalą go, spalą, jak Husa, jak Savonarolę, jak amen w pacierzu, zwłaszcza, że i tak wisały nad nim kondemnarki różnego rodzaju. Teraz mu dopiero zadadzą bobu! *Periculum in moral*

Rzucił się na podręczniki, jak wygłodzony szczur. Wrócił do kursu siódmej klasy i stwierdził, że oprócz logarytmów, w otchłań niewiedzy zapadła się ponadto elektryczność, kosmografia i trygonometria. Wypożyzył sobie tedy notatki od pilniejszych kolegów i wkuwał poprostu żywcem całe eksperymenty klasyczne, formuły, wzory, dowodzenia. Zrywał się z łóżka o piątej, a po lekcjach brał się natychmiast do magazynowania wiedzy. Narazie zapomniał o wszystkim. Wpadł w trans pilności, przerabiając tematy niczem niezwiązane z życiem, nic nie wyjaśniające ze świata żywego, a tak pedagogicznie spreparowane, że pozbawiono je wszelkiej choćby teoretycznego uroku i ciepłoty. Kuł i kłął, łykał pigułki abstrakcyjne i zgrzytał zębami na c. i k. system nauczania, stworzony przez mumje

chyba poto, aby zagwoździć głowy i odstraszyć je jak najskuteczniej od rzeczywistej wiedzy.

Im zaś bardziej zakurzona była i strupieszała nauka, tem ponętniej wabiło życie. Niejednokrotnie też wśród namiętnej roboty wyłaniały się znagła z pod piszczeli sztywnej formuły kształty rozkoszne, które godziłoby się nazwać wypukłościami rubensowskimi, majaki, które trapiły chyba anachoretów na pustyni. Wówczas ciskał podręcznik i szedł ze Stachem na „czarną“, przy której obleśny ozór młodzieńczy z lubością pastwił się nad systemem szkolnym, odgradzającym młodzież od życia chińskim murem jałowych, bezpłodnych wiadomostek. Gromadziła się wtedy w Zdzisiu zgryźliwa złość i jad, zrodzony z prześlęczenia całej młodości w kryminałach szkolnych, brudnych i brzydkich, gdy muskuły drgały aż żądzą sprawdzenia swej prężności w locie i wysiłku. Ale po krótkich torsjach buntu, z rezygnacją powracał do roboty, rozsądnie wnioskując, że on może sobie, ile tylko chce, drwić, łążyć i gardzić, ale „oni“ mogą go mimo to „spalić“. Ta refleksja nakłaniała go do koncentracji uwagi, oraz do wypędzania myśli, marzeń i westchnień, rozsadzających skupienie i pozbawiających robotę jakiegoś istotnego sensu.

A tymczasem już zapachniała w powietrzu wiosna. Wiosna, bardziej urocza, niż kiedykolwiek, bo odślanająca swe uroki zmysłom wtajemniczonym w powaby i tajniki natury podczas ubiegłego lata. Tchnienie jej wionęło zewsząd. Wsłizgiwała się między brudne druki i zapaprane podręczniki, albo miłosnym od-

dechem chuchała znieńacka z poza węgła. Coś niewidzialnego tarzało się i huštało na zawiedłych jeszcze trawnikach między drzewami. Jakieś podmuchy dzikie i prześmiejchy wytryskały z gąszcza tłumu miejskiego, że ni stąd ni zowąd budziła się chęć huknąć tak na całe gardło na środku ulicy, jak na hali. Szczególnie czarujące były ranki marcowe, gdy z paką książek szkolnych pod pachą wyruszał do budy. Przymrozek cienkiem szkliwem napępniał szczeliny między brukowcami, skrzącemi opalowo. Przezrocze powietrza, wonne, przejasne, wlewało się między domy, bramy i podwórza, że to miasto, tak znane i opatrzone, lśniło w oczach niby gród bajeczny z marmurów ciosany, złotem i kosztownościami wysadzany. Jakby się stroiło na przyjęcie wiosny urodziwej i wzbudzającej zarazem gorzkie niepokoje.

Zdziś nie szedł, naturalnie, wprost do szkoły, ale zbaczał, krążył, polował, czyhając, co go też może spotkać na tamtej ulicy, do której właśnie zmierza, albo na onym placyku, gdzie już kasztan błyszczy tysiącem pączków lepkich i słodkich. Drgająca pełnia rozsadzała mu piersi, łakomiła oczy żądzą, chciwością barw, form, linii, burzyła i rozgrzewała krew, tak, że nie czuł ciężaru ciała i fruwał niejako ponad ziemią. Pragnął widzieć to i tamto, upić się powietrzem i przenikającym je zapachem ziemi rozwilgłej, nasycić się świergotem ptactwa, zachłysnąć błękitem i kochać się we wszystkich spotykanych kobietach, które podobne były do płynących w powietrzu kwiatów. Nie marzył wcale o tem, aby je zdobyć dla siebie, ale cieszył się

i zachwycał niemi, jak obrazem, jak cieszyła go zło-
cista zieleń wici wierzbowych. Widok ich przenosił
go w świat snu i zadumy, gdzie wymieniał z niemi
spojrzenia ciche i senne, niby muśnięcie wiatru, pie-
szczącego wodę. Te czarne i te niebieskie oczy, te
włosy popielate, złote, hebanowe, osnuwające lica grą
cieni, tchnęły weń rozkoszą aż do upojenia, cierpką
aż do łez.

Mieniły się w nim w te ranki jakby skrzydła
pawie, wirujące wciąż mnogością kolorów, z których
w duszy czynił się cień połyskliwy, miękki, ale tajny
i nieuchwytny. Szczęściem było tonąć i wynurzać się
w tym żywiole nieprzebranych barw i wyrazów świata,
lecz bólem słyszeć w głębinach skrytych jakiś szum,
niby pomruk zły i ostrzegający, czy też szyderczy.

Te poranki przedszkolne były to jedyne chwile,
wydzierane życiu, wysysanemu przez ciężkie roboty,
trwające przez marzec i kwiecień, aż po ten maj, który
świecił niby sygnał wolności. Ale w ostatnich tygod-
niach nie było już nawet chwili na zadumę, marze-
nie, zwiewne radości i błahe, niczego napozór nie
kształtujące smutki. Ten okres był jakby kocioł dja-
belski, w którym przyrządy elektryczne, ciała niebie-
skie, formuły, daty, cyfry, nazwiska, cytaty gotowały
się w krwawym ukropie spieczonej myśli. Zdziś miał
mózg tak przepętniony pojęciami z podręczników, że
zapomniał niemal ludzkiej mowy, myśląc i porozumie-
wając się żargonem, rojącym się od dziwacznych obra-
zów, przetykanym zwrotami greckimi i łacińskimi,
germanizmami, stycznymi i przekątniami, imionami kró-

łów i wodzów, którym świat dawno dał święte odpoczywanie, nazwami miejscowości, które dawno już żywiły dziejów starły z powierzchni ziemi, wyobrażeniami, które wydawały suchy chrzęst, niby kości stoczone przez robactwo. Wszystko niemal i właśnie to, co już w świadomości nowoczesnej zagasło, co odpadło z niej niby kurz stuleci, albo tak wessało się w krew kultury, że nie potrzeba tego ani odgrzebywać ani uświadamiać, stało się dla Zdzisia w tym okresie czasu sprawą jedynie żywotną, ważną, godną uwagi, bo od znajomości inwentarza tego świata trupów, zależało otwarcie wrót, wiodących w krainę życia. W ostatnich tygodniach nie było to już myślenie, ani uczenie się, ani nawet kucie, lecz furja obłąkana. Z kotła djabelskiego wydobywał się naprzykład jakiś truposz zielony, niby złośliwy gnom i, zezując szyderczo, zapytywał: A kto to taki? kiedy panował? w którym roku? — Zanim zgrubiała pamięć wróciła do przytomności, wyskoczył sobie tymczasem na krótkich nóżkach „trochej“, domagając się uczonej analizy historyczno-stylistycznej. Równocześnie rozpoczynało marsz całe wojsko kwestyj, dat, twierdzeń, żądając natychmiastowej, właśnie natychmiastowej klasyfikacji. Niechby tysiąckroć zgwałcona pamięć ośmieliła się zawahać, szukać wybiegu, jękać, wyobrażnia w tej chwili podsuwała obraz stosu, na który przewodniczący komisji w karawaniarskiej żałobie i zielonych okularach, wskazuje jednym skinieniem brwi: „spalić go!“ Zimny pot oblewał podsądnego, „powtarzającego“ sobie za jednym zamachem „całe gimnazjum“.

Nadeszły wreszcie dni sądu. Egzamin piśmienny minął w chronicznej gorączce i niepokoju, wśród nocy nieprzespanych, a dni straconych w zachłannem pożeraniu wiedzy stosowanej, ale jeszcze bardziej denerwujące były dni oczekiwania na wyrok. Drogami wiadomymi tylko uczniom, woźnym, oraz służącym światłodawców, wynik przedostał się do wiadomości ofiar jeszcze przed oficjalnem ogłoszeniem. Zdziś został dopuszczony do egzaminu ustnego, Strzyżewski natomiast „ściął się“, co go jednak wcale nie ścięło z nóg, gdyż zaraz z przedsiębiorczością impetyka jął snuć projekty na maturę „eksternów“ w jesieni. Zdziś robił ostatnie pociągnięcia pendzlem w zaokrąglaniu swych wiadomości. Teraz już mijał obojętnie nawet wierzby zielonowłose i białe piramidki kwiatu kasztanowego, a nawet oczy panny Róży nie miały władzy oderwania go od formuły ruchu przyśpieszonego, którą absolutnie musiał jeszcze raz poznać, zgłębić, strawić, zgryźć, zemleć na papkę i zamknąć w pewnej szufladce mózgu, jeśli nie na całą wieczność, to przynajmniej na najbliższy wtorek.

Ten wtorek był ciepły i suchy, ale bezświatlny, jałowy, zakurzony. Nic, ale to zgoła nic, ani na ziemi, ani na niebie, ani na ulicach, ni w sklepach, ani w oknach, ni w twarzach przechodniów, nie świadczyło o jego niezwykłym znaczeniu. Dziwiło to a nawet gniewało nieco Zdzisia, gdy w porządnie „wypucowanej“ bluzie, z czterema połączanemi galonami na kołnierzu, kroczył do szkoły — może już po raz ostatni w życiu. Myśl o tej możliwości przeleciała mu przez

piersi niby płomień piekący, który zetlił się i zgasł, gdy abiturjent wsunął się w zielonkawą jamę bramy gimnazjalnej. W tej chwili bowiem zawładnęła nim apatia i nuda względem tego, co miało nastąpić i nie opuszczała go aż do końca egzaminu. Przebywał w klasie razem z pięciu skazańcami, wyznaczonymi na ten dzień, i, co jakiś czas wzywany, udawał się do kancelarii przed oblicze prześwietnej komisji, która bezwstydnie pragnęła uchylić rąbek jego wiedzy. Nie było w tem zresztą żadnej ostentacji ani uroczystości. Nauczyciele nie wyglądali wcale na minotaurów o krwiożerczych paszczach, kłapiących smakowicie ponad zielonem suknem. Przeciwnie. Okazywali „abiturjentom“ nawet uprzejmość. Nie „tykali“ ich już wprawdzie, ale jeszcze nie pozwolili im „panować“, objeżdżając ten delikatny problemat zręcznymi zwroty, jak naprzykład: „niechaj abiturjent powie, czy *ablativus*...“, albo „proszę powiedzieć, czy Cezar, przechodząc Rubikon...“ i t. p. „Abiturjent“ przystępował jak najostrożniej do rzuconej mu zagadki, jak ryba, mająca ochotę łyknąć przynętę, lecz żywiąca wrodzony wstręt do haczyków, ale zanim jeszcze zdążył wyjąkać cząsteczkę ładunku swej uczoności, egzaminator przerywał mu wpół słowa i albo słodko dziękował, lub w sposób iście natrętny zagabywał o inne kwestje.

Zdzisia nic nie mogło wytrącić z automatycznej, zaspanej sztywności, nawet zaszczytna wiadomość, że został zwolniony od egzaminu z języka polskiego. Stawał przed komisją, coś tam klarował, tłumaczył, dowodził, wracał do kolegów, udzielał ciekawym in-

formacyj, albo nawet kształcił się jeszcze na stojączkę, lecz wszystko to czynił jakby ktoś inny. Tylko gdzieś wdali, jakby na skraju widnokregu, coś w nim pojękiwało, przyczajone i gotowe do skoku, złe i naprężone.

Już po skończonym egzaminie, gdy komisja raziła w tajemnicy, Zdziś nie zdawał sobie sprawy, czy dojrzał, czy nie. Myślał i tak, i owak. Z pewnem zaniepokojeniem wspomniął złowrogi błysk oczu przewodniczącego, gdy coś tam kreślił na tablicy, i miał wrażenie, że niewiele rozumiał z ody Horacego, którą mu polecono przełożyć. To też kiedy wezwano „panów abiturjentów“ do kancelarii, mrówki przebiegły mu po głowie. Przewodniczący okazałym gestem zarzucił czarną tasiemkę za małżowinę ucha i głosem skrzeczącym obwieścił: — Komisja egzaminacyjna przyznała świadectwo dojrzałości z postępem dobrym panom: Zdzisławowi Kwastowskiemu...

Zdziś systematycznie spakował książki, uściśnął dłonie kolegom i z całym spokojem wyszedł na ulicę. Nic się tu przez te pięć godzin nie zmieniło. Te same szare, obwisłe chmurzyska wisiały na niebie. Wiatr popychał rynsztokiem żółty kłębuszek kurzu i strzęp papieru fajtał po ulicy koziołki. Zdzisia porwała nagle ochota grzmotnąć książkami o bruk i zakrzyknąć: hurra! — ale nie uczynił tego. Owszem, nie śpiesząc się wcale, krokiem surowo odmierzonem posuwał się w stronę domu.

— Cóż pan teraz z sobą poczniesz? — usłyszał.

To profesor Kazanowski, idący w tym samym kierunku, zagadnął go uprzejmie.

„Pan Kwastowski“ zdjął przed ulubionym nauczycielem czapkę i odpowiedział:

— Zapiszę się na filozofję, panie profesorze, na literaturę.

Nauczyciel spojrzał na niego bacznie i dodał: — Zdawał pan wcale dobrze, chociaż przyznam się panu, że oczekiwałem postępu bardzo dobrego. Życzę panu wytrwałości w życiu.

Podał mu na pożegnanie rękę, co było nowem stwierdzeniem dojrzałości „abiturjenta“ i skrzył w swoją stronę.

W domu czekano na niego uroczyście z obiadem. Zdziwienie było ogólne, że nie manifestuje radości w sposób gwałtowny i krzykliwy. Ojciec mało mówił, lecz triumfalne zadowolenie biło z jego rozjaśnionych i odmiękłych oczu. Może nawet łza zakręciła się staremu? Ale Zdziś był niewzruszony. Ani jedna fala wahania nie uderzyła w kamienny mur postanowienia. Jadł odniechceni, pilnując momentu, kiedy ojciec podniesie się od stołu, aby swoim zwyczajem udać się na popołudniową drzemkę.

Wtedy rzekł:

— Chciałbym z ojcem pomówić na osobności. Pierwszy to raz w życiu użył wyrazu „ojciec“ zamiast „tato“, co zwróciło uwagę całej rodziny.

Stary Kwastowski, zdejmując już kapę z łóżka powiedział:

— Mamy czas. Cóż takiego?

— Ja sam... zaczął Zdziś.

— No dobrze, słyszałem już — krzyknął ojciec zirytowany. — Czego chcesz?

Rodzeństwo i macocha wymknęli się do „bawialni“ i przymknęli drzwi, przez które mignęła, jakby na pożegnanie, wyleniająca purpura pluszowych foteli.

— No gadaj. Jesteśmy sami.

— Ja, proszę ojca, wyjeżdżam z domu.

— W imię Ojca i Syna...! Co się stało? Czego wy chcecie ode mnie? Czyście powarjowali? Gdzież ty wyjeżdżasz, kiedy, naco, poco? — krzyczał ojciec, gwałtownie wymachując rękami.

— Wyjeżdżam.

— Dlaczego?

— Postanowiłem to już dawno, wtedy jeszcze, kiedy to mnie ojciec zbił i ja uciekłem...

— A bo zełgałeś.

— Wina kłamstwa spada na tego, przed kim się kłamie.

Ten zuchwały paradoks doprowadził ojca do pasji. Grdyka mu jęła drgać, a szyja nabiegła krwią. Wszczepiony od dzieciństwa strach przed władzą ojcowską chwycił Zdzisia za włosy.

— Słuchajno ty — zagrmiał ojciec. Nie pleć mi dubów smalonych. Zerznąłem cię wtedy, bo ci się to święcie należało.

— Wyjeżdżam — szepnął z uporem chłopak.

— A za co ty pojedziesz? Masz pieniądze?

— To, co po matce... rzekł, nie patrząc ojcu w oczy.

— Po matce? — zatrząsł Kwastowski rękami. Po matce? Jesteś małoletni.

— Jeżeli ojciec da swoje zezwolenie, sąd wypłaci. Ja chcę częstkami, nie całe.

— Całe czy nie całe, to moja ciężka krwawica, huncwoty! — szarpał się ojciec na łóżku.

Zdziś pomyślał, że ojciec nie ma słuszności, bo przecie matka nieboszczka także całe życie pracowała, i majątek był wspólny, ale tego nie powiedział.

Podniósł się ze stołka i ostatnim wysiłkiem wykrztusił:

— Zresztą jeśli mi ojciec pieniędzy nie wyda, to i tak wyjadę.

— A jedź na złamanie karku, tylko potem nie miej do nikogo pretensji, gdy cię życie kijem pomaca, a to bardziej boli, niż baty ojcowskie.

Zdziś, rozdygotany, ale dumny, że po męsku dotrzymał ślubowania, złożonego sobie przed laty, poszedł do „pokoju chłopców“. Bracia, czując w powietrzu elektryczność, ulotnili się. Usiadł i zapatrzył się w okno. Teraz dopiero uświadomił sobie, na jakie się naraził niebezpieczeństwo, które zresztą wcale jeszcze nie minęło. Lada chwila może tu wpaść ojciec z krzykiem, albo nawet z kijem. Na samą myśl, że mógłby go uderzyć, spazm wzburzenia lunął mu krwią do głowy i tętna w skroniach jęły bić gorączkowo. Przez jedną chwilę ogarnęła go chęć ucieczki, ale ją zdusił, postanawiając wytrwać już do końca.

Nie mylił się istotnie. W jakieś pół godziny potem, stary Kwastowski ukazał się we drzwiach. Miał

na głowie swój ciemny melonik i laskę w rękę. Zatrzymał się w samych drzwiach. Miotła nim furja i Zdziś wyczuł, że naprężenie ojca doszło do szczytu, ale tylko chyłkiem odważył się zerkać na niego.

— Dam ci sto koron na wakacje i koniec. Oby cię Bóg nie skarał za to, żeś mi piołunem zatrzał chwilę szczęścia, jaką miałem przez ciebie. Zawsze pragnąłem, abyśmy byli razem, w kupie, pod jednym dachem. To było marzenie moje i twojej matki nieboszczki. Taką to mam z was pociechę na starość. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.

Powiedziawszy to, odwrócił się i z całej siły trzasnął drzwiami.

Huk drzwi wywołał łańcuch wspomnień i obrazów dręczących z życia dotychczasowego, przekleństw, kłótni, bójek. Zdziś brał je, wydierał z pamięci i odrzucał za siebie w strumień przeszłości, uciekający z błyskawiczną szybkością. Bądź co bądź, odniósł zwycięstwo.

Teraz dopiero wystrzelił przyczajony szal radości. Najpierw zerwał z kołnierza złote galony, odznaki uczniowskie i cisnął je w śmiecie. Wyszukał potem między odzieżą Fredka stary kapelusz z wyświechtanem, postrzępionem rondem, wsadził go na głowę i wybiegł na miasto.

Jakże mu zapachniało teraz życie. Wydało mu się, że po raz pierwszy zaczyna widzieć, czuć i myśleć. Zmysły, zdało się, odrodziły się w nim i wspięły do skoku, niby żrebak, puszczający się w pierwszy galop. Śpieszył ulicami krokiem lotnym, tanecznym,

obrzucając ludzi i rzeczy wzrokiem wesołym i zawadającym. Życie bryzgało z ukrytych źródeł, niby kwiecie wiosenne z odmłodzonej ziemi, drżało z rozkoszy i lubowało się sobą, rżąc zuchwałą, zdobywczą radością. Pogwizdywał zamasyście i wyzywająco.

Naraz wzrok jego znęciła wystawa sklepową, w której piętrzyły się stosy walizek i koszuw podróżnych. Zatrzymał się i zagapił, badając ceny. Dumął i martwił się. Drogo. Wkońcu odkrył jeden kuferek brązowy, z blaszanym, pospolitym zameczkiem — ale tani. Pięć koron. To dla niego.

— Jak się masz, idjoto!

Odwrócił się i ujrzał Sławka. W jasnym, elegancym garniturze, z jedwabnym, nieco wichrowatym fontaziem, w panamie, wyglądał na panicza, chwilowo bawiącego w mieście. Machając laseczką, drwiąco oglądał Zdzisia. Ruszyli na planty.

— Cóż się tak ucywilizował na batjara? Do dziewczynki, he? Żeby cię belfer gdzie nie capnął.

Zdziś wyznał z pychą niejaką, lecz wstydliwie zarazem:

— Zdałem maturę.

— A winszuję, winszuję. Pierwsza niteczka do złotego kołnierza.

— Wcale nie — popędliwie odburknął.

— Nie, to nie, ale mógłbyś się jakoś przyzwocić ubrać na taką uroczystość. Wziąłbym cię do kawiarni, ale nie mam zamiaru narażać się na śmieszność.

— Nie, to nie. Dziękuję.

— Nie dziękuj, wyznam ci szczerze, chętniebym z tobą golnął kieliszek, gdyby nie to gniazdo bocianie na twojej głowie.

— Przestań drwić. Pod panamą najczęściej chlu-pie woda, a prasowane portki to zbyt ordynarna legitymacja człowieka — zareplikował jadowicie Zdziś.

— Banalna filozofja à la Gorkij. A cóż stanowi o człowieku, młodzieńcze, mający wejść w życie?

— Wiara i miłość.

— Oho!

— Głupiś — warknął Zdziś. — Wiara w człowieka i miłość człowieka.

— Kochaj, kochaj go na wieki — zanucił brat. — Takiś to miłośnik ludzkości! Ale na jakimże kapitale opierasz tę miłość, bo miłość kapitalnie dużo kosztuje. Dał ci stary co, bo to on ma węża w kieszeni?

— Sto koron.

— Sto koron, a to kutwa! — śmiał się Sławek. O, to kapitał! Ekstra-ordynaryjnie wielki kapitał! Z takim kapitałem zdobędziesz świat.

— Głupiś, powtarzam — syknął Zdziś. — Ja cię kochałem, ale...

— Ale — no — wypuść słówko miłosne... młody idjoto i abiturjencie w jednej osobie.

— Ale od ciebie wieje pustka i cynizm.

— Coraz lepiej, abiturjencie. Nabierasz odwagi szastania pojęciami, o których nie masz wyobrażenia.

— Bo to prawda.

Sławek rozirytował się na serjo. Jego szare oczy zabłyśły.

— Młokos jesteś. Cóż ty możesz wiedzieć o prawdzie lub o fałszu, o życiu i o jego skomplikowanych sprawach?

— A wiem...

— Cóż ty wiesz?

— Że jest sens...

— W tem, co mówisz, niema ani łuta sensu.

— Bo nie czujesz...

— Nie patrzę w serca, romantyku, ale w rozum, a ty go nie masz.

Zdziś zerwał się z ławki.

— Mamy się żreć i poco? Nic mądrzejszego mi nie powiesz. Bądź zdrow. Kochałem cię. Byłeś dla mnie pierwszym drogowskazem. Nie chcę się z tobą kłócić dzisiaj, w pierwszy dzień mej wolności. Bywaj!

— A ty dokąd?

— Ja w świat... na tę łąkę zieloną, na tę błękitną... Zdziś zatoczył ręką koło. — W góry!

Chwycił rękę brata i uściśnął ją mocno.

Z ust Sławka spadł uśmiech ironiczny. Wzrok jego skoncentrował się, skamieniał.

— Zatem bywaj zdrow. A trzymaj się, bo świat jest straszny, zły i zimny, a tyś za dobry... trzymaj się, Zdzisiu!

Zdziś stał już napół odwrócony od brata. Ogarnęło go nagle rozrzewnienie względem tego, który był legendą jego lat dziecińczych. Ale teraz pragnął być sam. Rzucił bratu pożegnalne spojrzenie i ruszył w aleję, wibrującą złocisto-zielonym kurzem. Jego wąła postać,

przykryta śmiesznym kapeluszem, impertynencko przekrzywionym nabok, wmieszała się w tłum i wypłynęła, potem zatarła się pośród przekwitających krzewów bzu, i wsiąkła w świat.

Sławek śledził znikającą postać brata i powtarzał do siebie:... na tę łąkę zieloną... na błękitną...

I uśmiechnął się gorzko.

Warszawa, kwiecień 1925 r.

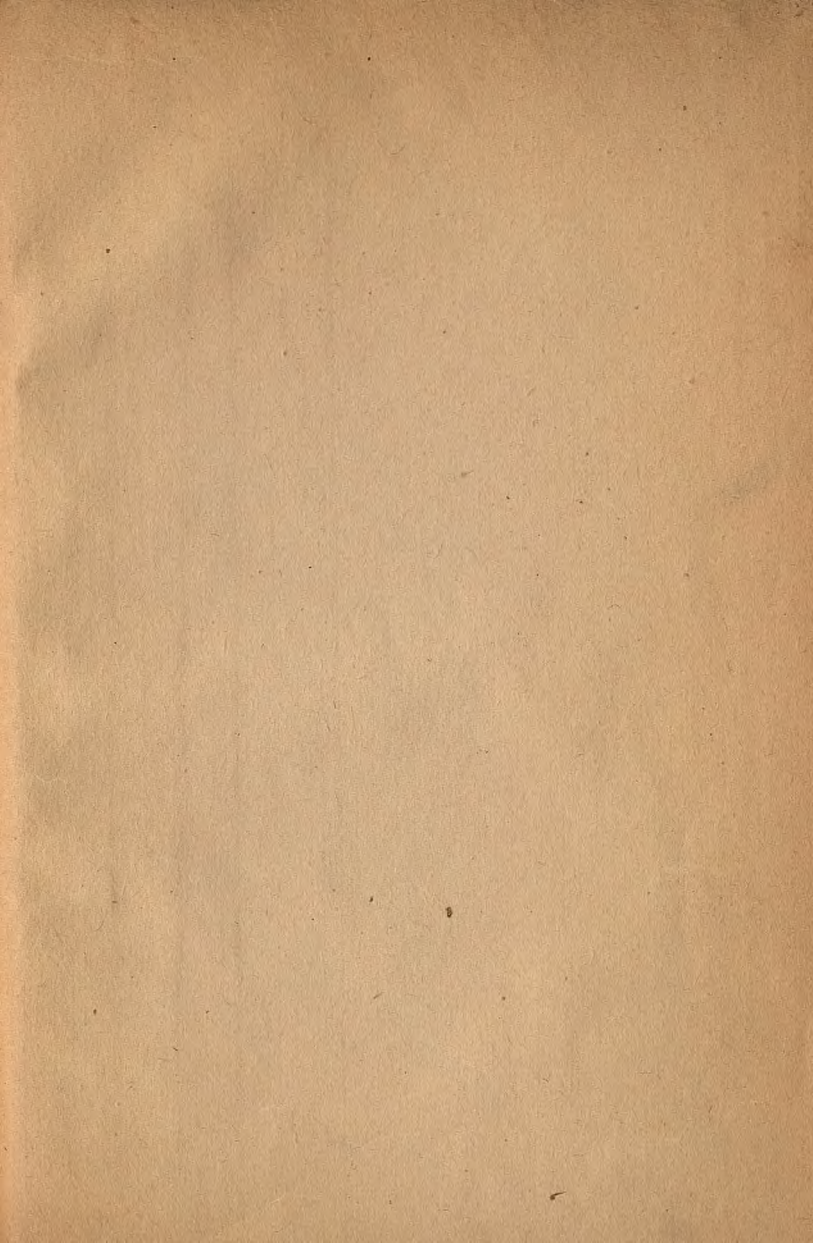


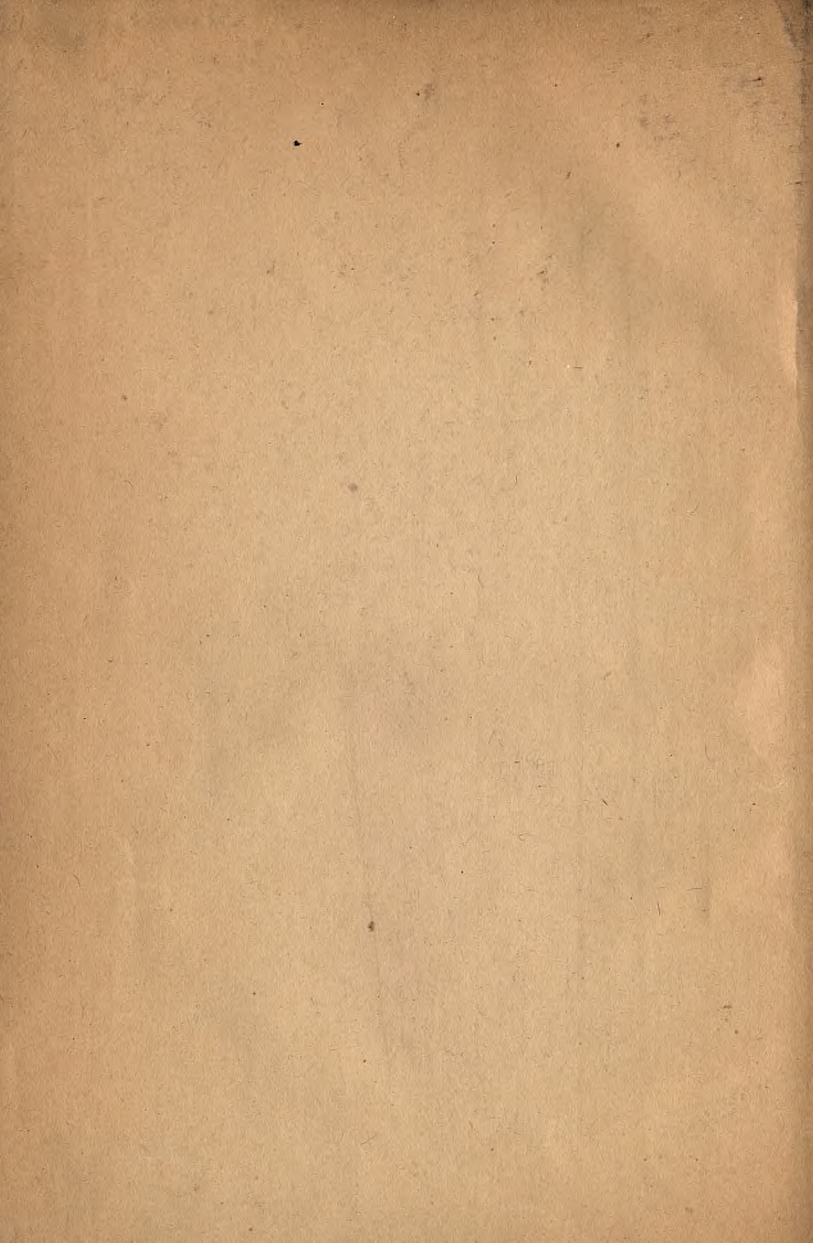


T R E Ś Ć.

	Str.
I. Zwarzona radość	7
II. Groźny przestępca	19
III. Śmierć matki	28
IV. Snym na jawie.	42
V. Ojciec	48
VI. Kuszenie ziemi	53
VII. Pośród ciemności	60
VIII. Przesilenie.	66
IX. Sielanka	75
X. Konspiracja	91
XI. Wiry.	109
XII. Poomacku	124
XIII. Przebłąski.	148
XIV. Na tę łąkę zieloną...	159

TR 25







Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000498841



I 6539